

MAURYCY JOKAI

M. PODSOŃSKA
Zakopane
PENSJONAT CZERNICHOVIANKA
Tel. 63.

PORUSZYMY Z POSAD ZIEMIĘ

POWIEŚĆ

przełożyła

A. CALLIER

~~260~~

»E pur si muove!«

TOM III

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1898



821.511.141-3



2636/III

Дозволено Цензурою
Варшава, 9 Февраля 1898 г.



13428

PORUSZYMY Z POSAD ZIEMIĘ!

Andrzej Juszyński
Księgarz,
skład nut i przyrządów do pisania

BLIŻEJ NIEBA.

„Ołtarz“, jeden z najwyższych szczytów górskich w łańcuchu Karpat, ma pięć tysięcy stóp nad poziom morza; tylko w najgorętsze miesiące lata śnieg na nim topnieje. Tu przeto wdzierali się wszyscy troje. Było już południe, kiedy doszli do samego szczytu.

Widok godny bogów stąd się roztacza. Na prawo Polska na lewo Węgry... Obraz, rzecz można, jeszcze bardziej nieskończony, niż morze. Obraz niedający się pochwycić słowem, piórem ni pędzlem. Ponad ziemią polską ciągną ku wschodowi brzemienne burzą chmury; białe jak śnieg obłoków masy, oświecające z góry całą scenę drgającym światłem błyskawic; huk grzmotów tu nie dochodzi, w dole zaś widać lasy i pola ciemne i we mgle zanurzone. Ponad krajem węgierskim świeci wesołe letnie słońce a w dolinach snuje się ujęta w słoneczne promienie przedza mgieł złotych, która migotliwym kolo-

rytem zdoła lesiste gór szczyty. Spadające z gór potoki błyskają niby potłuczone kawałki srebrnego zwierciadła z pośród ciemni dolin, a dobiegający z dala plusk ich fal śle tu z dołu wieczysty szum i łoskot, co cię kołysze do snu zapomnienia. Aż do najodleglejszych krańców horyzontu zmieniają się kolejno z sobą góry i pagórki a zponad wszystkich wybliska, niby kryształowy posąg bożyszcz, i teraz jeszcze lodem pokryty Krywań.

Ogólne wrażenie jest takie, że go nie sposób odmalować; jakieś potężne przemożne uczucie, które zmusza wszystkich bliskich sobie przycisnąć do łona, które oniemia, zamyka usta a łzom daje bieg wolny. Jest w tem wrażeniu jakieś upojenie, jakiś zawrót głowy, ale niema w niem już trwogi, tylko rozkosz.

Wszyscy troje stoją na cyplu skały; w pośrodku kobieta; jedna jej ręka spoczywa wsparta na ramieniu Kolomana, w drugiej trzyma dłoń męża. Wszyscy troje spoglądają w milczeniu na dół, w rozwartą przed niemi, pełną blasków słońca głębię. -

— Ty, poeto, daj nazwę temu uczuciu co nas teraz wszystkich troje przejmuje, — jeżeli znasz je...

— Znam. Zowie się ono ukochaniem ziemi. Bo ja u ludzi poznałem dwojakie względem ziemi uczucia. Jedno jest pożądaniem, chciwo-

ścią posiadania ziemi; drugie miłością do tej ziemi. Tam w dole są ludzie, których nie sposób nasycić ziemią. Takiego chciwego ziemi człowieka nurtuje to, dręczy, że posiadłości jego kończą się z widnokregiem; dąży do tego, by osiąść kraj i z tamtej strony widnokregu. Łaknie rozszerzenia swych posiadłości, łaknie zabrania dla siebie coraz większej przestrzeni ziemi. Nigdy mu tego nie dość co posiada. O, to musi być dręczące uczucie! Gdyby mnie ono miało kiedy ogarnąć? Ale ja nie mam tej obawy. Mnie pochłania owo drugie uczucie: miłość do ziemi. Kiedy tak popatrzę na niezmierny olbrzymi szmat świata, co jest moim krajem, kiedy on stanie tak widocznie przedemną jak tu w tej chwili, pragnąłbym powiedzieć tej ziemi: moją jesteś, moją z twemi górami i rzekami, i albo ciebie podniosę do siebie, jeżeli na to będę miał dość siły, albo jeśli się okażę za słabym, rzucę się w dół na twoje łono, a wtedy będziesz również moją.

Cilly z głośnym wykrzykiem pochwyliła rękę Kolomana, kiedy ten wymawiając powyższe słowa, stąpił aż na sam brzeg przepaści; sądziła, że chce w nią skoczyć. Koloman wybuchnął śmiechem.

— Toż to było tylko poetyczne marzenie!

— Ale jakżeś mnie przeraził! — wymówiła Cilly z wyrzutem.

— A mnie wy oboje! — rzekł Banyavary. — Za karę pocałujcie się wzajemnie.

I aby go mogli posłuchać lepiej, usiadł na omszałym kamieniu, posadził na jednym kolanie Cecylkę, na drugim Kolomana, ujął równocześnie w pół oboje i zmusił do wzajemnego pocałunku.

Było to coś więcej niż pocałunek braterski; był to zamieniony pocałunek sztuki z poezją.

— Ale z was dzieci jeszcze, — mówił Banyavary. — Musicie iść tam, dokąd ja was zaprowadzę. My wszyscy troje razem albo podniosiem kraj ten do nas, albo padniemy na tę ziemię, a i wówczas będzie ona naszą. Ale nie padniemy w tym boju! Niezawsze naszą pieśnią będzie: „Hungaria jęczy w prochu podeptana“.

Cóż naturalniejszego nad to, że tę pieśń, która wówczas rozlegała się w całym kraju, zaśpiewali wszyscy troje z wyżyn „Ołtarza?“ Komu? Skalom! Orłom! Potokom!

A potem ta jedna pieśń wywołała inne. Cilly miała przepiękny, wysoki głos sopranowy, Banyavary był posiadaczem dźwięcznego tenoru, a Koloman wtórował im giętym barytonem. A w śpiewie ich wszystkich trojga był ogień, zapal i uczucie. Mogły mu się przysłuchiwać z przyjemnością i skały i orły i potoki.

— Ha! temi pieśniami zdobyliśmy już pół kraju! — zawołał Banyavary dumnie. — A i drugą

połowę sobie zdobędziemy. A potem przyjdzie kolej na serce kraju; i Peszt zabierzemy z czasem.

— To będzie trochę trudno, — odparł Koloman i posmutniał. — Palatyn nie znosi węgierskiej sceny w Peszcie.

— A! co tam! Co mnie obchodzi palatyn? Gdzie ja zabijam cztery pale mego namiotu, tam jestem królem a sam palatyn tylko publicznością płacącą mi podatek.

— Ale nie zapominaj, że tylko za „pozwoleniem wyższej władzy“ wolno ci rozbić pale namiotu...

— Co? alboż nie mam wysokich protektorów? — wymówił Banyavary z gorzkim szyderstwem. Alboż wówczas ty już nie będziesz na dworze palatyna? alboż nie będziesz już dostojnym panem, kiedy ja do Pesztu przybędę? I czy wówczas nie będziesz już pamiętał o biednym koledze włóczędzie? Ha, ha, ha! Nie lękaj się... Ja nie liczę na takich wielkich panów. Mam ja dobre stosunki. Jeżeli pragniesz u jakiego wielkiego pana trafić do celu, nie staraj się pozyskać sobie pana, ale sługę. To, że burmistrz Pesztu jest moim przyjacielem, więcej mi warte niż względy samego palatyna. Jeśli mam o coś prosić, zaczynam zawsze od najmniejszych. Tym sprawia to przyjemność i bywają za to zawsze wdzięczni. Ja wejdę do

Pesztu jak cygani: przez ogrody. Nie żądam od ciebie, byś mi dopomógł.

Cilly spojrzała z niemym wyrzutem na Kolomana a westchnienie, co się wydarło z jej piersi mówiło mu: „umiałeś nas tak dobrze zapomnieć, będziesz umiał zapomnieć jeszcze lepiej“.

Ala tak nie jest...

Koloman nie mówiąc słowa, otworzył przewieszoną przez ramię torbeczkę i wyjął z niej plik papierów.

Ręka jego drżała, twarz pdbladła.

Co to było?

Pierwszy dramat węgierski.

— Patrzajcie. Przez ten czas, kiedyście walczyli, i ja walczyłem również; waszą pracę nagradza natychmiastowy tryumf, moja czeka dopiero na potomność. Nie ukończona nawet ona dziś jeszcze.

Banyavary wyrwał mu skwapliwie manuskrypt z ręki.

— Patrzaj, — mówił do Cilly. — On szedł jedną z nami drogą. On w górze, w niebiosach, my w dole po ziemi. A my sądziliśmy, że on się nas wyrzekł, że się nam przeniawierzył, że pozostał w salonach magnatów. Nie, on szedł z nami!

I poczęli czytać utwór; Banyavary trzymał papier, Cilly schylona czytała mu przez ramię.

Pierwszą kartkę czytali po cichu razem.

Przy drugiej zerwał się Banyavary z swego miejsca i począł deklamować głośno; twarz jego stanęła w płomieniach, oczy sypały snopy iskier, głos oddawał gromem słowa poety: tej głębi, nieskończoności, niebu, skał złomom.

I przerywał sobie co chwila: „Jakież to piękne! jakież to myśli boskie!“

A kiedy sam nie mógł już czytać, oddał zeszyt Celinie.

— Czytaj ty dalej!

Artystka wzięła skrypt do ręki z prawdziwym, z cudownem namaszczeniem odtwarzała najwybitniejsze miejsca dramatu; głosem, co płynie z serca i do serc się wdziera, z zapalem, z ogniem, który w tej chwili, w której się zrodził, już tworzy; słuchały jej z rozkoszą skały, nie, toż tam zasiadł w świetlanych postaciach Olimp cały dokoła... Jowisz z płomienistym obliczem, pełen blasku Apollo, uśmiechniona Idalia, Aglaja, Talia, Eufrozyne, wszystkie, a w dole, w głębi doliny cisnęły się widma ubiegłych stuleci; świetni rycerze, bohaterowie, co przedarli oponę mchów zielonych, porastających ich groby, krystalicznie czyste kobiece postacie, których łona krwawią ciernie głógowej róży, co porasta ich mogiły; czarne postacie o śmiałych konturach, królewskie postacie i urągający królom rycerze. Świat cały górą i dołem zappełnił się nimi!

I promienna słońcem postać na kamieniu

Ołtarza, zaklęciem swego głosu przywoływała wciąż bogów z nieba i bohaterów z pod grobowców; a poeta leżał wyciągnięty i widział ich wszystkich: artystkę i Olimp i zaludnione cmentarzysko przeszłości...

A jednak nie wypadło wśród tego zachwytu zapominać, że owe zbierające się do koła na niebie postacie, to nie Jowisz ze swoim bogów orszakiem, ale gromadzące się chmury i że te w dolinie szturmem pędzące postacie duchów to nie Banus Bank i jego zbuntowani towarzysze, ale brzemienne deszczem trąba powietrzna, forpoczta burzy. Burza z Polski zabiera się złożyć węgierskiej ziemi odwiedziny.

Ale oni nie zwrócili na to wcale uwagi. Oni są ponad burzą; są bliżej nieba niż obłoki może.

Kosztują niebiańskich uniesień...

Banyavary chwytą przyjaciela w uścisk namiętny.

— Wykradłeś mi duszę! Tem dziełem odebrałeś mi sen moich nocy. Odwróciłeś odemnie serce mojej żony, bo w przyszłości nie będzie myślała o niczem innym tylko o tych twoich ideach, któreś przed nią rzucił. Ale musisz mi oddać to wszystko coś wykradł. Musisz mi oddać całego siebie. Mój ty chłopcze! Czoła twego dotknął pocałunek bogów, abys był przewodniem światłem twego ludu wpośród ciemności. Jeżeli to światło schowasz pod korzec,

jeżeli wobec świata zaprziesz się tego, żeś poeta, że nie służysz temu ołtarzowi, przy którym ja jestem tylko ministrantem, to przysięgam ci na tym kamieniu „Ołtarza“, że cię zamorduję. Nie śmieję się, to nie żart! Nie jestem taki jak ty silny. Nie pójdę z niedźwiedziem w zapasy na polowaniu, ale zabiję cię skrytobójczo, podejdem na ciebie z tyłu, zamorduję we śnie, powalę pierwszym lepszym kamieniem, jeśli się zaprziesz twego bóstwa.

Koloman przycisnął przyjaciela do piersi ze śmiechem. Jakże mu przyjemną była ta groźba! Śmieszna groźba!

Szczyście prawdziwe wszakże, iż w pobliżu był choć jeden jeszcze prozaiczny człowiek. Przewodnik!

Pocziwy Słowak zauważył dawno już nadchodzącą burzę i uznał za właściwe zawiadomić o tem towarzystwo, zabawiające się na szczycie „Ołtarza“, że czas już pomyśleć o powrocie, bo inaczej przemokliby do nitki.

Co im na tem zależało!

Alboż człowiek czuje, że przemokł, kiedy jest w niebiosach! Któżby się lękał strzał pioruna, będąc za pan brat z gromowładnym Jowiszem! Niechże sobie przybywa burza! Owszem, zobaczą ją nadciągającą, w całym królewskim orszaku.

— Wszystko to bardzo piękne, — zauważył

przewodnik, — ale skoro chmury przysłonią górę, nie sposób będzie znaleźć drogi, a wtedy gdzież noc przespać?

— Wypłoszymy orła z jakiego gniazda, a sami w niem się zagnieździm.

Projekt ten stanowczo pozostał w mniejszości. Słowak oświadczył, że prawdziwem szczęściem będzie, jeśli się zdoła dojść do chaty pastucha kóz, nim burza z dnia noc zrobi.

Tylko jedną pieśń jeszcze ze szczytu skały!
Tak trudno rozstawać się z niebem!

I w istocie burza pochwyciła ich w połowie drogi. Przemykające pośród wierzchołków drzew obłoki szarą pomroką nocy otuliły dziką okolicę; błyskawice smagały łono skał, które ryczały gniewne i drżące niby olbrzym smagany przez matkę.

A jakież to wreszcie był tryumf, kiedy udało im się nakoniec trafić do chaty pastucha! Nareszcie jesteśmy w domu...

Przewodnik zebrał trochę suchego chróstu i roznieca ogień; wokoło niego zasiadają weseli a trzaskający płomień oświeca śmiejące tylko twarze. Nim przeminęła burza i deszcz ustał, nadszedł późny wieczór; całkiem już niemal się ściemniło. Dalej iść niepodobienstwo w ciemności lasu; ale po co też iść dalej?... Alboż nam tu nie dobrze? Mamy wszystko czego człowiekowi potrzeba: strzechę nad głową, migocące

ognisko, siano na posłanie, kochające serce obok siebie. Alboż może być lepszy nocleg gdziekolwiek na ziemi?

Ze dworu, z lasu, skąpana w deszczu trawa niesie ci woń kwiatów; tysiące świętojańskich robaczków lśni w krzakach. Niebawem dogasł ogień, a tylko gwiazdy świecą z po za gałęzi sosen...

W DOLE, NA ZIEMI.

Co tam tymczasem działo się z pozostałymi na ziemi, to tych co rwali się w niebo nie obchodziło ani trochę.

Poświęcenie kościoła rano i zabawa wieczorna, oraz wszystko to co zaszło między tymi dwoma wypadkami, wszystko to odbyło się bez nich i prawdopodobnie nikt ich nawet nie szukał zbyt pilnie.

Nazajutrz rano poczęli się przerzedzać już goście. Jedna część pakowała podróżne powozy, druga już odjechała. Ci zaś, którzy brali udział w balu ubiegłej nocy, śpią jeszcze po za przymkniętymi okiennicami.

Bo tu na ziemi był nawet bal; przez ten czas, kiedy Koloman i jego towarzysze odbywali wędrówkę po niebie, panny i panie przez cztery godziny tańczyły kotyliona, a następnego dnia nikt nawet nie spytał Kolomana, dlaczego nie był na balu?

I aktorowie wyladowali już swe wozy, i ze śpiewem ruszali w dalszą wędrowkę; cygańska orkiestra grała drzemiąc ostatniego marsza odjeżdżającym.

Koloman patrzył za nimi, póki ich tylko mógł dojrzeć. On musiał oczekiwać na rodzinę swego szefa.

Z zamyślenia wyrwał go głos Balvandy'ego.

— Ach, kochany, mamy cię więc znowu! Doprawdy myślałem, żeś nam uciekł z moją primadonną. No, to nic nie szkodziłoby, przecież jesteście krewni. Zeszłej nocy byłbyś się mógł nasłuchać sporo kiepskich conceptów na temat wielkości uczuć braterskich. Ja broniłem cię wszędzie, księżnej przysiągłem nawet, że Cilly jest twoją siostrą. Ależ to czarodziejka, nie prawdaż? Czuje się przeklętą ochotę spokrewnienia się z nią jakimkolwiek sposobem. Teraz wszakże spełń urzędowe twe obowiązki i pomóż nam uporać się z przygotowaniem do podróży. Rodzina nadzupana zmieniła pierwotny plan podróży; nie jadą na Koszyce do Wiednia, ale pierwiej przez Debreczyn udają się do swoich posiadłości. Dlatego też teraz trzeba na każdej stacyi zamawiać naprzód dla nich konie, które na Koszyokim trakcie były już pozamawiane. Jeżeli chcesz możesz pojechać ze mną; ja jadę do Debreczyna; jeśli zaś wolisz sam podróżować,

to jedź sztafeta; zdaje mi się jednak, że ja cię moją piątką dogonię.

— Czekam co mi rozkaże nadżupan i do tego się zastosuję, — odpowiedział Koloman.

— Niech i tak będzie! Jeślibyś po drodze gdzie nie mógł jechać dalej, ja cię zabiorę.

Kiedy nadżupan drzwi otworzył, Koloman postąpił ku niemu.

Jego ekscellencya mówił po niemiecku, po łacinie, po węgiersku i po francusku równocześnie i strasznie przytem poziewał. Wszystko to razem oświeciło Kolomana do tyła, że ekstra-poczta powinien jechać przodem, ażeby zamawiać konie a ewentualnie noclegi, i że hrabiowska rodzina zamierza jeszcze odpocząć po zmęczeniu zeszłej nocy.

Po wielu niemałych trudnościach, wieczorem następnego dnia zajechał Koloman do Debreczyna.

Niestety jednak, o jednym hrabiostwo w obrachowaniach swoich zapomnieli, — o tem mianowicie, że podówczas właśnie był w Debreczynie jarmark.

Pod „Białym rumakiem“, pod „Tygrysem“ i ile tylko było większych lub mniejszych hotelów, hotelików i oberży w tem wielkiem mieście, wszystko to wcześniejszymi przybyszami tak już było zapchane, że daleko łatwiej byłoby się dało znaleźć miejsce dla pary słońców w arce Noego (jak też w istocie miejsce się tam znalazło)

niż tu gdziebądź dla książęcej rodziny, złożonej z trojga członków i ich orszaku.

Ani chciano gadać nawet z Kolomanem, gdziekolwiek spytał o mieszkanie. Skądżeby go wziąć! W kuchni nawet są goście, sienie piwniczne nawet powynajmowane. W sali restauracyjnej także nocują goście, a wszyscy ci ludzie przez cały dzień muszą się włóczyć po ulicach, bo ich niema gdzie pomieścić; koni zaś połowa stoi w dziedzińcach.

Cóż tu mógł zrobić Koloman? Puścił się w drogę dla uzyskania gdziebądź w jakim domu prywatnym kwatery dla nadzupana. Przeszedł jedną, drugą ulicę, pytał, prosił w każdym domu, ale wszędzie wyśmiano tylko jego propozycją: „Tu przecież nie oberża“. Każdy dom miał już swoich gości. Niepodobna sobie przecież w Debreczynie wyobrazić bodaj jednego gospodarza, któryby nie miał jakiegoś znajomego z prowincyi, który na czas jarmarku u niego staje, a tego przecież nie wyrzuci się za drzwi dla żadnego hrabiego! Nakoniec natrafił Koloman na jakąś zamkniętą bramę, na której wisiała karta: „Ten dom jest każdego czasu z wolnej ręki do sprzedania“. Oczywiście też w następstwie tego musi tu być jakieś mieszkanie. Wszedł. Psy omal go nie przewróciły.

Po ciężkiej walce udało mu się wreszcie znaglić do pojawienia gospodarza. Była to zaokrąglona postać z porządnym brzuszkiem, twarzą

szeroką, tłustą, w której tkwiła dymiąca gliniana fajeczka. Istny ideał flegmy.

Zawiązał się wtedy między przybyłym a gospodarzem dyalog następujący:

— Dzień dobry!

— Kiedy dobry, to trzeba go zjeść.

— Czy pan jesteś właścicielem tego domu?

— Skoro nie jestem tu czem innym, tem być muszę.

— Czy nie mógłbyś pan dać mi dla magnackiej rodziny pomieszczenia?

— W pytaniu jest już odpowiedź.

— Proszę o to bardzo dla nadżupana Decsery'a.

— Gdyby nawet nie nadżupanem, ale był samym apostołem, cóż mnie to obchodzi!

— Potrzeba nam pomieszczenia na jedną noc tylko.

— U mnie ani na godzinę nawet.

— Nie możemy nigdzie znaleźć mieszkania w Debreczynie.

— To nie przyjeżdżajcie do Debreczyna.

— Ale panie, jakże możesz być tak niemiłosiernym?

— Bo mi takim być wolno; ponieważ dom jest moim a ja w nim panem.

Koloman zaciał zęby i wściekły wybiegł na ulicę, przyczem psy znowu rzuciły się na niego zajadle i omal nie powaliły na ziemię.

Kiedy wyszedł na ulicę i przejęty gniewem

szukał kogoś, komu mógłby się poskarżyć na swą biedę, natknął się na powóz, zaprzężony w pięć koni w polskiej uprzęży, który z brzękiem chomątów, trzaskiem bicza i turkotem kół pędził ulicą; w jego właścicielu poznał przyjaciela swego barona Balvandy'ego.

Zatrzymał powóz i przystąpił do barona.

— Możemy zawracać natychmiast.

— Jakto?

— Nigdzie niepodobna znaleźć mieszkania

— Do pioruna! A Decserowie jadą tuż niemal za mną. Trzeba znaleźć koniecznie.

— Zrobiłem wszystko, co tylko człowiek zrobić może.

I Koloman opowiedział smutny rezultat ostatniego swego usiłowania.

— Gdzież ten dom? — spytał Balvandy.

— Otu, tu zaraz przed nami.

— Chodź, — wymówił Balvandy, wyskoczył z powozu i otrzepał szpicrutą, kurz z wysokich butów.

W bramie psy go opadły, ale jednego musnął tak galką szpiruty przez ucho, że skomląc uciekł, i pociągnął za sobą wszystkie inne.

— Kto tu jest gospodarzem? — zawołał Balvandy szorstko.

— Ja — była odpowiedź brzuchacza.

— Ten dom jest do sprzedania, jak czytam.

Za ile?



— Dwadzieścia tysięcy guldenów, ani szeląga mniej, — brzmiała również szorstka odpowiedź.

Grubas oparł się plecami o filar sieni i w zębach podniósł fajeczkę aż pod sam nos prawie.

Balvandy z zimną krwią sięgnął do pugilaresu.

— Potrzymajno acan kapelusz; masz tu dwadzieścia tysięcy guldenów.

Na te słowa grubasowi wypadła fajka z zębów; ale zdjął coprędzej kapelusz, aby przyjąć wyjętą pakę banknotów, tyle pieniędzy bowiem nie wart był dom, gdyby go taksowało nawet jakie akcyjne towarzystwo.

— Ten pan spisze kontrakt kupna, — wymówił Balvandy wskazując na Kolomana. — Jest przysięgłym notaryuszem trybunału królewskiego. — Wejdz acan ze mną.

Okrągła, opasła twarz gospodarza zachowywała wciąż jeszcze dawną flegmę. Wziął pieniądze i kontrakt podpisał spokojnie.

— Teraz wszakże przemówił do niego Balvandy:

— No, a teraz wynoś się acan z tego domu!

Pana Maka — tak się bowiem nazywał dawny gospodarz — nie zasmuciły bynajmniej te słowa. Wiedział, że to żart tylko.

— Ale nie zaraz? — wymówił z najspokojszą twarzą.

— W pytaniu jest już odpowiedź!

— Ale do jutra przecież będę tu mógł pozostać?

— U mnie ani godziny.

— Tak? gdzież ja się jednak podzieję teraz podczas jarmarku?

— Cóż mnie to może obchodzić.

— Nie znajduję nigdzie mieszkania w Debreczynie.

— To nie zostawać w Debreczynie.

— Tyle mebli nie mogę przecież wziąć na plecy i wynieść.

— Ale ja je każę wyrzucić na ulicę.

Teraz już okrążyła twarz pana Maka poczęła się zamieniać w kwadratową.

Uderzył się ręką w piersi.

— Przecież ja jestem ze stu dwudziestu...

Wielka rada miasta Debreczyna składała się podówczas ze stu dwudziestu członków.

— Ach! co? Stu dwudziestu? Tylu ludziom przecież nie mogę dać pomieszczenia! — drwił Balvandy, i przystąpiwszy do okna zawołał na grupę gapiących się na jarmark wyrobników:

— Hej! tam! dwunastu chłopów niech tu przyjdzie!

Zamiast dwunastu przybiegło w mig dwudziestu.

— Ten dom do mnie należy, a te graty wyrzucić mi zaraz na ulicę.

Posłańcom publicznym zdawna znaną była

hojność barona; nie trzeba więc było dwukrotnie powtarzać rozkazu. W parę minut łóżka, szafy, stoły ruszono z miejsca.

Kiedy pan Mak zobaczył, że to nie przelewki, pobiegł na ratusz poszukać sobie sprawiedliwości. Tam powiedziano mu oczywiście, aby jeśli sprawa jego jest bardzo naglącą, zgłosił się jutro rano. Kiedy powrócił do sprzedanego domu, zastał nie tylko całe swe gospodarstwo na ulicy, ale dom umeblowany już był nowymi krzesłami, stołami, łóżkami, które Balvandy w przeciągu kwadransa pozamawiał i sprowadził z rynku jak na to tuż położonego.

Czoigodny rajca miejski siedział przez chwilę na tak haniebnie przededrzwi wyrzuconej ławce, jak Marjusz na zwaliskach Kartaginy a kiedy następnie przekonał się, że nie zdoła znaleźć żadnej współczującej piersi, owszem, że go każdy tylko wyśmiewa, rozgniewał się na dobre, wziął ośmiu tragarzy, kazał wyładować wóz swemi gratami i wyprowadził się z Debreczyna do Balmaz-Ujwarosu, przeklinając niegościnne mury rodzinnego grodu.

Ale figiel Banvandy'ego rozniósł się po całym kraju, wszędy budząc podziw. To figiel, na który tylko węgierski magnat się zdobył... A dzisiejszy świat takich już ludzi nie wydaje!

Kiedy Deoserowie przybyli do Debreczyna, oczekiwała ich w domu Balvandy'ego najzupeł-

niejsza wygoda. W ciągu dwóch godzin postarał się Balvandy o dom, o gościnne ognisko i usługę.

Koloman doznawał takiego uczucia, jakie przejmuje młodocianego poetę, kiedy czyta Szekspira. Widzi jak wobec niego sam znika całkowicie.

Widział więc, że nigdy nie osiągnąłby Balvandy'ego. W razie nawet gdyby rozporządził majątkiem umożliwiającym takie fantazyje, nigdy nie wpadłby na myśl wyrzucania tak marnotrawnie sum tak wielkich po to tylko, by mózgi zabłysnął na godzinę. A przecież pomysł taki zdobywa... Na twarzach rodziny Decserych mógł widzieć odbicie tego blasku. Taka swobodna, śmiała rozrzutność podoba się bardzo.

Balvandy aż do następnego rana był gospodarzem hrabiowskiej rodziny; następnie pożegnano go i pozostał w Debreczynie. Towarzyszyć dalej Decserym, byłoby dało powód do rozmaitych gawęd.

Stąd można już było pocztowymi końmi bez zawodu dojechać do domu. Koloman podróżował znowu z nadżupanem w jednej karecie. Mieli przed sobą jeszcze dwa dni drogi.

Pierwszego dnia popołudniu spotkała ich nowa a całkiem niespodziewana w drodze przygoda.

Biały Körösz zeszłej nocy z powodu ober-

wania się chmur wezbrał okropnie i pozrywał wszystkie mosty. Komitat wysłał natychmiast legion cieślów i inżynierów; ci wszakże nie dali nikomu zapewnienia, by do jutra byli w stanie jakąkolwiek możliwą zaprowadzić komunikację.

Z tej wszakże strony ani śladu jakiegoś miasta lub wioski.

Nadżupan naradzał się z księżną co tu robić wobec takiego stanu rzeczy. Wieczór zapadał. Spać pod gołym niebem niemożna przecież. Wracać także nieco trudno, przed północą bowiem ani myśli powrócić do Debreczyna. Na koniec ośmielił się nadżupan wypowiedzieć myśl swoją.

— A gdybyśmy tak zajechali do Szentkeresztu na noc?

Z początku księżna strasznie skrzywiła nos i zawołała: „Fe“, ale wkrótce wzruszyła ramionami:

— Cóż to może szkodzić? A, jedźmyż i tam na tę noc jedną.

Koloman zdumiał się niemało kiedy nadżupan kazał stangretowi skręcić na drogę, wiodącą do Szentkeresztu.

Taką była nazwa puszczy, którą stary Decsery sprzedał był milionowemu chłopu Mateuszowi Tothowi, z którymto Koloman miał owo zabawne nieporozumienie.

Przyczyn tego obrócenia drogi było więcej

niż jedna. Gościnność była poniekąd naturą w tych stronach; właściciel folwarku uważał ją tu za swój obowiązek a oraz za największą dla siebie przyjemność. Puszcza znana była dobrze rodzinie Decserych. Przed rokiem jeszcze była ich własnością, w której w przejeździe zajeżdżali zwykle na krótki wypoczynek. Zamieszkiwał tam własny ich rządcą i zastawali tam zawsze wszelką wygodę. Teraz, kiedy majątek ten przeszedł w posiadanie bogatego chłopca, prawdopodobnie wszystko jeszcze lepiej jest urządzonem. Znajomość zaś jest jak najprawidłowsza; kto hrabiemu zdolnym jest zapłacić sto ośmdziesiąt tysięcy guldenów za majątek ten i w kapocie może wybornie uchodzić za gentlemiana, i niema w tem żadnego wstydu, by z nim i nadal utrzymywać stosunki.

Dlatego też dostojni państwo z całym zadowoleniem zwracali się ku dworowi dawnych dóbr swoich.

Ściemniało się już, kiedy przez nieskończenie długie dziedzińce zajeżdżali ku zabudowaniom Szentkereszkiej puszczy. Trzody bydła, tabuny koni, stada owiec wracające z pola wznosiły tumany kurzu dokoła; roli ornej tu niewiele, po większej części tylko łąki i pastwiska. Prowadzi się tu głównie gospodarstwo oparte na hodowli inwentarza.

Tak samo było i za poprzedniego właściciela.

Bitej drogi jakiejś tu ani śladu, natomiast z dziesięć szyn biegnących równolegle a często krzyżujących się z sobą jak na jakim dworcu nowoczesnej kolei, aby zajeżdżające z przeciwnych stron wozy wygodnie wymijać się mogły.

Sześć przepysznych lokomotyw zaprzężonych jest do jednego z wozów z tak szerokimi widłami rogów, że na wjazd trzeba im bramy a nie już furtki. U jałówki idącej przodem wisi na szyi blaszany dzwonek. Na wysokościach zaś wozu siedzi dziesięcioletni chłopak, współnagi z ogromnym biczem w rękę, z którego trzaska na część wołów z prawdziwie fumańskim zacięciem.

Nadżupan zagadnął chłopczynę:

— Mój chłopcze, czy pan Mateusz Toth jest w domu?

Chłopiec bystro i śmiało popatrzył na niego i namyślił się pierwszej czy mu ma odpowiedzieć.

— Pan chce się widzieć z moim ojcem?

— Możebyś zechciał siąść tu z nami do karety? — spytał hrabia protekcyjonalnie.

— Ani myślę, — odpowiedział chłopak ze swej wysokości niemal również protekcyjonalnym tonem. — Tobym sobie dopiero porządny taniec napytał od ojca, gdybym tu pozostawił mu siano.

— Jeśli ja sobie przecież tego życzę.

— Mnie rozkazuje tylko mój ojciec.

— Więc ojciec twój w domu?

— Jest tam, na klepisku, razem z bratem moim Stefanem składają kopy.

Karety hrabiowskie wyprzedziły wóz z sianem i zatrzymały się przed dawnym mieszkaniem rządu.

Jak dawniej zajechano przed dworek rządu, ale tu zastano zamkniętą werandę.

Dziewczynka z opaloną twarzą, wybiegła do nich z oznajmieniem, że „pani matka jest tutaj, w kuchni“.

To dziecko jest młodszą córeczką bogatego wieśniaka.

Dostojni goście musieli przeto przespacerować się do drugiego budynku, dokąd zaprowadziła ich dziewczynka. Było to dawne pomieszczenie czeladzi. Panu Tothowi jakoś przykro było zamieszkać we wspaniałym dworze dawnego oficjalisty, pomyślał sobie, że pocziwe izby czeladnie będą dla niego aż nadto dobre i tam osiadł...

Był to zresztą wcale też porządny budynek, utrzymany również czysto, tylko, że ściany w nim nie były malowane, ani drzwi podwójne, w miejsce firanek zaś okna obstawione doniczkami gęsto liściastego muszkatu. Podłoga zasłana była matami z sitowia, aby jej wchodzący i wychodzący nie zabrudzili.

Dziewczynka była śmiałą, nadzwyczaj i swobodną:

— Pójdźcie państwo za mną, zaprowadzę was do czystego pokoju.

Wielka izba w istocie zasługiwała na tę nazwę. Czysta bo była w samej rzeczy; cała otynkowana świeżo i pobielona, z ciężkimi drewnianymi orzechowymi meblami; ale nigdzie nie odkryłbyś w niej żadnego zbytkownego sprzętu. Nigdzie obrazu. Tu drugiego z dziesięciorga przykazań przestrzega się bardzo surowo; tylko staroświeckie lustro wisi między dwoma oknami, kto raz w nie spojrzy, pewnie tego pożałuje; tak bowiem wykrzywia twarz, że patrzącemu weń odchodzi ochota od oglądania własnych ludzkich kształtów...

Każde krzesło i kanapa pokryte tu są białym pokrowcem; śnieżno biały kolor to najwyższy zbytek węgierskiego wieśniaka.

Dostojni goście zajmują miejsca, dziewczynka zaś tymczasem wybiegła zawołać matkę, która przecież naprzód przypasała świeży fartuch, zajęta była bowiem gotowaniem wieczery dla kosiarzy.

Niebawem pojawiła się też i gospodyni. Przy stojna, jędrna, rumiana kobiecina, z policzkami jeszcze mocniej niż zwykle zaczerwionemi od kuchennego ognia, miała na sobie perkalikową suknię i czepek ze szlarkami. Poszanowaniu swemu dla gości dała tem wyraz, że na gruby

granatowy fartuch kuchenny przypasała drugi biały.

— Witajcie nam, jaśnie państwo! wymówiła rozplómienna, uprzejmie. — Jakże to pięknie z waszej strony, żeście nie pogardzili naszym skromnym domkiem! Zajeżdżajcie tu zawsze jak dawniej, zawsze jak do swojej własności!

I jako kobieta, która wie co się komu należy, schyliła się do ręki, aby ją pocałować, przyczem własne obie ręce daleko cofnęła za siebie.

— Boję się dotknąć ręki pani, bo moje są w tej chwili jedną cebulą — przygotowywałam wieszczkę dla kosiarzy. Ale to darmo, żona ubożego człowieka musi sama pilnować komina. I mój stary zaraz tu przyjdzie; posłałam już po niego, tylko musi się umyć cokolwiek, bo przy takiej wiejskiej robocie to się człowiek zakurzy i zabrudzi.

— Może my tu panią zatrzymujemy? może przeszkadzamy w zajęciu, pani Toth? — spytał nadżupan.

— O, bynajmniej! Toć tam jest moja córka, ona tam za mnie wszystko zrobi... Ach mój Boże, gdybym tylko umiała po niemiecku.

Ale księżna zapewniła gospodynię, że rozumie już cokolwiek po węgiersku; hrabianka zaś doskonale mówi tym językiem.

— Aj! rzeczywiście — zawołała pani Sara

rozradowana. — Teraz uwierzę już, że się cały świat przewraca do góry nogami. To może hrabianka wie jak się to nazywa?

Tego hrabianka nie wiedziała oczywiście; przedmiotu bowiem, który pani Sara wyjęła z za pasa swego fartucha, nigdy jeszcze nie widziała; była to długa mosiężna laseczka zakończona z obu stron zębątem kółkiem, podobnem do kółek ostrogi.

— No, widzi pani, to jest kółko do wyrzynania pierogów. Czy też panna hrabianka wie co to są pierogi?

— *Pirogue*, tak, — odpowiedziała Dorota, — to łódź, mały statek indyjski!

— Jeszcze czego! — zaśmiała się pani Sara. — To chyba hrabianka nie widziała nigdy węgierskiej kuchni! Jeżeli mama pozwoli, to ja panience pokażę kuchnię.

Hrabianka istotnie nietylko węgierskiej, ale w ogóle żadnej w życiu nie widziała kuchni; w hrabiowskich pałacach nie wchodzi się przez kuchnię do salonu; dlatego też z radością przystała na propozycyą i otrzymała też pozwolenie.

Pani Sara zabrała przeto hrabiankę z sobą do kuchni, gdzie starsza jej córka dzierżyła teraz po niej berło, to jest warząchew. Ta była również okrągła i pyzata jak matka, ale dwa razy czerwiejsza jeszcze od ognia, przy którym stały garnki. Pani Sara powiedziała jej, aby

ucałowała rękę hrabianki, ale Dorota nie dopuściła tego; pocałowała natomiast w twarz dziewczynę, co jeszcze gorętsze wywołało na jej twarz rumieńce.

Pani Sara wyjaśniła następnie hrabiance, czem to właściwie jest taka kuchnia i jakie przeznaczenie mają różne dziwacznych kształtów narzędzia, tworzące arsenal gospodyń.

Hrabiance wszystko to było całkiem nowem i podobało się bardzo.

Pani Sara tymczasem wydała rozporządzenia potrzebne do przyrządzenia wspaniałej wieszery dla gości; dziewczka i żona jednego z parobków wybiegły, czyniąc rzeź między indykami i kaczkami.

Przez ten czas nadszedł też pan Mateusz Toth. Przyprowadził z sobą pod ramię Kolomana, którego pochwyił gdzieś na dziedzińcu, kiedy się starał o pomieszczenie koni.

Mateusz Toth uśmiechał się dobrodusznie.

— A tu jest ten *domine*, który mi w Peszcie kazał dwadzieścia pięć wyliczyć, — odezwał się do żony.

— Co? — zawołała pani Sara. — To tu jest ten nicdobrego. Ja mu to teraz oddam rzetelnie!

I objąwszy go wpół przycisnęła do piersi, dłonią tymczasem zlekka w plecy bijąc odliczyła dwadzieścia pięć uderzeń.

— Tak, teraz jesteśmy skwitowani. Więc to

ten okrutny człowiek? No, tylko mi pan nie płacz znowu... Ja już pana raz dawniej obitałam. A, pan sobie tego nie przypominasz? Oczywiście nie... Byłam u pańskiej babki dwa lata na wychowaniu. Wtedy pan byłeś ot takim maleńkim. A jaki to był dzieciak przekorny! Jaki malec zły, uparty, krnąbrny! No, będzie też kiedyś pańska żona miała z tobą biedę!

— Nie paplaj, kobieto! — przerwał jej Mateusz Toth, — a powiedz mi lepiej gdzie zaprowadziłaś gości?

— Co? — przemówiła pani Sara, zniżając głos do szeptu. — Przecież w tym stroju nie pójdziesz do jaśnie państwa?

— No, a jak?

— Nie wyniesiesz ty mi się zaraz, włożyć świąteczną kapotę! — zawołała pani Sara nakazująco. — Raz cię już obito za twój ubiór chłopski; czy chciałbyś, żeby...

I przyłożyła mu dłonią tak potężnego klapsa na plecy, że ten jeden równał się zsumowanym dwudziestu pięciu, które swego czasu z łaski Kolomana otrzymał.

Pan Mateusz Toth powędrował też pokornie po tej czynnej wskazówce do przyległego pokoju, a kiedy stamtąd powrócił tak był wyświeżony i wyelegantowany, że nawet wąs sobie wywoskował buńczucznie.

Wtedy też dopiero wpuszczono go do bawienia gości.

Właściwie zaś na to tylko, by się wcisnął gdzieś w kącik pokoju.

Nadżupan chciał mu ścisnąć rękę, ale niepodobieństwem było wywabić tej ręki z poza pleców. Nie godzien był tak wielkiej grzeczności.

Tem lepiej za to umiała się zachować pani Sara względem gości.

Powróciwszy z kuchni z hrabianką, doglądała teraz nakrycia stołu. Wielki orzechowy stół nakryto wspaniałym adamaszkowym obrusem i postawiono na nim cztery połyskujące talerze cynowe, po dwa z każdej strony; nakrywano na cztery osoby.

— Ja wiem, że jaśnie państwo w domu u siebie jadają na srebrnych talerzach; ale my nie mamy innych prócz cynowych.

Hrabia dał pani Sarze uspakajające zapewnienie, że dziś już nikomu w świecie nie przychodzi na myśl jadać na srebrnych talerzach; jego królewska mość nawet jada na porcelanie.

Tem mocniej za to zgañił hrabia, że gospodyni nakryła tylko na cztery osoby. Przecież nie chcieliby jeść osobno, żądają, ażeby pan Mateusz Toth i jego rodzina zasiadła razem z nimi do stołu.

I księżna poparła to życzenie.

— Więc jaśnie państwo rzeczywiście pozwalacie na to? No, to w imię Boże postawię jeszcze dwa nakrycia.

I odwracając się do dozgonnego swego towarzysza, szepnęła mu z cicha:

— Tylko pamiętaj, żebyś mi nie mlaskał przy jedzeniu.

Tu znowu zaprotestowali dostojni goście.

— Dlaczego tylko dwa nakrycia? A reszta członków rodziny?

— O! tym nie przystoi tu jadać... Mój syn Stefan wieczerza na dworze z kosiarzami i parobkami. Inaczej oala ta czereda robiłaby w dziedzińcu niesłychany hałas.

— A ten mały, śmiały chłopak, którego spotkaliśmy jadącego na wozie z sianem?

— O, mały Joska? Ten nie jada nigdy wieczerzy. Dostaje kawałek chleba, spożywa go sobie gdzieś na wierzchołku morwy, i na tem ma dosyć. Oni mieliby siadać do stołu! Jeszoze też czego! Nie należy też przyzwyczajać dzieci do wygod.

Ale księżna bardzo sobie życzyła, aby mała wesola dziewczynka, która ich tu przyprowadziła, przyszła do stołu; hrabianka Dorota zaś wstawiała się za Erzsią (Elżbietą), gotującą w kuchni. Po długim oporze, koniec końców przychyliła się do tych żądań pani Sara.

— No, to dobrze już niech Juczi (Julka) sie-

dzi u mnie na kolanach; a i dla Erzsiki postawię talerz na rogu; ale ona nie może i tak siedzieć przy stole, bo będzie musiała ciągle wychodzić do kuchni.

Podano następnie taką wytworną ucztę, że nie podobna było wszystkiego jeść do końca. Tyle było potraw, a każda przyrządzona tak dobrze, że trudno było orzec, której dać pierwszeństwo. Wszystkiego tego dobrego wszakże pan Mateusz Toth zaledwie śmiał kosztować z obawy zapomnienia o przestrodze żony; pani Sarze zaś nie stawało oddechu od ciągłego zachęcania i zapraszania gości. Przedewszystkiem hrabianka Dorota była przedmiotem jej nieustannej serdeczności.

— No, gdyby panna hrabianka pobyła tu z miesiąc u mnie, wiem dobrze, iż nie byłaby bledziutka jak teraz.

Nadżupan nie mógł też sobie odmówić wyrażenia głębokiego uznania dla talentu kucharskiego pani Sary.

— Ale bo też ja byłam w dobrej szkole, — odpowiedziała pani Sara, przyjmując pochwałę w całej rozciągłości. — Byłam u babki tego pana jako przyjęte w dom jej dziecko. A, to pocziwa zacna pani! Ma ona u siebie zawsze jakąś sierotę, którą trzyma, dopóki od niej za mąż nie pójdzie. Wychowuje je wszystkie do pracy. Ona to mawiała mi zawsze: „Bądź lepiej



panem pracującym jak parobek, niżbyś miał być parobkiem co się wylega próżniaczo jak pan“...

— To bardzo trafna przypowieść, — zauważył na to nadżupan.

— Pańska babka mawiała zawsze, że niema nic okropniejszego, niż puszący się chłop i zgałganiały szlachcie! — Od niej to wziął mnie ten niegodziwy człowiek. Jestem drugą już jego żoną; z pierwszą ożenił się dla rodziców; potem ożenił się ze mną, jak utrzymuje ten niegodziwy człowiek — dla siebie. Bo jeszcze nieboszczyk ojciec tego niegodziwego człowieka był tylko dzierżawcą na tej samej puszczie, na której najpierw osiedliśmy. Nie umiał ani pisać ani czytać, a i syna nie mógł kazać uczyć porządnie, bo podówczas takie były czasy, że biskupi zabraniali kalwińskim dzieciom chodzić do szkoły. Dopiero tu na folwarkach, kiedy był sam, nauczył się trochę pisać od wędrujących latem studentów. Ale nie myślcie sobie państwo nic złego o tem, jakim sposobem teść mój tak nagle się z bogacił. Żli ludzie powiadają, że znalazł kadź pełną dukatów pod domem... Temu wszakże nie trzeba wierzyć wcale.

Hrabia Decsery zapewnił panią Sarę, że ani myśli wierzyć pogłosce.

— Ja państwu opowiem, jak się rzecz miała w rzeczywistości. Teść mój wziął w 1793-cim roku właśnie od hrabiego Barodi'ego wielką

pusztę w dzierzawę. Tenuta była bardzo niska. Ale był to rok tak nadzwyczajny, tak błogosławiony już jakoś, że w tym roku dwa razy przypadły nam żniwa. Byłam wówczas małym dzieckiem jeszcze, ale jednak pamiętam, że w sobotę przed Bożem Narodzeniem żęliśmy pszenicę, którą posieliśmy w sierpniu na ściernisku. W tej okolicy błogosławieństwo Boże było jeszcze większe; teściowi memu tak się obrodziło siano, że nie było go już gdzie chować. Następny rok za to wynagrodził za zeszłoroczny zbytek nieurodzajem. Ziemia nic nie wydała. Nastąpiła okropna posucha; ludzie jedli chwasty z pola i piekli chleb z trocinami. Paszy zaś nie było wcale, tak, że trzody bydła i owiec gnano z jednych okolic kraju w drugie, ażeby nie wyzdychały. Wielkie trzęsawiska na puszczie, którą teść mój dzierżawił, wyschły podówczas zupełnie, i to właśnie stało się dla niego kopalnią złota! Z najdalszych okolic spędzano do niego bydło na przelutowanie i przezimowanie, dzielono się z nim trzodami do połowy za paszę, a w dodatku dziękowano jeszcze i błogosławiono. Następnego zaś roku wybuchła wojna; dla licznych wojsk potrzeba było na mundury sukna: — wełna podskoczyła niesłychanie w cenie. Mój teść wziął za nią tyle, że za te pieniądze kupić sobie mógł już całą pusztę. A i wtedy zawsze błogosławieństwo Boże było nad nim... I to rzecz główna. —

Ja, mówię to państwu otwarcie, mężowi memu nie w dom nie wniosłam, bo wziął on mnie tak jak stoję; ale z Bożą pomocą od tego czasu kupiliśmy sobie trzecią już pusztę a każdemu naszemu dziecku pozostawimy tyle, że będzie mogło żyć przyzwoicie. Sądzę także, iż ten, co moją córkę kiedyś poślubi, nie będzie tego żałował.

Nadżupan miał to tylko do zganienia, że ta „moja córka“ nie chce się pokazać u stołu.

— Tak, bo ona stamtąd wyjść nie może, dopóki nie ułatwi się ze wszystkim. A więc, jak mówię, wszystko dobre po Bogu zawdzięczam przybranej matce mojej pani Jenöi, z dalekich stron bowiem przybywano, aby poślubić przybrane jej córki. Ten młody panicz podówczas był jeszcze takim maleńkiem dzieckiem. Ileż to razy podarł na mnie fartuch i potargał mi włosy, kiedy go chciałam pocałować! Ciekawa jestem czy i dziś jeszcze jest taki?

Pan Mateusz Toth uznał za właściwe w tem miejscu zakaszlać.

— Jak mówię, panicz był jeszcze małym chłopozyną, kiedym była u jego babki, — ciągnęła pani Sara w nieprzerwanej swej swadzie; — a kiedym wychodziła za mąż za tego niegodziwego człowieka, wówczas powiedziała do mnie żartem pani Jenöi: „No, Sari, skoro będziesz miała córkę, mój wnuk musi ją dostać za żonę“. — O! odpowiedziałam jej, wnuk pani

nie będzie patrzył nawet na córkę ubogiego chłopca; z niego będzie wielki pan i weźmie za żonę jaką hrabiankę“. — Tak jej odpowiedziałam i to też jest prawdą!

Pani Sara w poczciwej swej prostoduszności ani spostrzegła, jak z powodu jej paplaniny zarumieniły się twarze niektórych ludzi, siedzących naprzeciw siebie przy stole.

Ale zdrowy rozsądek pana Mateusza zrozumiał niestosowność tej gadaniny.

— Święty Boże! Ile też ty, kobieto, pleciesz niepotrzebnych rzeczy! Tom ja powiedział, i to jest też prawdą!

Rozpoczęty przedmiot rozmowy przerwała ta, która go najlepiej ilustrowała: Erzsika mianowicie przez swe pojawienie się w pokoju. Robota w kuchni była już skończoną, obowiązkiem przeto córki domu było zająć na chwilę miejsce u stołu przed pustym talerzem.

Zupełny to kontrast do owej drugiej postaci.

O ile tamta blada, o tyle ta rumiana. Tamta to biblijna Maryja, ta to biblijna Ewa. Pierwotna, rodzima piękność, której wzrostu nie krępuje jeszcze gorset; wszędzie okrągła, elastyczna, silna; twarz pozłocona od promieni słońca; gęste obfite włosy z całą prostotą bez wszelkiej przymieszki sztuki spuszczone w dwu długich warkoczach. Mowa nie jest jej jeszcze daną; nie mówi w żadnym języku. Żadne pytanie nie

zdola jej skłonić do przerwania milczenia; ilekroć wszakże się odezwie, mówi zawsze bardzo rozumnie i pięknie... I oczy jej nie mają również mowy; jeśli je podniesie, czyni to tylko ukradkiem, jak gdyby się obawiała, że może je stracić.

Oczy Kolomana bezwiednie zestawiały obie te postacie, z których każda niegdyś była mu przeznaczoną i rozstrzygnięcie było trudne.

Nadżupan i księżna przypatrywali się również z upodobaniem dziewczęce, która zakłopotana usiadła przy stole.

— *Une beauté rayonnante!* — ozwał się nadżupan do księżny w zwykłym języku swej rozmowy.

A pan Mateusz Toth zauważył na to:

— *Beauté paysanne!*

Kiedy następnie wszyscy z zadziwieniem patrzyli na niego, jakby wyglądając objaśnienia, oświadczył im pan Mateusz:

— Rozumiem również język polski, niemiecki i włoski.

Ale nie dał bliższego wyjaśnienia, gdzie się nauczył tego wszystkiego, skoro ojciec przecież nie posyłał go nawet do szkoły.

Nadżupan kiedy niekiedy ziewał serdecznie; pani Sara zauważyła, że dostojni goście muszą być bardzo zmęczeni a więc i senni. Nocleg wygodny jest już dla nich przygotowany. Toż pościeli i puchów jest co niemiara w domu.

Łóżka zasłane czyściutką bielizną dla hrabiego w jednym pokoju, dla pań znów w drugim. Pożegnano się przeto grzecznie z gośćmi.

— A paniczowi pokażę, gdzie będzie spał..

Maleńki pokoik z oknami wychodzącymi na ogród i jednym jedynem łóżkiem oczekiwał na Kolomana.

— To pokój mego męża.

— A gdzież pan spać będzie?

— Ja? — rzekł pan Mateusz, zdejmując kożuch z kołka. — Na dworze, na dworze, na klepisku, pod gołym niebem; to zwykle moje posłanie. Ja nie sypiam w łóżku, dopóki mnie do niego śnieg nie wpędzi. Zawsze na ziemi. Tam tylko sypia się dobrze.

— Skoro więc pan sypiasz na ziemi i ja tam również spać będę, — wymówił Koloman, biorąc okrycie.

— Nie, nie, na to nie pozwolę! — zaprotestowała pani Sara i pochwyciła potężną dłonią Kolomana za kołnierz. — To nie dla takich delikatnych paniczów sypiać pod gołym niebem; tam dostaliby fluksyi, grupy lub kłucia w piersiach. To dobre tylko dla chłopskiej skóry, ona do niewygody jest nawykła. Moja przybrana matka nie wybaczyłaby mi nigdy tego, gdybyś mi się pan tu rozchorował

Koloman zapewnił poczciwą gospodynię, że już do tego jest przywykłym; w kolegium jeszcze

sypiał nieraz na gołej ceglanej podłodze, a za szkolnych czasów alboż to raz nocował pod stogiem siana! Mógłby wybornie już być wieśniakiem.

Na to rozśmieli się z upodobaniem gospodarz i gospodyni.

— Niechże więc i tak będzie, chodźmy na klepisko przygotować posłanie.

Na dworze była piękna noc jasna, gwiazdzista. W czeladnich izbach we wszystkich oknach już było ciemno. Wszystko zasypiało. Przed stajniami chrapali rozciągnięci na ziemi parobcy, a poprzez otwarte drzwi obór dochodziło sapanie krów.

W stodole obok kupy słomy leżało wczoraj wymłócone ziarno: cenna piramida z pszenicy. Obok niej jakaś postać ludzka, nie nakryta niczem, i pies...

Za zbliżeniem się idących pies począł warczeć; poczem śpiący człowiek podniósł głowę i zawołał: „Kto tam?” Pies zaraz następnie zaczął machać ogonem.

— Czy to wy, panie ojczy? — wymówił uspokojony ów leżący człowiek; odwrócił się na drugi bok i zasnął.

Pan Mateusz Toth rozłożył obok śpiącego swój kożuch na ziemi, założył jedną jego połowę na siebie zamiast kołdry i głowę skłonił jakby na miękiej poduszce na kosztownej górze pszenicy.

Koloman poszedł za jego przykładem.

O, najśłodsze ty wezgłowie dla zmęczonego ciała, ubłogosławiona ziemi Boża! o najbezpieczniejsza ze wszystkich, spokojem przejmująca opono nieba posianego miryadami oczu bożych! Jakże to dobrze spać między wami!

Czy nie widzieliście jak cieszą się dzieci kiedy im się powie: dziś będziecie spały na ziemi?

Obadwaj rozciągnięci na tem posłaniu poczęli rozmawiać z sobą.

— Nie mogę długo zasnąć kiedy niebo tak jasne i wyiskrzzone gwiazdami — rozpoczął pan Toth. — Zawsze mi się wówczas zdaje, że gdyby nie przytrzymała mnie ziemia, musiałbym wzlecieć na którą z tych gwiazd...

Koloman opowiedział mu o systemie astronomicznym i teorii grawitacyi.

— W istocie to bardzo miło wiedzieć tak wszystko — westchnął pan Mateusz. — Ale dla chłopca nie dobrze wiedzieć wszystkiego.

— Dlaczego?

— Bo jego rozum nie zdoła tego strawić. Nie gorszego nad mędrkującego chłopca, który to i owo wie przez pół zaledwie, ale niczego nie zna dokładnie, do gruntu. Chłop powinien jedną tylko rzecz znać dobrze: ziemię. Tego zaś nauczy go ziemia sama.

Ze stodoły można było przejrzeć całą równinę. Aż po daleki horyzont nigdzie nie wznosiła się żadna góra, żadna wieża, żadna osada ludzka. Ziemia jest tu wielką płaszczyzną jak morze.

Na zachodnim skraju tej szerokiej równiny poczęło nagle rozlewać się jakieś różowe światło niby zorza północna lub odblask odległy pożogi, która daleko po za widnokregiem powstać musiała.

Koloman zwrócił uwagę towarzysza na ów odblask czerwony.

— Patrzaj pan! Tam gdzieś widocznie musiał wybuchnąć wielki pożar.

— O, nie, to nie pożar — odpowiedział Toth spokojnie. — To zapalono trzciniane zaręśla. Z mego to robią rozkazu. Oschną mi tym sposobem trzęsawiska i za rok będzie wyborne pastwisko.

— Więc aż tam jeszcze sięgają pańskie grunta? — spytał Koloman.

— Stąd aż tam i dokoła — odpowiedział wieśniak.

Koloman głęboko się zamyślił...

Człowiek, co sypia na ziemi, posiada tej ziemi tak wielki kawał, że okiem nie można dojrzeć jej końca; własność jego jeszcze het po za widnokregiem się ciągnie; pochyłość kuli ziemskiej ją zasłania. A ten, do którego

ten wielki kawał ziemi należy, nie zna miększego posłania nad tę ziemię i nie uczył się niczego więcej prócz tego, czego go sama ziemia nauczyła. Koloman począł myśleć głośno.

— A pan tak niezmiernej posiadłości sypia na gołej ziemi, a dzieci jego ustawiają kopy, powożą wołami i jadają z czeladzią!

— Bo to będzie ich rzemiosłem, z którego żyć muszą. Ciężkie to rzemiosło żyć z ziemi, młody mój paniczu. Wrogów naszych jest tysiąc a za przyjaciół i sprzymierzeńców mamy tylko dwoje rąk własnych. Skoro kosiarz, żeniec, parobek widzi, że ja i dzieci moje pracujemy z nim w zawody, to i on pracuje z całej siły. Gdybyśmy położyli się na poobiednią drzemkę, oni przespaliłyby dzień cały! U mnie każdy parobek jest dobrym robotnikiem, bo ja mu siedzę na karku. Nie biję go, nie łaję, nie znieważam, ale patrzę na każdą jego czynność. Nie dopuszczam, by złe się stało. Bo karać za złe, co się już stało, pomnaża tylko jeszcze szkodę; on to bowiem pomści na mnie, na mojem bydle, na moim zasiewie, na moich budynkach. Moi synowie zaś jadają z czeladzią dlatego, aby to służba widziała, że co on je dostatecznie jest dobrem i dla syna jego pana. Inaczej lżyłby, wymyślał i pożywał czegoś innego. Skoro widzi, jak własny mój syn z najlepszym apetytem zajada

chleb razowy, to i on wyobraża sobie, że ten chleb Bóg wie z czem jest pieczony, i nie zapragnie dla siebie nic lepszego. Tak tylko można czegoś dokazać.

— A kiedy przepłyniecie w ten sposób życie, czy spytacie siebie wówczas: pociście żyli?

— Pociśmy żyli? Po to żyjemy, po co ja żyłem. Dziad mój nie posiadał nic więcej nad małą chłopską zagrodę, a ja pozostawiam każdemu z czworga dzieci obszar mili kwadratowej ziemi na własność. Oni z kolei niech dalej prowadzą to dzieło. Przykład żydów starożytności jest mądrym dla nas wzorem. Syn Izaaka musiał jeszcze być parobkiem a synowie Józefa napełnili już całą ziemię Kanaan i wyparli z niej wszystko, co było obcym żywiołem. Przecież wszystko to rzecz prosta. Cała umiejętność leży w jednym zdaniu: nigdy nie wydawać ani grosza na coś takiego, bez czego obyć się można. W tem leży mądrość chłopca i jego wzbogacenie.

— Ale życie ma także swoje radości.

— I my mamy swoje! Nam smakuje strawa, napój, sen... Zdrowie nasze jest iście żelazne. Niepogoda nie przynosi nam zaziębienia; żar słońca nie doprowadza do opadnięcia z sił... Przyroda nas zachwyca. W młodości śpiewamy, łątujemy, bawimy się wybornie; w starości znajdujemy oicze zadowolenie przy szklanicy.

Do tej, w której się zakochamy, nie wzdychamy długo; karnawał przynosi z sobą wesele a potem szczebiot dzieci daje nam dostateczną przyjemność.

— A dusza? czyż dusza niema swoich wymagań?

— Dusza? O! tam gdzie chodzi o duchowe sprawy, my nie skąpimy sobie także. Księdzu, który w niedzielę przyjeżdża odprawiać nabożeństwo, ja sam jeden płacę tyle ile ma z całej parafii; dzwon i organy zakupiłem sam do naszego kościoła. W tych rzeczach nie jestem dusigroszem.

— Skoro mówię o duszy, nie myślę o samej tylko religii, ale i o wiedzy. Czyż wieśniak nie czuje pragnienia dowiedzieć się toż czegoś innego, prócz dręczenia się w zapasach z ziemią?

— O, i moje dzieci umieją czytać i pisać; umieją każdy psalm na pamięć i przynależną do niego melodyą, umieją katechizm i historią biblijną.

— A zresztą nie masz pan żadnej innej książki w domu?

— Owszem, mam i kalendarz.

— I nic więcej zresztą dzieci pańskie nie mają się dowiedzieć przez całe życie?

— Nie; bo i na cóż przyda się chłopom wielka nauka? Coby dowiedział się z badania przyrody, toby zachwiało jego wiarę w Boga;

czego nauczyłoby go prawo, toby zachwiało jego wiarę w bliźnich; o czem opowiedziałyby mu nauka dziejów, toby zachwiało jego wiarę w króla; a po co chłopu zwątpienie? Do dna żadnej umiejętności nie sięgnie, bo do tego nie ma dość czasu, choćby nawet miał dość rozumu; pochwyci wszystko tylko po wierzchu, a z napół ukształconego chłopca będzie ateusz, pieśniacz, buntownik.

— Pan sam wszakże jesteś żywym zaprzeczeniem tej teoryi — pan, który tyle się uczyłeś, skoro mówić możesz czterema językami.

— Tak, czego człowieka uczy bieda, tego się nauczy z pewnością. Mnie nie dawali lekcyi profesorowie, ani guwernerzy, ale nędza...

Gdy miałem lat dwadzieścia, wzięto mię do wojska, w trzydziestym dano dymissyą. Byłem w Paryżu, stałem w Mantui, widziałem Warszawę i zimowałem w Lipsku. Byłem i jeńcem odniosłem i rany, przyniosłem też brązowy medal do domu. Tam nauczono mię wielu rzeczy. Tam zapoznałem się także z historią ludów. Moi synowie z czasem uczą się tego wszystkiego, skoro pójdą do wojska.

— Więc pan nie myślisz wykupić synów od powinności wojskowej?

— Nie. Niechaj i oni popróbuja jak smakuje bieda. Tam przywykną do porządku, do

karności... nauczą się tam więcej kochać i cenić słodycz domowego ogniska.

— A od owych czasów czyż nie zajmuje pana już historia narodów, w której tworzeniu sam uczestniczyłeś?

— Oczywiście zajmuje; jakże nie miałyby mnie zajmować? Wiem zawsze wszystkiego ciągnie dalszy.

— Zatem trzymasz pan gazety?

— Nie; w gazetach pisze się tylko to, co zwierzchność pozwoli. Pocóż miałbym je czytać? Pod tym względem otrzymuję zawsze lepsze wiadomości... Przychodzą tu do mnie z Serbii pastuchy trzody chlewnej, ci opowiadają mi wszystko, co się dzieje w Turcyi i w Grecyi. Potem przybywają tu woźnicy morawscy ze szkłem i płótnem; ci dostarczają mi wiadomości o zmianach, zaszłych w Niemczech. Stąd zabierają wełnę z sobą z powrotem. Polacy handlujący koźmi co miesiąc pojawiają się tu u mnie; od nich wiem co rząd rosyjski zamyśla, o czem marzą, do czego dążą Polacy. Z Mołdawii przybywają do mnie bojarowie za zakupnem bydła; od nich mam wiadomości o Wołoszczyźnie i Tatarach. I ze Sławonii przyjeżdżają także handlujący olejem, z Włoch kupczący południowemi owocami, ze Styryi jabłkami. O całym biegu dziejów świata dowiaduję się tym sposobem w żywym słowie, daleko dokładniej niż

z drukowanego, gdzie najlepsze zawsze się przemilcza. Mnie nie potrzeba gazet...

— A dzieła ojczystych poetów, czyż ich nawet pan nie czytasz?

— To za wysokie dla nas, tego chłop nie zrozumie.

— Panowie zaś utrzymują znowu, że są za pospolite, za chłopskie.

— Przyznam się panu szczerze, że mnie gniewa okropnie, kiedy takie wierszowane rzeczy mówi mi człowiek rozumny. Zawsze wówczas przychodzi mi na myśl wiejski dziewosłab, który wierszami recytuje głupie zaprosiny na wesele. Już ja w to wierzę, że w każdym poecie musi być co najmniej ówierć błazna. Przynajmniej ilu ich tylko widziałem włóczących się po świecie, wszyscy mniej lub więcej mieli zawsze jakiś brak klepki. To zawadyjacka cygańska rasa. Nawet sławny Michał Kovacs zgnił w więzieniu; widzisz pan! a przecież jak on to pięknie umiał składać wyrazy! Lepiejby było, gdyby zamiast tego prowadził trzeźwe życie. Poeci, to wszystko pijacy. W testamencie moim położyłem warunek, żeby broń Boże nikt nad moim grobem nie miał rymowanej mowy.

— A rozszerzania granic naszej narodowości węgierskiej czy nie uważasz pan za nasz obowiązek?

— Owszem, z pewnością uważam to za obo-

wiązek! Ale to się nie da zrobić książką lub piórem. Trzeba to robić w taki sposób, w jaki ja robię. O, panowie wszyscy idą fałszywą drogą. Nas jest tu mało w tym kraju, a cudzoziemców zbyt wielu. Pozabijać ich, wymordować, nie chcielibyśmy nawet wówczas gdybyśmy mogli, a nie moglibyśmy nawet wówczas, gdybyśmy chcieli. Tem, że panowie postanowią na sejmie, iż metryki mają być pisane nadal i u innych plemion tylko w języku węgierskim, nie dojdziemy do niczego. Na złość im nie będzie się tego robiło. I z galowego, złotem haftowanego stroju magnata węgierskiego nikt się nie nauczy czuć po węgiersku; ale z mojego połatanego płaszcza można się czegoś nauczyć. Czy widzisz paniczu, tam, na widnokręgu, tę łunę w dwóch przeciwnych miejscach? Między temi dwoma miejscami mieszkały niegdyś tysiące ludzi obcego nam plemienia. Za czasów Rakoczego sprowadzili ich tu cesarscy i osadzili w pustych podówczas okolicach. Był to wesoły naród! Lubili zjeść dobrze, wypić dobrze; wesela ich odbywały się do nieskończoności, a karnawał ich był wrzawliwy. Skoro rok mieli urodzajny, naówczas w górach czy w dolinie zabawa była w każdym domu, wszędy użycie. A kiedy znów przyszedł rok głodu, nie ściągali rzemyka swoich pasów, ale przychodzili tu do mnie i pożyczali pieniędzy na zastawy. Mimo ten płaszcz poła-

tany, znajdowali grosz zawsze u mnie... Bom ja grosza nie wydawał na jedwabie ani na wspa-
niałe powozy; ich córki zaś zamiatały jedwa-
bnemi ogonami ulice. I taki był tego koniec,
że rozrzutnych cudzoziemców po jednemu gło-
dem wyparowaliśmy z zajętego przez nich kraju;
po jednemu sprzedawali swe grunta i w części
powrócili do swego rodzinnego kraju, w części
zgodzili się do mnie za parobków. Ale ja oszczę-
dzam grosz każdy; a za każdy grosz nabywam
piędź ziemi więcej dla naszego kraju. Idę nie-
powstrzymanie naprzód. Jedna narodowość tylko
stawia mi twardo czoło i walczy ze mną ciężko:
niemiecka. Gdzie ta osiadzie, tam jej już nie
wygryzie żadna moc ziemska. Ta umie żyć w nie-
dostatku tak samo jak ja; tak samo też dobrze
pracuje od rana do ciemnej nocy jak ja pracuję;
tak samo ceni pieniądz jak ja, i nie opuszcza
gruntu, który raz pozyskała. Pędzi mi na licy-
tacyi ziemię w górę, stając ze mną w zawody
i wygrywając. Ale Niemca miejskiego tak samo
niemiecki wieśniak wypiera ze świata jak ja
sam... Na równi ze mną jedzie do miasta tylko
sprzedawać, a nigdy kupować. Z nas nie może
żyć miasto... A przytem nikt tu waryuje kiedy
się zakocha, ale zaraz sobie tworzy rodzinę.
Żyje uczciwie z żoną i błogosławieństwo boże
spływa na dom jego. Taką to wiedzę daje ten
mój płaszcz polatany, paniczu. Na zielonem polu,

nie zaś u zielonego stołu obrad, zdobędziemy sobie napowrót ojczyznę, paniczu.

— Nie, mój panie. U zielonego stołu bronimy konstytucyi, bronimy praw naszych, a te są nam droższe nawet od naszego kraju.

— Ja o tem nic nie wiem, — odpowiedział wieśniak nasuwając na siebie kożuch. — Wiem tylko jedno, że ilekroć panowie występują gwałtownie, upominając się o te prawa, my bywamy naciskani wtedy więcej. Cesarz jest cesarzem, to trudno; tak już jest... Węgierby nie umiał być posłusznym Węgrowi. Podatki trzeba płacić zawsze, to rzecz pewna; mego syna wezmą do wojska, to także pewna. Czy więc cesarz weźmie, pytając pierwszej stanów kraju czy nie pytając, my jednak musimy płacić i służyć. Pocóż więc mamy sobie nad tem łamać głowę? Posła, wiceżupana nie wybieramy, szlacheckie przywileje nas nie osłonią, bośmy tylko chłopi. Dobranoc! i życzę panu spokojnego snu.

Poczem ziewnął głośno, przewrócił się na lewy bok i natychmiast począł chrapać.

Koloman zaś długo jeszcze patrzył na rozległą przestrzeń gwiazdzistą, i myślał sobie: jak straszliwą słuszność miał ten człowiek, leżący na ziemi; jak bardzoby jeszcze musiała się zmienić ta ziemia, nimby człowiek na tej ziemi pojąc był w stanie, że trzeba się nad nią podnieść,

aby niesprawiedliwą, macoszą ojczyznę ukochać w bólu!...

Potem zasnął i on, i śniło mu się, że i on chodzi w siermiedze, pogania woły, uprawia zagon, nuci ludowe piosenki i bukiet ładnej dziewczki wieśniaczej przypina do swego kapelusza.

Kiedy się zbudził, szarzało już niebo... Pole operlone było rosą; budzący się chór ptasi mięszał pieśń swą do prozaicznego brzęku dzwonekó w bydła. Obadwaj towarzysze jego noclegu nie leżeli już obok niego. Oddawna poszli cicho do roboty. Komin nad domem już dymił; tam widać poczęto już gotować pożywienie. Zdala dobiega pieśń dziewcząt spieszących do żniwa. A słońce przecież jeszcze nie weszło.

Jego jednak ciągnęło coś tak bardzo jeszcze napowrót do ziemi...

NA ROZSTAJNYCH DROGACH.

Koloman musiał znowu jechać przodem, aby zamawiać konie dla swego szefa, i przyspieszać naprawę zburzonego mostu. Rodzina magnata spała wciąż jeszcze przy zapuszczonych firankach. Koloman nie czekał na poranną kawę; skoro wyszedł na dziedzinie, powitał go pan Mateusz Toth i życzył „dobrego dnia“ kieliszkiem wódki, trzymając w ręku litrową butelkę. W butelce tej był biały piołun, orzechowe lupinki i skórki pomarańcz, od których to przypraw mocna śliwowica przybrała blask zielonawy i wonną cierpkość. Z butelki tej napełnił pan Mateusz spory kieliszek i napił się do młodego panicza.

— Doskonała! rozgrzewa człowieka nawskroś! A teraz zakąsić czemś trzeba; rumiany kawał chleba z bieluteńkiej mąki to napowrót człowieka stawia na nogi.

— Widzisz pan, takie jest śniadanie chłopca —
ozwała się pani Sara, podając chleb.

— Oby Bóg dał, bym przy niem częściej
mógł zasiadać! — odpowiedział młody panicz.

W tej chwili zajechał wóz po Kolomana;
zaprzężone były do niego trzy tęgie bułanki.

— Mój syn Pista (Stefan) powiezie pana —
powiedział pan Mateusz Toth do Kolomana.

Potem odezwał się do chłopca stojącego
w dziedzińcu:

— Moje dziecko, a czyś tam dobre siedze-
nie przysposobił dla pana?

— A to po co, ja siądę sobie obok Pisty,
to będziem mogli lepiej rozmawiać przez drogę —
wtrącił Koloman, za co pani Sara rozradowana
zlekka poklepała go po plecach.

— No, to pożegnajmyż się teraz, skoro już
tak być musi — ozwał się pan Mateusz i ścisnął
dłoń Kolomana serdecznie. — Jedź zdrowo
i szczęśliwie, paniczu.

— Bywaj zdrów i niechaj Bóg czuwa nad
tobą, kochany paniczu! — mówiła pani Sara
i wstrząsnęła silnie ręką Kolomana. — A od-
wiedz nas pan kiedy jeszcze. Zgoda? odwiedzisz
nas pan?

— Co też ty nie wygadujesz znów, kobieto! —
przyganiał pan Mateusz Toth. — Nie co rok
przecież Körösz zrywa most wtedy właśnie kiedy
temu panu wypada przez rzekę przejechać. Kto

to wie, czy wogóle kiedy jeszcze będzie w tych stronach? Ale kiedy chcesz mu już coś powiedzieć koniecznie, to powiedz to w takiej, właściwszej formie. Powiedz paniczowi: „Jeśli cię kiedy świat do siebie zniechęci, jeśli cię gorycz osiadzie w sercu, jeśli cię ludzie zasmuca, to pamiętaj wtedy, że jest na ziemi nizki domek, którego każdy mieszkaniec z radością cię powita przez pamięć na wszystko dobre, którem dostojna twoja rodzina darzyła nas!“ To mu powiedz... Ale z tego nic nigdy nie będzie; tak mu ja przynajmniej życzę z całego serca. Panicz zajdzie wysoko; będzie potężnym, sławnym panem, który nas nigdy nie będzie potrzebował. Gdyby jednak mimo wszystko zielone stoły i błękitne oczy miały panu zatruć życie, to przybywaj tu do nas... Tu piękna niwa Boża i piękne Boże niebo na nowo pogodzi pana z tem, co zielone i błękitne. To powiedz mu, żono.

— No, toż mu właśnie to mówię.

Koloman mimowolnie westchnął. Że też ci wieśniacy tak dobrze znają się na *prorokowaniu pogody!*

— No, a ty Erzsika, dlaczego nie wychodzisz? Życze i ty paniczowi szczęśliwej drogi!

Elżunia wytłumaczyła swe opóźnienie tem, że musiała pilnować mleka, aby nie zbiegło;

zarumienienie zaś usprawiedliwiła tem, że ogień jest tak silny...

— Niechaj pana Bóg strzeże! — rzekła i podała Kolomanowi rękę; ale oczu i wówczas nie podniosła na niego... Ściśnięcie ręki wszakże którem go pożegnała, było tak serdeczne, tak ciepłe!

Owa „druga“ śpi teraz jeszcze.

Potem siadł Koloman na kozieł obok Pisty. Ten klasnął na konie językiem, a trzy bułanki pobiegły drogą bez wszelkiego zacinania biczem.

Pole było przepięknie zielone, łąki po porannej rosie jakby zasłane aksamitem, a niebo bezobłoczne, jak turkus błękitne.

Koloman z młodym wieśniakiem umiał tyle pięknego mówić o zielonych polach.

Wkrótce przecież tę przyjemność przerwał mu przy pierwszym pojeniu koni spotkany kurjer nadżupana, wiozący ważne listy. Pośród nich był list i dla Kolomana.

Na adresie poznał Koloman koszlawce kuzynka Beniego. Nic w tem nie było nadzwyczajnego. Babka kazała zawsze Beniemu adresować jej listy, ponieważ sama nie umiała po łacinie a przyzwoitemu człowiekowi wypada przecież, by na adresie jego listu wypisane było: *Generoso ac perillustri Domino, Domino... summa cum reverentia* — inaczej bowiem poczmistrz mógłby w końcu myśleć, że to chłop

jakiś pieze do żyda... — Skoro wszakże list otworzył, przeląkł się bardzo, spotkawszy się zamiast z pismem babki znowu z najautentyczniejszymi kleksami kuzynka Beniego. To było jego pismo: o tem świadczyły oprócz właściwych mu koszlawych liter, ortograficzne omyłki i wypuszczane ze środka wyrazów litery. A prócz tego jeszcze z połowa, ba, ze dwie trzecie wierszy starannie były wykreślane; tak czyni ktoś, co pożałował tego co napisał, ale nie chce sobie zadać trudu przepisywania listu i wysyła go, a odbiorcy tylko gotuje irytacją, że odgadnąć nie może, co to mogło być w owych przekreślonych wierszach.

Co też tam być mogło?...

List rozpoczynał się tak:

„Ach, kochany synowcze! Ale matka jest bardzo...“

Tu ciąg dalszy był przekreślony. Nie było wszakże wykreślone tak dobrze ażeby jednego imienia nie można było odczytać wyraźnie. Było to imię „Cilly“.

Pani Jenöi dowiedziała się coś już o jego spotkaniu się z wygnańcami! To *crimen laesae majestatis* rodziny!

Bardzo musiało być spieszno temu, co tę wieść poniósł. Dobrą widocznie otoczony jest policyą.

W liście następował jeszcze tu i owdzie jakiś wiersz jako tako czytelny, co wszystko złożywszy razem można było dojść z tego, że zwykła wysyłka pieniędzy mimo to wszystko odchodzi dyliżansem; niechaj pan synowiec jednak będzie na przyszłość baczny na swoje postęпки, bo inaczej...

Ten list całkowicie zepsuł Kolomanowi przyjemność, jaką mu przed chwilą sprawiały błękitne niebo i łąki zielone.

Jakże dobrze tamtemu drugiemu obok niego, co nigdy żadnego listu nie odbiera z poczty!

Kiedy Decserowie powrócili do swego zamku, oznajmił nadżupan Kolomanowi, że za tydzień powrócić muszą do Pesztu.

Od tancmistrza zaś dowiedział się, iż księżna razem z wnuczką, napowrót jedzie do Wiednia i zabiera z sobą całą służbę. Może zabawią tam czas dłuższy, może rok cały.

Wiadomość ta jeszcze bardziej przygnębiła Kolomana.

Od czasu owej instalacyi w Kordiczy zauważyć musiał ze strony rodziny hrabiowskiej pewne oziębienie stosunków. Nie mówią już z nim w takim tonie jak przedtem...

I Doroty nie widywał już teraz inaczej niż przy stole. Dawanie lekoyi ustało.

Teraz dopiero, kiedy był już blisko kresu, od którego nie miał jej widywać, teraz dopiero

czuł wielką próżnię, która po jej odejściu pozostała w jego duszy. Teraz dopiero widział jak bardzo ją kocha.

O tem więc nie pomyślał nigdy, że nie może być wiecznie juratem u Decsery'ego, gdzie dość mu otworzyć drzwi tylko aby ją codziennie widzieć i ubóstwiać. Wkońcu będzie musiał dom ten opuścić, a wtedy wiele drzwi będzie przed nim zamkniętych, do których będzie musiał pukać pokornie, albo przemocą chwytając za kłamkę, albo znów starać się o złoty do nich klucz, aż wreszcie dojdzie tam, gdzie ją znowu twarz w twarz zobaczy...

Nadżupan następnego poranku wyjechał co najspieszniej, zabrał z sobą jednak Biroczy'ego. Koloman pozostał na zamku. Panie za tydzień dopiero miały się wybrać w podróż do Wiednia. Stary Decsery, wedle obyczaju, miał sam tylko pozostać na wsi...

Pierszego dnia kiedy Koloman zszedł do sali jadalnej, zawołała go księżna do swego pokoju. W tej to komnacie zwykł był dawać dawniej lekce hrabiance Dorocie. Teraz Dorota nie siedziała przy stoliku; natomiast stała na nim jej miniatura, portret hrabianki w bladej żółtej sukni z kunsztowną fryzurą i wachlarzem w ręce.

— Pan umiesz podobno także malować. Widziałam niektóre pańskie prace. Patrz pan:

życzyłabym sobie zrobić miłą niespodziankę mężowi. Czy nie mógłbyś pan tej miniatury skopiować dla niego?

Usta Kolomana zaledwie zdołały zdobyć się na odpowiedź.

— Jeśli księżna pani sobie życzy, mogę spróbować.

— To weźże pan z sobą ten portret do swego pokoju, bo nikt o tem wiedzieć nie powinien, musi to być niespodzianką.

— Księżna pani ma zupełną słuszność.

Mało do tego brakło by Koloman podziękował księżnie za polecenie, by zdradził jak wielką dla niego rozkosz zgotowała księżna.

— Czy do odrobienia takiej kopii wystarczy panu tydzień czasu?

— Bez wątpienia, wystarczy — wybąknął Koloman; a w drzeniu jego głosu leżało wyznanie, że tydzień wystarczy mu do wykonania dwóch kopii.

Bo za to każdy może spokojnie dać szyję, że Koloman będąc przez tydzień zamknięty w pokoju z tym portretem, skopiuje go nie tylko dla starego hrabiego ale także i dla siebie.

Koloman był prawdziwym artystą. W kołobce otrzymał pocałunek nie jednej, ale dwu muz razem. Pozostałych po nim obrazów szukają dziś z latarnią, a przecież je niegdyś... Ale nie uprzedzajmy wydarzeń.

Przez cały tydzień nikt go nie widział po za obrębem jego pokoju, z wyjątkiem pory obiadowej. Wtedy wolno mu było zatapiać się w podziwianiu żywego modelu. Było to studym artysty. Od stołu szedł zaraz do palety.

Zrobił dwie kopie portretu...

Jedna przeznaczona była dla dziadka; ta była najdokładniej odrobiona podług pierwotnego wzoru. Toż samo oblicze Madonny bez cienia uśmiechu, też same spuszczone w dół oczy, modne uczesanie włosów i blado żółta sukienka, w ręce wachlarz z piór...

Druga była malowana nie dla oczu świata. Twarz ta sama; ale łagodny na niej uśmiech i oczy zwrócone w niebo oblekały niebiańskim światłem rysy; szata biała, w ręce trzyma łodygę lilii i ma u ramion dwoje blado różowych skrzydeł. Wymalował ją jako anioła. Ten obraz miał być dla niego wyłącznie. Tego nikt nie zobaczy.

Miałaby księżna nie domyślać się tego pobożnego oszukaństwa? Miałaby z góry nie mieć świadomości, pewności nawet o tej świętej kradzieży? Czyż jeżeli chciała obdarzyć starszka portretem wnuczki, nie mogła mu oddać oryginału, a w Wiedniu raz jeszcze u tegoż samego artysty kazać zrobić dla siebie nowy portret hrabianki? I to mogła wiedzieć również, że malarzowi do wymalowania jednej miniatury

nie potrzeba tygodnia czasu... A więc była to zachęta!

Koloman musiał pojąć, że ten co wynalazł odpowiadające sobie płyty stosu Volty nie był tak głębokim badaczem przyrody, jak ten co zrobił odkrycie, że za pomocą dwu malowanych płytek można skuć tak z sobą dwa serca, że na wszystkie czasy i przestrzenie nie przestaną czuć się z sobą razem...

Przed upływem tygodnia jeszcze oddał Koloman zarówno oryginał jak kopię. Każdy kto doskonałą kopię porównywał z oryginałem, podziwiał i chwalił jego umiejętność. Bardziej upajającą jednak nad wszystko była dla niego pochwała, którą wyrażało mu głośne własnego serca bicie; że ukryty na sercu portret jest daleko podobniejszym.

Z kolei nadszedł dzień odjazdu. Kolomanowi raz jeszcze dane było szczęście podróżowania w jednym powozie z bożyszczem swego serca. Przez ciąg całej podróży mógł przekonać się o tem, że zawsze tak samo mile jest widziany przez nią jak niegdyś, i że krótki czas dotkliwego oziębienia było tylko małą karą za ową drobną niewierność, za ów dzień jeden, który Koloman spędził w towarzystwie swych bogów i ich kapłana oraz kapłanki, zapomniawszy zupełnie o obowiązkach, które nań „*Credo*“ i —

„Amo“ względem uwiecznionych i „żyjących“ świętych chrześcijańskiego Boga nakładały.

Rano w dzień odjazdu do Wiednia, raz jeszcze miał Koloman sposobność, w charakterze domownika zajmować się Dorotą i oddawać jej przysługi; odtąd był już zdala od niej...

Nie pozostał już jako jurat w domu nadzupana, ale najął sobie osobne mieszkanie i przychodził tylko do biura załatwiać codzienne czynności. Za powód podał, że się przygotowuje do egzaminu adwokackiego.

Ale było to kłamstwem...

Pisał dramat i był nim całkowicie zajęty.

Biroczy wcześniej złożył egzamin, a złożył go ze stopniem *preclarum* i dostał też natychmiast posadę adjunkta u pana Korczy.

Pewnego dnia odwiedził Biroczy Kolomana. Twarz małego gnoma przy tej sposobności odznaczała się pełną godności powagą; przywdział nawet wielkie spiczaste kołnierzyki aby wyglądać tem surowiej. Był już przecież adwokatem. Nie przystało mu już swobodne, trochę lekomyślne obejście się jurata. Trzeba to było okazać czemś i na zewnątrz.

— No, cóż kolego, jakże tam daleko jesteś z twoim „Kövy?“ — takie było jego pierwsze pytanie.

„Kövy“ była to nazwa podręcznika w wielkim będącego użyciu, który zawierał owoczesną

wiedzę prawną i zwał się tak od nazwiska swego autora, słynnego profesora z Pataku.

— Prawiem już z nim gotów — odezwał się Koloman nieco wymuszenie.

— Zobaczymy.

I Biroczy począł egzaminować Kolomana, jak to czyni młodzież przed rygorozami, na próbę jak tam pójdzie przed senatem.

Biroczy bynajmniej nie był zadowolony z odpowiedzi Kolomana.

— Wyznaj, kolego, że od dwóch lat ani zajrzałeś do książki; a przecież za miesiąc masz egzamin na karku.

— A, co tam! skoro raz ją sobie przeczytam, wszystko znów będę miał w głowie.

— Tak, ale cóż robisz właściwie przez ten czas cały? Czy gryzmolisz wiersze? Czy może znów nabijasz sobie komediami głowę?

— A! przed rokiem nie mówiłeś jeszcze tak pogardliwie o wierszach i komedych.

— Byłem wtedy jeszcze studentem, teraz zaś jestem rzecznikiem.

— Aha! Więc to ma oznaczać ten wysoki spiczasty kołnierzyk na twojej szyi!

— Dajmy pokój żartom, mój kochany; każde życie ma swój cel a wszystkie te cele zbiegają się w tem jednym, by sobie pozyskać majątek, a przezeń życie spokojne, wygody i szczęście rodzinne. Bo i szczęście domowe i ugruntowanie

własnego ogniska na tem zależy, byśmy mieli co jeść... Ten cel i dla mnie, z tą małpią moją twarzą, jest ideałem; koszlawami memi nogami mam zamiar dopełnić do niego... A cóż dopiero ty, któremu świat wszystkie swe dobra w setnych postaciach ofiaruje! Po babce odziedziczysz niezmierny majątek, masz widoki, że będziesz mógł zawrzeć małżeństwo, które oprócz tego, że cię uszczęśliwi pierwszą pięknością świata, w dodatku jeszcze w dwójnasób cię wzbogaci. Skutkiem protekcyi, którą otrzymasz, stoi ci droga do najwyższej pozycyi otworem. Możesz być kochanym, uwielbianym, mogą ci ogólnie zazdrościć, a ty nic więcej nie potrzebujesz czynić, tylko wyciągać po to wszystko rękę. Inny człowiek odbyłby pielgrzymkę do Najświętszej Panny w Marizell, by podziękować Niebu, iż tyle słało na niego łaski; ale ty starasz się to wszystko conajprędzej z okrętu wyrzucić w morze. Mówię to całkiem szczerze... Posłyszałem coś od Korczy, że babka twoja zasięgała u niego wiadomości: jakie potrzeba poczynić kroki prawne, kiedy się chce jakiego najbliższego spadkobiercę wydziedziczyć? Że tu nie chodzi o kuzynka Beniego, możesz tego być pewien. A znam dobrze i powód, dla którego babka tak się zawzięła na ciebie. Gniewa się o twoją znajomość z aktorami, gniewają ją twoje poetyckie skłonności.

Ja to znów wiem od Aszalyi'ego. Ten łotr zatrzyma tu teraz w Peszcie powietrze, zajmuje się fabrykowaniem wierszydeł dla literatury ulicznej i opiewaniem w aleksandrynach rozbójnika Angyala Bandi'ego lub księcia Brunswickiego. Pośród tego pisuje też krytyki o wszystkim co tylko jest książką w jedynem tutejszem piśmie. Strzeż ty się tego człowieka! Raz już z jednego miejsca cię wygryzł. Jeśli będziesz bogaty, on nic nie będzie miał przeciw temu; wtedy gotów jest dedykować ci swoje epigramata, panegiryki, imieninowe ody i co dzień cię będzie odwiedzał, by lizać twoje talerze. Jeśli wszakże dotkniesz się poezyi, będzie cię prześladował i pożre... Bo to są *jego* pomyje! Stamtąd przeto sprowadzić na siebie możesz burzę. Burza ta zaś zaciemni i drugą połowę twego nieba. Małą chmurkę mogłeś już być zauważył. Dłaczegoś powiedział, że pani Banyavary jest twoją siostrą... Kiedy to nieprawda? Czy ty myślisz, że hrabianki Decsery mają wielką ochotę spokrewnienia się z węgierskimi trupami komedyantów? A koniec końców, skoro się rozgłosi, że zajmujesz się pisaniem wierszy, nikt ci nigdy nie powierzy ani swojej sprawy, ani sprawy kraju.

— A jednak ja to zrobię — odpowiedział Koloman.

— Kolego — mówił Biroczy — ja rozumiem te słowa poety: „Niechaj śpiewa ten, komu

śpiew dany.“ Ale ów poeta miał kogoś, co słuchał jego pieśni. Wielki naród! Dobrze mu było śpiewać... My zaś komu śpiewamy? Albożeś po dzień dzisiejszy nie nabył dostatecznego doświadczenia? Kto cię słucha? Nasza arystokracja nie rozumie wcale ojczystego języka. Piękne panie nie biorą nigdy naszych książek do pięknych rączek. Bogaty mecenas, który sto tysięcy wydaje na bibliotekę, kocha literaturę umarłą, a nie troszczy się o żywą. Szlachcic sejmikuje, liberalny patriota uważa wszelką bazgraninę, co nie jest polityką za głupstwo a polityczne znakomitości chlubią się tem, że nigdy nie przeczytały ani jednej poezyi i nigdy nie bywają w teatrze! U plebana dzieło poety jest na indeksie. A co się tyczy chłopa, niema najmniejszego pojęcia jeszcze o żądzy duchowego pokarmu; brak mu zupełnie do tego zmysłu. Adwokat nie żąda nic innego nad swoje akta, *Tripartitum* i *Decreta curialia*; inżynier liniuje, mierzy i cyrkluje tylko; lekarz pisze tylko recepty, kupiec wygotowuje tylko swe rachunki; słuchać pieśni poety nikt tu niema ochoty. No powiedzże mi, kogo z tych panów chcesz sobie zdobyć?

— Wszystkich.

— Dumne to słowo. Ale jeśli nie zdobędziesz ani jednego? I jeśli w dodatku jeszcze

przez to utracisz szczęście na świecie, które ci z wielu stron podają na złotej tacy?

— Teraz posłuchaj ty mnie, kochany przyjacielu! Rozumiem wybornie to, o czem mówisz. Pojmuję; co większa, umiem wytłumaczyć sobie zgrozę, która przyzwoitych ludzi w całym kraju przejmuje w obec tych postaci, które bujają na drogach wolnej sztuki... Dla tego jednak, że one bujają. Wiem, że matka, której przynoszą wiadomość, iż jej dziecko poszło między aktorów, posypuje popiołem głowę. Wiem, że wygnaną jest ze świata rodzina, z której bodaj jeden członek stare uczciwe nazwisko wywlekl na arenę literacką... I cała ta gorycz, cała ta surowość ma swe usprawiedliwienie. Dość widzieć ten motłoch obszarpany, głodny wiecznie, spragniony jeśli nie spity i włóczący się z miejsca na miejsce: motłoch, co tu musi uciekać, tam znów bywa wypędzony; co nie szanuje ni rodziny, ni kraju ojczystego; co twarz różuje ale się już rumienić nie może; co małpimi grymasami rozśmiesza gruboskóre dwunogi społeczne, a niesmacznymi conceptami odstrasza ludzi, posiadających poczucie sztuki i piękna; co do nauki jest za leniwym, co do czucia nie ma serca, co nie ma pojęcia o swoim powołaniu; co wywijałby koziółki, gdyby się i tego nie potrzeba było pierwej nauczyć; co żebrze i kupczy tanią miłością... Widząc to, w samej

rzeczy nie można się dziwić, że rodzina oplakuje tego, co się zetknął z takimi sferami. I mają też ludzie wszelkie prawo domagać się od członka swej rodziny zwrotu uczciwego nazwiska, gdy się przypatrzym jak dwaj zaciekli pisarze rozdierają się wzajem, jak na siebie rzucają się o strzęp sławy, jak wszystko, zda się, zdarliby sobie z głowy, aż do śladów wody chrztu, jak wzajem nurzają się twarzami w błocie i jak potem obadwaj z oblepionemi błotem twarzami występują najspokojniej przed tę samą publiczność, która ze wstrętem przyglądała się ich bóje, by dla nudnych produkcji nędznych swych uczuć wyżebrać czytelników i nabywców. Że takich wyrzuca się za drzwi rodzinnego ich domu, to uważam za słuszne, za całkiem naturalne. Cóż jednak, jeśli raz przyjdzie ktoś, nie jeden, ale wielu, i powiedzą ci: „Hej, słuchajcie, ja tu nie jestem sługą, jestem tu królem; do twarzy mojej nie przylgło błoto, nie zetknęła się ona z niem nigdy, na niej spoczywają tylko słońca promienie. Co ja zwiastuję, nie jest dla mnie wstydem, ale sławą. Ja nie żebrzę niczego u publiczności ale rozrzucam między lud skarby!“ A jeśli wówczas kraj cały zabrzmi radosnymi okrzyki, jeżeli wówczas natchnione ozola zasłużony laur ozieleni, czy ty sądzisz, że wówczas dumne rodziny, bez względu na to czy hrabiowskie czy chłopskie (bo u nas i chłop

jest dumny) nie przycisną z radości do piersi tych, co stoją wyżej od nich? A tem będę ja i ci wszyscy, co pójdą za mną... A jeśli tego nie uczynią? To pozostaną w dole... My dążym w górę!

Biroczy był odurzony. Nigdy nie słyszał jeszcze Kolomana mówiącego takim tonem. Twarz młodego poety pałała, wzburzony biegł tam i napowrót po pokoju, a ręce drżały mu ze wzruszenia.

— Zdradziłem się przed tobą — wymówił Koloman i pochwycił rękę przyjaciela. — Wy-rwałeś mi z serca tajemnicę, o której dotąd nikt nie wiedział prócz mnie i milczącego pa-pieru. Każdy mnie zna jako skromnego, goto-wego do wszelkiej przysługi człowieka. To nie-prawda! We mnie jest pycha szatana. Nie znam silniejszego nademnie człowieka! Ni mężczyzny, ni kobiety! Ale dowiedz się wreszcie, że sza-leństwo moje ma swój system... Mam cały plan w mózgu, jakim sposobem wedrę się w świat jak Jowisz gromowładny... W pobra-tymczym kraju teraz właśnie zbudowano teatr narodowy. Oni tam zawsze wyprzedzają nas o krok naprzód. Uroczyste otwarcie obchodzić chcą węgierskim dramatem. Magnaci i panny arystokratycznych rodów mają sami wystąpić i obecnością swą uświęcić scenę, aby najprze-sądniejsi pojęli kiedyś, że scena jest nie prę-

gierzem, ale ołtarzem! Towarzystwo Banyavarych po nich tam występować będzie. Za najlepszy dramat, który ma być powołanym do uświęcenia tej uroczystości, naznaczono cenę 100 dukatów. I ja napisałem coś na ten konkurs, a wykończyłem teraz właśnie. Weź to i przeczytaj... Ale nie pokazuj nikomu innemu. A skoro przeczytasz, przyjdź tutaj i powiedz mi szczerze, czy uważasz to za szaleństwo, że ja, skoro się spytają o nazwisko autora, wystąpię dumnie i powiem: Ja nim jestem! bez obawy, że jeśli do tego się przyznam, babka mnie wydziedziczy, ukochana mną pogardzi, wszystkie drzwi świata zamkną się przedemną, ale przeciwnie zamierzam z tem imieniem na czole domagać się miejsca wszędzie gdzie szacunek i miłość miejsce wyznacza!

— Niemal mnie samego rozgrzałeś — ozwał się Biroczy — a ze mnie przecie kret zimny! Dobrze więc... Jak mówisz, w szaleństwie twojem jest systemat. Widzę to... Przeczytam twoje dzieło; ale licz na sąd surowy. Tem więcej, że widzę, żeś bardzo chory, i radbym cię wyleczyć. Czy masz to jeszcze w jednym egzemplarzu?

— Jest już przepisane na czysto.

— Pytałem o to dlatego, ponieważ, gdybym go miał uznać za bardzo piękne, kto wie czy nie naszłaby mnie pokusa rzucenia go w ogień.

Nazajutrz przyszedł Biroczy znowu, i zwrócił Kolomanowi przeczytany rękopism. Potem milczał długo.

— No cóż, przeczytałeś? — spytał Koloman śledząc ciekawie na twarzy Biroczy'ego wrażenia.

— Do końca.

Twarz jego nie zdradzała nic zupełnie.

— I co mówisz?

— Dyament! — odpowiedział Biroczy z niewzruszenie spokojną twarzą.

Po małej chwili dodał:

— I takim pozostanie po wszystkie czasy, na wieki!

Koloman słuchał z biciem serca...

Biroczy ciągnął dalej po długim wahaniu:

— Jest to dzieło, jakiemu równego, jak wielkiego, choćby stu genialnych pisarzy, gdyby przez lat pięćdziesiąt gromadzili najlepsze swe prace, nie zdołają stworzyć. O całą głowę zawsze ty ich wszystkich przerośniesz...

(Ubiegłe lat pięćdziesiąt usprawiedliwiły jego oczekiwanie!).

Oczy Kolomana płonęły żarem. Słyszał ten wyrok z ust człowieka, który nigdy nikomu nie powiedział pochlebstwa.

— Ale...

Teraz więc miało nastąpić owo straszliwe „ale“.

Koloman czekał z zapartym oddechem.

— ...Celu który sobie wytknąłeś tem dziełem nie osiągniesz. Tego dzisiaj nikt nie zrozumie. Do tego musi się zrodzić nowa generacya, która by do tej wysokości dorosła... Lud naszych czasów nie ma tego lotu, aby zdołał doścignąć twoich idei... To kraj gąsienic i śpiących poczwarek! Ty będziesz Kammoensem, który w godzinę śmierci rzuca w ogień swe dzieła aby bezrozumną swą ojczyznę ich pozbawić. To dzieło powinno na dnie twego biurka być pochowane, ażeby póki ty żyjesz, nikt o niem nie zasłyszał nawet, aby po śmierci twojej dopiero potomność je odkryła i aby wówczas każdy poznał wylekły, jaki to skarb z tobą złożono do grobu. Do tej chwili wszakże nie pokazuj go nikomu, bo dla dzisiejszej generacyi twoje poezye tem będą, czem psu dźwięk skrzypiec: pocznie wyć przerażona... Nikt cię nie zrozumie, ukształconą, wyższą klasę społeczeństwa przejmą dreszcze, i rzeknie: „To są okropne myśli!“ Światu uczonemu stary, pierwotny język twój nie przypadnie do smaku; tłum profanów wybuchnie śmiechem, słuchając twoich myśli podczas gdyś sądził, że obudzisz w ich sercach śpiące duchy. A cóż dopiero odegranie, jakież to będzie! Do wystawienia tego dzieła potrzebaby całego składu europejskiej sławy artystów! Każda postać jest

arocydzielem. Kiedyś, gdzieś może za jakie lat pięćdziesiąt znajdzie się z samych olbrzymów złożona generacya aktorów, na których barki możnaby włożyć twe postacie, o przerażających wielkością, rozmiarach! Pigmeje będą chodziły jak karykatury w tych strojach, nie dla nich skrojonych, w które nogi im tylko zaplątywać się będą. A nakoniec jeszcze jedno pozostaje widmo... Widmo, które czyta w sercach, pan wszystkich żywych i umarłych — cenzor. On ci zabije połowę myśli. Ukryj nieśmiertelne swe dzieło na dnie szuflady biurka, mój przyjacielu!

— Nie myślę się z niem kryć — odpowiedział Koloman w gorączkowym rozdrażnieniu. Chcę wystąpić z niem do konkursu i ubiegać się o nagrodę. Nie stawiam przytem nic na kartę. Zwycięzę lub upadnę! Jeżeli zwyciężę, wejdem w świat bramą tryumfalną a wtedy od razu przelamałem wszelkie lody. Jeżeli wszakże upadnę w tej walce, wtedy imię moje splenie w kopercie opatrzonej dewizą, dzieło moje pójdzie na dno szuflady mego biurka i nie wyjdzie więcej na światło dzienne. Trzeci wypadek nie istnieje.

— Owszem istnieje i trzeci jeszcze i czwarty — mówił Biroczy.

— Posłuchajmy.

— O, ja o tem nie wątpię ani na chwilę, że znawcy wyznaczeni na sędziów konkursu, ludzie zajmujący się literaturą, którzy dzieło twoe czytać będą pośród czterech ścian, upadną przed niem na kolana i z całej siły w świat głosić będą, że w kraju powstało dzieło, do nieśmiertelności zrodzone. Inaczej być nie może. Znam przecież wszystkie obecne literackie talenta; niema pośród nich nikogo, któryby ci mógł odebrać palmę pierwszeństwa. I później również nie znajdzie się taki. Nagrodę konkursową więc pozyskasz, ale tem większym będzie twój upadek. Twój dramat, który zapowiedzą już naprzód jako arcydzieło, na scenie skutkiem nędznego wykonania będzie parodyą.

— O, w takim razie bardzo źle sądzisz Banyavarych. *Oni* będą przy uroczystem otwarciu tej sceny.

— Znam ich, widziałem ich w Csongradzie. Przeciw twojej Cilly nie mogę nic powiedzieć. Ona jedna jest postacią, która dorosła roli enoty skazanej na cierpienie, bo to przypada do jej charakteru. Za Banyavar'ego już nie ręczę. Ma on zwyczaj szarżować; prowincjonalna publiczność to lubi; rozbija się okropnie i każdą namiętność maluje we wszystkich szczegółach. Tym zaś sposobem skarykaturuje ci zupełnie twego bohatera; ten charakter, który ma namiętności wielkiej tylko miary, który tak jest

dumnym, że śmiertelną urazę chowa w sercu i nie ukazuje jej aż do ostatniego wybuchu, który walczy z sobą i panuje nad swą namiętnością, dopóki ta nie bierze nad nim góry... Banyavary nie jest w stanie pojąć tego charakteru. On musi krzyczeć od początku do końca. Przyzwyczajono go do tego. A reszta aktorów, cóż ci zrobią, dopiero z twoich wzniosłych postaci?! Woiczenie zapaleńca arystokraty, który z miłości dla ojczyzny zostaje buntownikiem, będzie na scenie urwanym od szubienicy prostackim betyarem; starzec którego gorzkie skargi przejmują do głębi, będzie zwykłym starym, płacziwym żebrakiem; wieśniak, którego dobroduszna skarga malować ma rysy jego stulecia, na scenie wyjdzie niechybnie na mędrkującego gadułę, któremu skoro skończy swe skargi, trzeba chyba porządnych dwadzieścia pięć plag wyliczyć, a już wspaniałomyślny księżę przedstawi się jako najpowszedniejszy kalwiński predykant, jaki kiedykolwiek tylko wymruczał pogrzebową mowę ze spisanego konceptu... Twego intryganta wygwizdają za jego pospolitość, a twoja księżna będzie sobie dzielną, szanowną gosposią *comme il faut*. Widzę już naprzód koniec widowiska: każdy pyta: „A więc to ma być owo oudo, owo arcydzieło, które tak wielki poprzedził rozgłos?” I z dru-

giem widowiskiem poczekają do następne dziesiątka lat...

Koloman uśmiechnął się.

— Dobrze więc; to zatem uważasz za trzecią ewentualność; no, a cóż byłoby czwartą?

— Czwartą jest to, że wszystko tak pójdzie jak marzysz i pragniesz. Tryumf cię poprowadzi, tryumf pójdzie za tobą wszędy. Twoje dzieło zwycięży, twoi aktorzy przejdą samych siebie. Publiczność będzie cię ubóstwiała, podbijesz ją i zdobędziesz całkowicie. Być może, że ciż sami aktorowie, którzy w Csongradzie umieli zaledwie dorosnąć do postaci sztuk ludowych, w stolicy drugiej ojczyzny, gdzie na nich patrzeć będzie wyłącznie ukształcona, dystyngowana publiczność, podniosą się o stopień wyżej i będą prawdziwymi artystami i że nakoniec, jeśli im się uda przybyć do Budy lub Pesztu, szlachetny pociąg współzawodniczenia z cudzoziemcami, duszom ich nowego doda natchnienia i ty z nimi zwyciężysz... Wówczas przecież tem pewniej utracisz tych, którzy ci są najdrożsi. Poeta, którego spotkało niepowodzenie, może jeszcze w pokutniczej szacie powrócić do obrażonej babki, może go przyjąć napowrót jeszcze zamek Decsery; ale olimpijski zwycięzca stracony jest dla nich!...

— To niechże pozostanie dla nich straconym — wymówił Koloman z uporną stano-

wczością. — Kto mnie od siebie odtrąca takim jakim jestem, dla tych pozostanę zawsze tam, gdzie mnie odepchnęli. Żebrać nie będę ani o chleb ani o miłość. Wtedy mi pióro będzie matką i kochanką. Nie będę pierwszym, który tak żyje. Ale ja tak żyć będę!

Obaj przyjaciele uścisnęli sobie ręce — długo, w miłości.

Kiedy się rozstawali, powiedział Biroczy do Kolomana:

— Że jednak między przesyłką twego dzieła a wydaniem wyroku przez konkursowych sędziów upłynie dobre dziesięć tygodni, mógłbyś więc czasu tego użyć na to, by zsiąść z Pegaza a przewertować sobie Tripartitum i Kövy, bo dyplom w każdym razie będzie ci potrzebny.

— To też uczynię — odrzekł Koloman.

I dotrzymał też swego przyrzeczenia. Przez dziesięć tygodni nie zajmował się niczem innem tylko tem, co stanowiło urzędową stronę jego zadania: przygotowywał się do egzaminu.

Podał się na listę egzaminandów i wkrótce też naznaczono mu termin.

Fatalny to był termin!

W tym samym dniu, na który przypadał jego adwokacki egzamin, komisya konkursowa wyrokować miała o wartości dzieł przysłanych na konkurs dramatyczny...

Silniejsze wzruszenie wypierało słabsze z jego duszy. Myślał daleko więcej nad tem, jakie mu wieści przyniesie poczta, niżeli o tem jakie konkretne mniemanie poweźmie areopag egzaminatorów o jego wiedzy prawniczej.

Nazajutrz musiał składać piśmienny egzamin; i ten przebył w bezustannym niepokoju o los swego dramatu. To też tu i owdzie opuścił jakieś słowo pojedyncze ze swojej rozprawy.

Na trzeci dzień otrzymał dyplom.

Brzmiał on tylko *laudabile*:

W adwokackich dyplomach zazwyczaj dają trojaki stopień. *Praeclarum* (celująco), *laudabile* (chwalebnie) i *suficiens* (dostatecznie).

Ze względu na dyplom jest to co prawda wszystko jedno, które z tych trzech słówek w nim pomieszczono. Ale Koloman, który zawsze przez wszystkie klasy w szkołach był pierwszym i nigdy nie miał przed sobą innego, oczywiście był tem bardzo strapiony, że otrzymał tylko stopień średni. Jakim sposobem to mu się zdarzyć mogło? I to jeszcze przy ostatnim kroku!

Na uroczyste uczczenie dyplomowania zaproszony był do Pana Korczy na obiad. Dawny jego pryncypał oczekiwał go z niecierpliwością. Biroczy tam był również.

— Tylko *laudabile*.

Z temi słowy wszedł Koloman a minę miał bardzo przybitą.

— To źle! — zawołał śmiejąc się pan Korcza. — *Sufficiens* powinienesz być dostać. Każdy wielki człowiek przy egzaminie otrzymuje zwykle *sufficiens*. Ja toż samo! Mimo to przecież wyszedłem na coś... I Adam Rivieri otrzymał *sufficiens* a przecież został kanclerzem.

Tego człowieka zwykle wszyscy protektorowie Kolomana stawiali mu zawsze za przykład godny naśladowania.

Koloman pomyślał sobie:

— Poczesczajcie mnie ile wam się podoba. Niechaj tylko jeszcze dwa dni upłynie a wówczas dowiecie się już czem jestem!

Babce pospieszył donieść, że i z jakim powodzeniem złożył egzamin. List jego nadszedł równocześnie z listem pana Korczy, który starszkę przysposabiał opowieścią towarzyszących egzaminowi okoliczności. Koloman odpowiadał doskonale, pośród asesorów znajdował się jednak nieprzyjaciel pan Jonči, który niegdyś prowadził przeciw niej wielki proces i proces ten przegrał; jego to zemstą jest obecnie, że Koloman nie otrzymał stopnia *praeclarum*... Babka uwierzy temu i będzie złorzeczyła asesorowi a nie komu innemu.

Koloman wszakże oczekiwał niecierpliwie dnia nadejścia wieści. Czas włókł się dla niego krokiem żółwia.

Podówczas nie było jeszcze kolei żelaznych; poczta potrzebowała czterech dni czasu, aby ze stolicy jednego kraju dojść do stolicy drugiego.

Piątego dnia nakoniec otrzymał z takim upragnieniem oczekiwany list od Banyavary'ego, któremu polecił zawiadomić go o rezultacie konkursu.

Gorączkowo biło mu serce, obie ręce drżały kiedy list otwierał; przed oczyma biegały mu ogniste iskry kiedy rozpoczął czytać a potem nagle ustały uderzenia serca, obie ręce opadły bezwładnie. Łzy zasłoniły mu oczy kiedy odczytał do końca.

Nagrodę — nie on pozyskał...

Z pośród wszystkich, starających się o nią, palmę pierwszeństwa otrzymało dzieło z obcego przetłómaczone języka. Laur odniósł tłumacz.

A jego arcydzieło? Kolos przyświecający potomności? Duma literatury? Cóż się z niem stało?

O tem nie było ani słowa. Ani drobnej nawet, zdawkowej choćby monety, ani zachęcającej chlubnej wzmianki. Nikt nie zwrócił nań uwagi nawet... Przeszło niepostrzeżone.

KARZĄCA DŁOŃ BABKI.

Po tym liście z hiobową wieścią nie śmiał Koloman nawet wyjść ze swego pokoju na ulicę. Zdawało mu się, że świat cały z układu ust jego wyczytać może jego upadek; otrzymany list wszakże posłał następnego dnia Biroczy'emu.

Ten przybiegł do niego coprędzej: to jest oczywiście o ile mu biedz pozwalały kulawe nogi.

— O, Minosie, Aecosie i Rhadamantesie, wy sędziowie dramatyczni piekiel! O święty królu Macieju, ty pierwowzorze artystycznych krytyków! Bądźcie błogosławieni i pochwaleni na wieki! Przyjacielu, uznaj w twych sędziach największych twoich dobroczyńców. Coby się było stało z tobą, gdyby w miejsce tego listu przyszła była wiadomość, że dramat twój otrzymał nagrodę a Banyavary i Cilly za dwa ty-

godnie wystąpią w tytułowych jego rolach? Twoja babka jest tu od wczoraj...

Na tę wiadomość Koloman pobladł mimowolnie.

— Ah, a mnie nie zawiadomiła o swoim pobycie!

— To naturalne. I ja dowiedziałem się o tem tylko przez Korczę, który mi wieść tę zakomunikował pod warunkiem największej tajemnicy. Tobie zwłaszcza nie miałem o tem nic wspomnieć. To też nie mówię o tem nikomu — prócz ciebie. Obecność starej matrony w mieście zabija mi nielada ćwieka w głowę. Przez cały dzień jeździ wciąż gdzieś z Korczą, gdzie i po co, niewiem, a kiedy jest u Korczy w domu to ciągle spisują jakieś akta, w które Korcza nie dopuszcza zajrzeć żywej duszy. Ja wietrzę w tem jakieś niebezpieczeństwo... Wielkie to szczęście, że dramat twój przepadł i że obciąża cię tylko owe spotkanie w Kordicza. To jest dopiero „*actus minoris potentiae*,“ — dramat byłby już „*crimen laesae majestatis*.“ Ergo wiwat na cześć mądrego areopagu, który zdjął z ciebie winę tego występku! Teraz spieszę napowrót a jeśli tylko uda mi się jakim sposobem, wyludzę z Korczy tajemnicę tego co tu sprowadziło panią Jenői.

Koloman wzruszył ramionami. Jego nie obchodziło teraz nic zgoła.

Nie potrzebował wszakże czekać na pocziwe usiłowania Biroczy'ego. Rozwiązanie zagadki przyszło samo z siebie.

Zaledwie wyszedł przyjaciel, kiedy drzwi się otwarły i weszła babka.

W zwykłej swej domowej sukni, którą nosiła u siebie w małym miasteczku, ale nie z tą twarzą, którą miała zawsze w swoim domu.

Cała jej postawa, spojrzenie, zachowanie, znamionowały odtrącającą, nieprzystępną dumę. Była to prawdziwie pańska wyniosłość, połączona z szorstką, ponurą zaciętością.

Koloman spiesznie podszedł ucałować jej rękę. Dozwoliła mu to, ale ani ucałowała go w twarz ani też uścisnęła dawnym obyczajem.

Bez słowa powitania, nie czekając na zaproszenie siadła na jedynej sofce i rozejrzała się dokoła pokoju.

Po długiej chwili milczenia wyrzekła wreszcie :
— Gdzież twój dyplom ?

Koloman wyszukał go z szafy i podał.

Staruszka popatrzyła nań, odczytała umieszczone u spodu podpisy nazwisk i zwróciła go wnukowi.

Potem milczała dość długo, póki nie poczęła znowu szorstkim, oschłym tonem :

— Jakież to nędzne to umeblowanie !

Potem podniosła się, obeszła pokój dokoła, obejrzała wszystko, otwarła szafy :

— Jakaż grubą masz bieliznę! Toż to ta sama jeszcze, którą zabrałeś z sobą z domu!

Obejrzała łóżko:

— Nakrywasz się wełnianą derą?

Przepatrzyła puszkę z tytoniem, o której zawartości wyraziła się z równieź pogardliwie.

— Teraz chodź ze mną, odprowadź mnie.

Koloman pospieszył zmienić ubranie.

— Kto cię ubiera? Jakże ci źle leżą suknie!

Przed domem czekała doróżka, która ją tutaj przywiozła; doróżkarz miał sobie z góry poleconem gdzie ma ich zawieść. Wjechano w jedną z najbardziej ożywionych ulic miasta i tu zatrzymano się przed piętrowym domem.

Staruszka weszła wraz z Kolomanem na pierwsze piętro. Przed drzwiami nawprost schodów umieszczonemi zatrzymała się, wyjęła klucz z kieszeni i otwarła je...

— Wejdz!

Koloman zobaczył przed sobą wytwornie urządzonego pokój, wytapetowany, z olejnymi obrazami na ścianach. Był to salonik gustowny. Stąd babka otworzyła drzwi drugiego pokoju. Ten znów przekształcony był na męską pracownię; zaopatrzone on był w najdrobniejszych szczegółach w to wszystko co stanowi komfort dla mężczyzny. Oprócz eleganckiego biurka był tu jeszcze stolik do kart i fajczarnia z kosztownymi fajkami z morskiej piany; biblioteka,

przez której drzwi otwarte widać było szeregi książek w wspaniałej oprawie. Stąd weszli do trzeciego pokoju; była to właśnie sypialnia z prostem ale wygodnem urządzeniem. Z niej wychodziło się do małego gabineciku, z którego drzwi prowadziły do sieni. Całość była kawalerskiem mieszkaniem z dwoma wejściami.

— To będzie twoje mieszkanie na przyszłość — mówiła babka i objaśniała jakie przeznaczenie ma każdy pokój.

Potem otworzyła po kolei każdą szafę.

— Tu jest twoja bielizna, tu srebra, tu porcelana. Przyjmij sobie porządnego służącego, któryby zawiadował tem wszystkiem i który umiałby posłużyć i zarządzić, skoro zechcesz kogoś u siebie ugościć. Suknie każ sobie robić u Spekuli; to najwziętszy dzisiaj krawiec. Skoro kwiaty na balkonie przekwitną, powinienes je odesłać zawsze do ogrodnika a świeże sobie natychmiast sprowadzić.

I przy tych słowach odsłoniła ciężką firankę u drzwi i ukazała mu balkonik obstawiony kwitnącymi kwiatami.

— Teraz zejdź ze mną do stajni.

Koloman mechanicznie pozwolił się prowadzić babce. W dziedzińcu były stajnie; przed jedną z nich stał handlarz końmi i masztalerz. Staruszka skinęła na nich. Wyprowadzili ze stajni dwa konie; jeden był pięknym siwkim

jabłkowitym półkrwi, drugi porządnym bułanem.

Handlarz oznajmił, że jeden z nich kosztuje tysiąc dwieście, drugi dwieście pięćdziesiąt guldenów; któregoż zechcą państwo zatrzymać?

— Oczywiście obu — wymówiła pani. — Kto trzyma konia trzyma też do niego masztalerza a masztalerz potrzebuje także konia skoro ma panu gdzie towarzyszyć. Mój adwokat pan Korcza wypłaci należność.

Handlarz skłonił się głęboko i zapewnił jasnie pana, że zrobił dobre kupno. Cenę „Błyskawicy“ podawać będzie przed wszystkimi na tysiąc ośmset guldenów.

Serce Kolomana tak dziwnie jakoś było tem wszystkim ściśnione. Przeczował jakąś fatalność w całym tym zbytku, w który go wprowadzała babka nie spytawszy go nawet czy go sobie życzy lub nie?

— Weźże sobie klucze — powiedziała pani Jenöi — i wydaj rozkazy aby zniesiono to, co uważasz za potrzebne z dawnego twego mieszkania. Nędzne domowe sprzęty podaruj twemu służącemu.

A przytem mówiła do niego bezustannie tak oschłym tonem, jak gdyby nie znali się z sobą wcale.

Nakoniec Koloman zdobył się na odwagę spytania babki gdzie mieszka?

— Ja? W tej chwili nigdzie już... Powóz mój jest upakowany i stoi przed domem pana Korczy, dokąd też teraz powracam. Nie ma potrzeby abys mi tam towarzyszył. Doróżkarz wie już dokąd ma mnie zawieść. Ty uporządkuj sobie wszystko w nowem mieszkaniu. Tu masz klucz od twego biórka. W środkowej szufladce jego znajdziesz dochody twe półroczne. Dochody z majątku naszego Iran, przeznaczyłam dla ciebie. Sądzę, że ci to wystarczy. Wynosi to rocznie ośm tysięcy guldenów. Połowę znajdziesz w biórku, drugą połowę wypłaci ci dzierżawca na św. Jerzego. Gdyby ci to miało nie wystarczać, powiedz tylko panu Korczy a on już resztę załatwi.

W Kolomanie zdumienie panowało ponad wszystkimi innymi uczuciami. Czuł, że winien wyrazić wdzięczność za tyle łaski, graniczącej z rozrzutnością, niemal, ale zaledwie mógł o tyle pokonać uczucie przerażenia, że pochwycił rękę babki i do ust ją podniósł.

Babka zrozumiała pytanie kryjące się w tem zdumieniu a kiedy zimne usta Kolomana dotknęły zimnej jej ręki, cofnęła ją szybko, szorstkim niemal ruchem i wymówiła te słowa:

— Ucz się być panem!

A kiedy Koloman odprowadził ją do doróżki, od czego odwieść go chciała wzbraniającym ruchem ręki, raz jeszcze odwróciła się

babka ku niemu i powtórzyła poprzednie słowa:

— Bądź panem!

Poczem zatrzasnęła drzwiczki powozu i odjechała.

Koloman wszedł na górę do swego mieszkania.

A kiedy przeszedł wspaniałe pokoje, kiedy obejrzał swoje jedwabne i safianowe meble, rzucił się na mięką otomanę i zapłakał gorzko...

A więc *niczem, zupełnie niczem*, tylko wyłącznie „panem!”

Zemsta babki była zupełną. Czas doskonale był wybrany, dzień wielkiego upadku, wielkiego zawodu i rozczarowania! Wszystko składało się tak, by Kolomanowi postawić horoskop: „Jesteś niczem, jesteś tylko panem!”

WYSOKO NA KONIU.

Co jest różnicą między zwyczajnym człowiekiem a panem?

Pan siedzi wysoko na koniu.

Strzemień jest pierwszym do wysokości krokiem.

Jesteś ograniczonym? Siadaj na koń a już z ciebie wnet mądry człowiek.

Nie możesz pożyczyć pieniędzy? Siadaj na koń a przyniosą ci je do domu.

Masz twarz krzywą i ospowata? Siadaj na koń a stałeś się już pięknym mężczyzną.

Twoja ukochana ani chce słyszeć o tobie? Siadaj na koń a zakocha się w tobie śmiertelnie.

Jesteś tchórzem, bojaźliwym? Siadaj na koń a zostaniesz bohaterem.

Koń jest uszlachcającą częścią człowieka.

Już u Rzymian tytułem szlachcica było „*eques*“ a u Szeklerów oczczono dostojników ty-

tułem „głowy rumaka.“ Pośród świętych nawet dwu jest, którzy się ukazują chrześcijańskiemu światu na koniu: św. Marcin i św. Jerzy, choć to nie mało irytuje nieraz pobożnego mieszczanina, że musi nieść swe modlitwy do umieszczonego w ołtarzu św. Jerzego, którego koniowi dostaje się ich połowa. Pośród bogów starożytności jednak jeden Apollo tylko trzymał sobie konie, cug czwórki do swego faetonu i wierzchowca, Pegaza, kiedy się brał do robienia wierszy.

W świecie przecież daleko więcej ceni się zwykłego dobrego folbluta od Pegaza.

Doświadczenie to zrobił nasz bohater, Koloman.

Dostrzegł, że wszystko to, czego się nauczył w szkołach i wbił sobie w głowę nie tak go prędko naprzód poniesie jak dobry wierzchowiec.

Młodzież uważała go za swego pioniera i dowódcę. W salonach dostojników stał się mile widzianym gościem. Wysoko postawieni panowie zaszczycali go swą przyjaźnią. Dawniejsi koledzy szkolni poczęli pokornie prosić o szacowną jego protekcją a elegancocy panicze wyświadcza mu ten honor, że pożyczali od niego pieniędzy.

W domu Decserych wszakże w szczególności mógł zauważyć, że jest... jeźdźcem. Na zimę powróciła księżna znowu do Pesztu i w tym

czasie Koloman był codziennym gościem w jej salonie.

Uczył się być dowcipnym, przyjemnym. Odzwyczajał się od głębokich poetycznych rozmów a począł natomiast rozsądnie rozprawiać o wydarzeniach dnia i ćwiczył się w sztuce szlachetniejszej mowy ludzkiej.

Przez Decserów był również wprowadzonym na dwór palatyna. Palatyn miał podówczas trzecią już żonę a arcyksiężniczka była wtedy młodą matką, na której cześć, dwór w Budzie pełen był całego tego przepychu, na jaki podówczas nas stać było.

Ich wysokości wyróżniały zawsze bardzo pięknego młodzieńca, któremu raz nawet dozwolono odtńczyć na jednym z dworskich balów sławny solowy taniec węgierski.

Z okoliczności tego tańca zakochały się w nim wszystkie obecne panny i panie, a hrabiankę Dorotę, która owego wieczora właśnie po raz pierwszy wprowadzoną była na dwór palatyna — arcyksiężna osypała powinszowaniami i łaskawemi aluzjami, na które uroczą twarz Madonny oblał rumieniec.

Palatyn sam raczył po kilkakroć uprzejmie zamienić kilka słów z Kolomanem. Powiedział mu, że znał również jego ojca. Był to dobry żołnierz i przelał własną krew za monarchę.

Koloman zwrócił uwagę jego wysokości, że i w jego żyłach płynie krew ojca.

— Tylko już czas zarzucić wszelkie pisaniny kronik!

Losów cytwarskiej kroniki nie mogli zapomnieć tu jeszcze...

Acz tyle w świetnych tych salonach woniało perfum, kadzidel, piżma, zawsze jednak czuć tu po przez wszystko wyziew stęchłych tradycyj z czasów Rakoczy'ego. Odurzające kosmetyki nie mogły jeszcze nadać dostatecznego odoru prawomyślności młodzieńcowi, który raz taki błąd popełnił.

A przecież on się starał ile mógł tylko błąd ten naprawić; jego książęca mość nie wahał się po kilkakroć przy sposobności wyrazić najdojstojniejsze swe uznanie z powodu, że nadżupan Decsery miał znowu jedną z tych mów mistrzowskich, które najlepiej wyrażają tendencyą taktownej a lojalnie patryotycznej jego polityki.

Była to pośrednia dla Kolomana pochwała, powszechnie bowiem wiedziano, że to on pisze dla nadżupana mowy...

Skoro nastala wiosna, dozwolono Kolomani w towarzystwie pań Decsery przybyć w odwiedziny do Alesutskiej rezydencyi, gdzie rodzina arcyksiążęca spędzała zwykle najgościejsze miesiące letniego sezonu.

Rodzina palatyna żyła tu oalkiem swobodnie pośród ludu i nie odcięta od niego. Arcyksiężna niezliczone razy zstępowała do chat wieśniaczych, wspierając ubogich, pielęgnując chorych lub trzymając do chrztu nowo narodzone dzieci; jej pasierby a i własny jej synek bawili się z wiejską dziatwą.

Na trawnikach, gdzie rozlewała się woń różanych krzaków, często tu można było widzieć uroczą arcyksiężną, podówczas młodą, wesołą kobietę, zawsze przybraną w białą suknię — jak z synkiem na kolanach, otoczona pasierbami przysłuchiwała się żartom pięknego młodzieńca, który młodziutkiemu arcyksięciu opowiadał wesołe ludowe węgierskie baśni niegdyś zasłyszane od swej babki. Arcyksiężna zaś promieniała radością widząc jak się śmieje jej dziecię, a palatyn aż weselszym się stawał radością wszystkich.

Pewnego dnia księżna Decsery niespodzianie oznajmiła Kolomanowi przyjemną nowinę, że w tych dniach otrzyma nominacją na sekretarza przy *Locum tenentiale*.

Wielki to krok naraz!

Przy tej sposobności księżna zwróciła jego uwagę na to, iż za dni kilka przypada uroczystość urodzin małego arcyksięcia, przy której to sposobności byłoby ze strony Kolomana wielce szczęśliwą myślą, gdyby, jako człowiek zajmujący się pisaniem wierszy, ułożył ładny

okolicznościowy wierszyk i wydrukowany przesłał następnie rodzicom dziecka.

Koloman zagryzł usta. Niedosć mu wiedzieć, że szczęście swe zawdzięcza dziecku, maż jeszcze na to wystawiać świadectwo i świadectwo to w dodatku jeszcze ubierać w szatę rymów.

— Wybaczy, księżna pani — wymówił i głowę w tył odrzucił — babce mojej musiałem przyrzec uroczyście, że nigdy nie będę pisał wierszy, jakiegokolwiekby one były rodzaju.

— Tak? — wymówiła księżna z szczególną jakąś intonacją. — Niechże więc tak będzie... Co panu babka nakazuje, dochowaj tego zawsze wiernie. Ja tylko prosiłam.

W słowach jej czuć było wyraźnie: „A przecież i ja miałam dla ciebie być babką!“

Jednakże wskutek tego nie wspomniała mu już nic o owem wierszowanem powinszowaniu, z czego szczerze rad był Koloman. Do wszelkich bowiem powinszowań czuł zawsze wstręt nieprzezwyciężony. Sprawiały mu one wrażenie pocałunku, składanego na opiętej w rękawicze ręce.

We dwa dni później miał już nominacją na ów zazdrości godny urząd w ręku.

Nominacją tę trzeba było uroczyście oblać wielką pijatyką.

Koloman na uroczystość tę zaprosił całą znaną sobie młodzież, pośród niej znajdował się oczywiście i Balvandy, z którym zawarł i utrzymywał przyjaźń serdeczną, odkąd i on już należał do jeźdźców. Każdy podnosił z kolei toast na zdrowie Kolomana. Sławiono go jako dumę młodzieży, jako pełnego rycerskości młodzieńca, jako wielkiego człowieka, jako przyszłego ojca ojczyzny, jako szczodrego gospodarza. Biroczy był niewyczerpany w dowcipnych mówkach.

Balvandy pił zdrowie Kolomana jako swego niepokonanego wszędzie rywala, który go zawsze wysadzał z siodła gdzie tylko walka toczyła się w oczach pań... Na zakończenie wszystkich toastów rozbito oczywiście wszystkie kieliszki, szklanki, półmiski i talerze. U szklarzy i w składach porcelany koniec końców zawsze dość jest naczyń.

Nad ranem, kiedy młodzież, pod wpływem rozdrażnienia, spowodowanego całonocną pijatyką, sama już nie wiedziała co ma począć, spostrzegł któryś rapiery na ścianie i zaproponował żeby spróbowano się potykać, każdy na cześć damy swego serca.

Dobrze! W mgnieniu oka w salonie poodsuwano stoły, krzesła; wesola młodzież przywdziała druciane maski, fechtunkowe rękawice i pokazywała co umie.

Dwoma bohaterami w tych zapasach, którzy pokonali wszystkich innych, byli Koloman i Balvandy.

Pozostawało im stoczyć teraz z sobą bójkę; a nie oszczędzali się w niej bynajmniej.

Całe towarzystwo przyznało, że Koloman bije się jak gladyator.

Balvandy sam przyznał również, że nigdy jeszcze nie trafił na tak zaciętego przeciwnika.

Potem rozstali się wszyscy po przyjacielsku i rankiem już dopiero szli na spoczynek.

I Koloman położył się do łóżka, ale sen nie przychodził mu na powieki. Patrzył na adamaszkowe frunki i różnobarwne na nich kwiaty i myślał sobie:

— Jak też ja teraz świat oszukuję! Toż ja nie jestem ani panem, ani wesołym chłopem, ani gladyatorem. Ani spadkobiercą bogatej rodziny, ani protegowanym książąt. Ani wielkim człowiekiem, ani urzędnikiem dążącym do wzniesienia się, ani też dworakiem, któremu wszyscy zazdroszczą... Ten przepych cały ten blask marnotrawny, który mnie otacza, nie jest moją własnością, nie jest prawdą mego życia. Wszystko to tylko uzurpacya, kłamstwo, drwiny ze świata. Ja przecież jestem nie czem innem tylko chybionym poetą, którego odtrąci od siebie rodzina, przed którym zamkną drzwi arystokratycznych salonów, którego powołaniem jedynem jest cier-

pieć i zmarnieć. A przecież jestem tem... I nie jestem niczem innym. Wszystko inne jest tylko kłamstwem. Ciekawa rzecz jak też to długo potrwa jeszcze?

O, duszy swojej wyrzec się, wygnać od siebie nie można!

Można zapomnieć swej miłości, swej zemsty, utraconego bogactwa — ale Muzy nigdy.

Powraca ona do swego oblubieńca a chooby ją po sto razy od siebie odpędzał, napęlnia serce jego rozkoszą, jakiej mu nigdy nie dadzą żadne usta kobiece.

Pod razami różgi wśród łąk przemawia Owidyusz jeszcze wierszami: „Ojcze, daruj nie będę już składał nigdy wierszy!“ A razem różgi losu wtóruje harmonia liry. Ona pociesza, ożywia, ona też i zabija!

Daremnie zastawiają nań sidła, by się potknął, on niesie gwiazdę u czoła, która go napowrót w niebo podnosi.

Daremnie mówią mu: „Niema takiego coby cię zrozumiał!“ On śpiewa kamieniom jak Orfeusz; śpiewa morzu jak Ossyan; śpiewa puszczie jak Petöfi; śpiewa murom jak Balassa, albo, co zimniejsze jeszcze, więcej odarte z uczuć niż skała, pustynia i morze, śpiewa księżom, jak Dante.

To nie dawało Kolomanowi zamknąć do snu oczu.

— Jak też długo jeszcze zdołam ukrywać, że ja i dusza moja nie po jednej chodzimy drodze? że spragniony wychodzę z pijatyki, nieszczęśliwy z miłosnej schadzki wracam do domu a poniżony z regionów sławy i zaszczytów?

Okna sypialni były przysłonięte, aby w niej było ciemno. Ale jedna połowa okna w pracowni była otwarta a tą poprzez różową frankeę sphywał jasny promień słońca na biurko.

Zdawało mu się, że dusza jego siedzi tam, u tego biurka.

Na czystej ćwiartce papieru leży pióro, przez ciąg długich miesięcy nietykane.

Ślubu zrobionego dotrzymał wiernie; nie napisał tu ani jednej jeszcze poezyi; do urzędowej pisaniny później dopiero będzie miał sposobność. Pióro jego przeto mogło sobie odpocząć.

Nagle zdawało mu się, że opuszczone pióro porusza się samo z siebie, że w górę podnosi się jego chorągiewka jakby się zabierało do pisania, że koniec jego drgający, zanurzony w różanym słońca promieniu kreśli jakieś litery na rozłożonej kartce.

Aha! stara bajka o samopiszącym piórze! Pająk co swoją nić uczepił u chorągiewki pióra i na niej ją podnosi! — pomyślał sobie i zasnął.

Kiedy wreszcie późno się obudził, nie przyszła mu już na myśl wizya poranna o samopi-

szącym piórze. Czuł jakiś niesmak w ustach i zdawało mu się, że go boli na głowie włos każdy. Taka doskonała zabawa to wcale korzystny wynalazek do zabicia myśli.

Nazajutrz poszedł do palatyna aby mu złożyć podziękę za niezmierną łaskę, a na obiad pojawił się u Decserych.

Księżna zachwycona opowiadała Kolomanowi w jakich łaskach jest u — małego arcyksięcia. Tak często go wspomina...

Dnia tego hrabianka Dorota była szczególnie jakoś zachwycającą.

Twarz jej zdradzała często, że ma przed Kolomanem jakąś tajemnicę, którą radaby by przed nim odkrył kto inny.

Owym kimś była księżna.

— Ani pan przeczuwasz nad czem Dorota łamie sobie teraz głowę?

— Ależ mam — przerwała hrabianka zawstydzona.

— No, to pokaż-że mu — ośmielała księżna — on się zna na tem, z niego kompetentny sędzia.

— Cóż to takiego? — dowiadywał się Koloman ciekawie.

— Otóż, uważasz pan, ponieważ panu nie wolno pisać wierszy — ozwała się księżna z filuternym uśmiechem spoglądając na zarumienioną wnuczkę — więc Dorota napisała wierszyk na uroczystość urodzin pańskiego ulubieńca...

I przy tych słowach odebrała nawpół przemocą wiersz, który Dorota wpół radośnie dała sobie zabrać i podała go Kolomanowi.

Dorota odwróciła się do okna niby nierada temu co się stało; ukradkiem wszakże spoglądała na Kolomana kiedy odczytywał jej utwór.

— Nie wiedziałam nic o tem — objaśniała księżna; jej samej przyszła ta myśl do głowy, skoro pan nie możesz napisać tego wiersza ona go za pana ułoży.

Śliczna rzecz, myślał w duchu Koloman; ja, który to umiem, nie mogę pisać poezyi aby się tobie przypodobać; ale ty, która nie rozumiesz co to poezya będziesz rymować dla przypodobania się mnie...

— No, cóż pan o tem sądzisz? usiłowała księżna wybadać sąd jego.

Nie było łatwo w istocie wyrazić tu swoje mniemanie. Bo jeśli Koloman dozwoli mówić poecie, to ten będzie musiał dość cierpkie wypowiedzieć uwagi. Myśli są wielce pierwotne, naiwne; wiele w nich powtarzania się; bezpotrzebne słów marnotrawstwo; niezbyt trafnie dobrane wyrazy; w wyrażeniach zupełny brak polotu; najkompletniejszy brak poczucia metryczności; źle brzmiące męskie rymy, po większej części nawet nie dźwięk ale stuk rymów; całość jest wyrazem prawdziwie kobiecej liry.

Jeśli jednak da głos zakochanemu! O, ten całkiem co innego wyczytał z tej poezyi.

Pobożne usiłowania kochającego ducha, który słabemi swemi skrzydły, pragnie podnieść przykutego do ziemi Prometeusza. Świadectwo ofiarności uczucia. Czarowne wyznanie miłości w postaci sennej wizyi.

Uwielbiane serce w ten sposób daje znać duszy pokrewnej, że ukochało to, co ona kocha; że nie jest zazdrosnem o swoją rywalkę muzę, że i ono składa swój szeląg ofiarny na ołtarzu bożyszcz ukochanego mężczyzny — co to jest, ile to warte, któżby pytał o to?

— Bardzo ładne — wymówił Koloman a jeśli mu odpowiedź tę podszeptało serce, nie skłamał nawet.

— O, to nieprawda! — broniła się Dorota; — ja sama wiem bardzo dobrze, że tam jest pełno błędów.

— Ładne jest tak jak jest... Hrabianka może spokojnie pod tem podpisać swe nazwisko.

— Ja panu pokazałam nie na to abys pan chwalił, ale na to abys mi poprawił błędy.

— W takim razie jednak oboje napisalibyśmy ten wierszyk i oba nasze nazwiska musiałyby być pod nim położone!

— To niech tam będą podpisane oba — powiedziała Dorota zbyt skwapliwie.

Księżna pospieszyła skierować rozmowę na zwykłe tory...

— To byłoby zawczasie jeszcze. Lepiej będzie abyś pan objaśnił dokładnie Dorotę co do błędów w technicznej budowie, której reguł ona się nie uczyła nigdy.

Koloman pochwyił skwapliwie sposobność udzielania hrabiance lekcyi prozody, wyjaśnienia jej co to jest rym a co assonans i t. p.

Następstwem tego było, że Dorota wedle własnego pojęcia już mogła podjąć poprawę błędów w owym wierszyku, który takim już doszedł swego przeznaczenia i niezawodnie sprawił właściwe wrażenie.

I odtąd jak się zdaje, hrabianka Dorota nabrała gustu do pisania wierszy.

Codziennie sprawiała Kolomanowi niespodziankę nowym utworem.

Oczywiście były to wielce niewinne rzeczy. Myśli dziecięcej duszy, których nie ogarnął płomień palącej fantazyi.

Kochające serce wszakże nie pytało jakimi są te wiersze, dość, że są to wiersze.

Ofiarne gołębie na ołtarz jego bogini, na którym jemu nie wolno zapalić ognia!...

Największą przyjemność sprawiała Kolomanowi to, że rodzina Decsery pieszczotliwie, żartami, poczęła zwać ją „małą poetką“.

A słówko to dwuznaczne nieco; może bowiem oznaczać i „żonę poety“.

Dlatego też Kolomanowi naiwne te rymy więcej rozgrzewały serce niż wszystkie żary Byrona, Goethe'go i Tassa.

Zima zbliżała się, w budeńskim zamku czyniono przygotowania do świetnego sezonu. Trzy bale dworskie projektowano na karnawał, prócz tego dwa koncerty i teatr amatorski. W arystokratycznych kołach pełno było tajemniczych sprzysiężeń w kwastyach balowych tualet, a wiedeńscy i peszteńscy artyści naprzód już byli pozamawiani.

I w pałacu Decserych byli tacy, co już naprzód marzyli o przyjemnościach karnawału. Kto to wie jakie rzeczy jeszcze wie dzie ten karnawał w swoim orszaku. Milczący stosunek między młodą parą tak już powszechnie był znanym, że aranżerowie amatorskiego przedstawienia wcale już nie zaprosili Kolomana ani Doroty do wzięcia w grze udziału; w tak już daleko zaszłem stadyum skłonności serdecznej byłoby niewłaściwem by przeznaczona dla siebie para publicznie występowała razem na deskach scenicznych.

Los wszakże te słodkie plany złotą rojeń przedzą nagle przekreślił czarnym krzyżem.

Najmłodszy arcyksiążę, ukochane dziecko rodziny, pewnego jesiennego południa dostał

krupu i wszyscy najznakomitsi lekarze świata nie mogli temu zapobiedz, by na trzeci dzień nie uleciał tam, gdzie w chórze aniołków potrzebne są i głosy księżęcych dzieci.

Smutny ten wypadek położył koniec wszystkim świetnym przygotowaniom. Dwór był w żałobie i dlatego też wyrzeczono się wszystkich balów i koncertów. Wiele rodzin arystokratycznych wyjechało napowrót do Wiednia, aby nie być zmuszonymi do spędzenia zimy w smutnem mieście; żałoba ta pokryła miasto całe.

Umysł arcyksiężny był złamanym; nie można jej było nakłonić aby opuściła zamek Alesutki. Chciała pozostać tam w pobliżu drogiego swego zmarłego, a kiedy późna ostra już nastąpiła roku pora, codziennie jeszcze zwiedzała po kolei wszystkie te miejsca gdzie z ukochanem małenstwem bawiła się zwykle w słoneczne popołudnia, gdzie on rączyną swoją chwycił złotoskrzydłe motyle. Teraz tam unoszą się w powietrzu tylko ómy uwiędłych liści a niezadługo już tylko białe motyle śniegowych płateczków zawisną w powietrzu.

I śniegu płatki zastały jeszcze arcyksiężnę w Alesucie. Nie można jej było nakłonić do powrócenia do Pesztu. Całe dnie spędzała w dawnym pokoju swego małego dziecka; oglądała po całych godzinach jego sukienki i zabawki; cieszyła się widokiem bezkształtnych rysunków,

które dziecina pokreśliła na szyfrowej tabliczce. Były to dla niej cenniejsze arcydzieła niż wszystkie twory Rafaela razem wzięte.

A skoro tylko dowiedziała się, że gdzie na wsi jest jakie dziecko chore, chodziła odwiedzać je codziennie i spędzała całe godziny u jego łóżka.

Chore dzieci przecież lękały się jej bardzo. Dlaczego jej się obawiały?

Dlatego, bo arcyksiężna tak dziwne w ucho szeptała im rzeczy... Pieściła je, całowała a pośród pieszczot i pocałunków prosiła szeptem aby skoro pójdą do nieba — zaniósł drogą jej dziecinie pozdrowienie od niej i powiedziały mu, że matka zawsze, ale to zawsze o nim wyłącznie myśli.

Dlatego chore dzieci drżały na jej widok i lękały się jej odwiedzin; Bóg wie czemu, ale dzieci niechętnie idą do nieba wówczas nawet kiedy tak miłemu towarzyszowi zabaw mają tam zanieść poselstwo.

Co wieczór zaś zamykała się księżna w swoim pokoju i do późnej nocy siedziała tam przed melodykonem śpiewając psalmy przy wtórze organków. Była protestantką. Każdy kto znał jej boleść miał dla niej głębokie współczucie.

I Kolomana przejęła bardzo śmierć jego małego protektora.

Napisał wiersz bardzo piękny, serdecznym a głębokim duchem poezji owiany, na śmierć

drogiej dzieciny. Teraz nie trzeba go było do tego namawiać jak do owego powinszowania. Teraz zakaz babki nie był mu już przeszkodą; tak samo też na przeszkodzie nie stała mu duma i poczucie własnej godności. Opiewać zmarłe dziecko książęce nie jest już pochlebstwem.

Arcyksiężna włożyła wiersz ten w swoją książkę do nabożeństwa a poecie podziękowała zań w własnoręcznym liście. W bileoiku tym przyrzekała mu, że skoro kiedy mieć będzie jakie życzenie, na którego spełnienie ona by wpłynąć mogła, to niechaj ją o tem zawiadomi a może być pewnym, iż w niej znajdzie zawsze szczerego protektora.

Krok ten delikatny a dowodzący, że współczuje z boleścią rodziców dał Kolomanowi na dworze palatyna takie prawa, których mu wielu wysoko położonych panów zazdrościło.

W budeńskim zamku wszakże biegły dni w urzędowej jednostajności.

Jego książęca mość codziennie udzielał audyencyi i nie było dnia, który byłby zachował sobie dla własnego odpocznienia.

Budeński zamek podówczas był urządzonej jeszcze z wielką prostotą. Papierowe tapety tylko pokrywały ściany, nie jak dziś atłasy i marmury, a w umeblowaniu audyencyonalnej sali nie zobaczyłeś złocen ni aksamitów; krzesła

i kanapy były lakierowane na białe i obite zieloną skórą. A jaką była sala posłuchań, takim też salon, przeznaczony do czekania. U ścian długie sofki bez poręczy, w pośrodku stół pokryty sukmem, przy którego jednym końcu siedział sekretarz palatyna i zapisywał kolejno wchodzących, ażeby ich pojedynczo wpuszczać potem do jego książęcej mości.

Urząd ten wymagał niezmiernej bystrości, rozumu i znajomości stosunków. Umieć odgadnąć pozycyą, dostojenstwo i znaczenie podanego nazwiska i wedle tego osądzić kto pierwej, kto zaś później ma zostać przypuszczonym przed oblicze władcy. Poznać każdą „*persona grata*,“ która przed wszystkiemi ma pierwszeństwo. Wybierać też należyćie przedmioty, z którymi się zgłaszają. Bo często bardzo przybywają tacy wielcy panowie, którzy mają do zakomunikowania rzecz bardzo małej wagi i tacy znów maluczcy, których sprawy są bardzo ważne; w takim razie ci ostatni muszą mieć pierwszeństwo. A gdyby jakiś dopuszczony do audyencyi miał zbyt długo bawić u palatyna i nadużywać tym sposobem jego cierpliwości, wejść do sali audyencyonalnej z jakimś papierem i tym sposobem zwrócić uwagę owego niedyskretnego, że są i inne jeszcze sprawy. Jest to urząd ważny niezmiernie.

I teraz w poczekalni jest pełno. Wszystkie klasy towarzystwa mają w niej swych przedstawicieli; duchowni dostojnicy, z złotymi krzyżami na piersiach i fioletowymi kołnierzami; deputacye w galowych strojach i wdowy w wytartych czarnych sukniach; starzy jegomości w wyszarzanych lisich futerkach i zagraniczne wielkości w haftowanych złotem frakach; demisyonowani żołnierze z drewnianymi nogami; a wszystko to gromadzi się w pojedyncze grupy i objaśnia sobie wzajemnie w jakim przybywa interesie, lub informuje się u sekretarza kto obecnie jest u jego książęcej mości?

— Poseł turecki, Abdi basza.

— A, poseł turecki! Niechajże tam będzie w imię Boże.

— Ale w jakim też mogą oni z sobą rozmawiać języku?

Teraz wchodzi nowa postać; już z przedpokoju dochodzi brzęk ostróg, zwiastujący, że to coś wojskowego.

To major Satory w galowym mundurze, z wszystkimi swymi orderami na piersiach.

Nie przynosi z sobą żadnego papieru, sprawę swoją wnosić więc będzie ustnie, a odbywać się będzie w takim tonie, że cała publiczność, zebrana w przyległej sali będzie mogła słyszeć wszystko doskonale...

Sekretarz podnosi się grzecznie na jego przybycie, ale on majestatycznymi krokami okupuje teren.

— Kto jest teraz u jego książęcej mości? — pyta stentorowym głosem.

Sekretarz wie już, że bezpotrzebnem byłoby odpowiadać tu słowami, i pokazuje mu zapisane nazwisko.

— A, ambasador turecki? Bardzo dobrze. Kto jeszcze jest zapisany przedemną?

Sekretarz wskazuje mu uprzejmie.

— Prałat z Kolocsa? Bardzo słusznie. *Ecclesia praecedit*. Kto więcej?

Wskazują mu znowu.

— A, kuryer kanclerza. Z ważnem poselstwem. Ma pierwszeństwo. Kto więcej jeszcze?

Znowu nowe wskazują mu nazwisko.

— A, wicekapitan z deputacją Kumanów i Jazygów? Niechajże sobie oni przedemną pomówią z jego książęcą mością. Kto jeszcze?

Sekretarz ukazuje dalej.

Co? Biedna wdowa po bakałarzu? Wdowy mają zawsze pierwszeństwo. A potem?

Pociąga palcem po kilku nazwiskach.

— *Septemvir, tabularis assessor*? Ci mogą sobie poczekać...

Wyrazy te rzucił weteran z całą namiętnością.

Toż tych właśnie najwięcej ma na wątrobie. Przeciw tym właśnie zamierzył wylać swą

skargę przed oblicze jego książęcej mości. Po to właśnie przybywa tutaj.

Bo teraz już nie adwokatów czepia się on o sfalszowanie procesu Csollanów. Teraz przyszła kolej na sędziów.

I tych obiegł od pierwszego do ostatniego. Ale to nie nie pomaga. Proces rozwodowy wlecze się powolnym ślimaczym krokiem od jednego forum do drugiego, a skoro tylko o krok jeden posunie się naprzód, odsyłają go znów natychmiast wstecz napowrót.

To wstyd i hańba doprawdy!

Ma człowiek wszelkie prawo do olbrzymiego majątku, ale nie może dożyć, by mu go przyznały sądy!

Dlatego to owe z takim wybuchem gniewu wypowiedziane wyrazy:

— „Ci mogą sobie poczekać!“

Niechaj i oni raz pokosztują jak to smakuje czekanie.

Sala zaludnia się bezustannie coraz to nowymi suplikantami, sekretarz po kolei spisuje ich nazwiska, ale turecki pasza trzyma wszystkich w oczekiwaniu.

Tak, musi to być rzecz nie małej wagi, nad którą obradują teraz Turcyja z Węgrami!

Major Satory spożytkowuje długą pauzę na wdanie się w rozmowę z pojedynczemi grupami w poczekalnej sali; to znaczy, on mówi do

nich a ci słuchają: prałaci, dyplomaci, deputacye.

Ze wszystkiemi mówi o jednym i tym samym przedmiocie: o tych pijawkach, przewłóczających procesy w nieskończoność, o tych zwłóczących krętaczach adwokatów i sędziach, którzy im dopomagają i idą z nimi ręką w rękę.

— Jeden jest rozbójnikiem, drugi złodziejem. Biada temu, który u nas rozpoczyna proces. Ani wnuki jego jeszcze nie dożyją końca tego procesu. Gdzie tylko jest jaki sędzia, jaka dykasterya tam trzebaby to wszystko w czambuł spędzić w jedną karną kompanię i posłać co najmniej na trzy lata do ciężkich robót.

Niechaj sobie słyszą to obecni tu septemwiry i asesorowie i niech im żółć się rozleje!

I doprowadzając do rozlania się żółci u innych, nasz pan major popada sam w strasznie pieprzny humor; zbyt ciasny, opięty mundur dusi go straszliwie; robi mu się w nim dziwnie gorąco, a potem parno jest też w tej sali od natłoku ludzi; twarz jego jest okropnie czerwona a na białkach oczu występują krwawe żyłki.

Ale musi jeszcze swoją historję opowiedzieć temu Francuzowi w złotym haftowanym fraku, który z rogatym kapeluszem dyplomaty pod pachą czeka tutaj: i zgodnie z zamiarem poczyną też dobrą, jędrną francuzczyznę, opowia-

dać jakimi to w tym kraju wszyscy kupujący sprawiedliwością faryzeusze i uczeni w piśmie, poczynawszy od adwokatów a kończąc na najwyższem forum, są kryminalistami i zbrodnia-
rzami i że teraz, za chwilę, oskarży on ich wszystkich tak przed jego książęcą mością, że cudem chyba będzie jeżeli on ich zaraz nie rozpędzi wszystkich, a proces w przyszłości nie odda w ręce audytorów wojennych sądów, jak to ma miejsce w Turcyi i co też jedynie jest dobrem i sprawiedliwym.

Nieszczęsny solo stojący cudzoziemiec daremnie się bronił; daremnie oznajmiał, że ani słowa nie rozumie po francusku, jest bowiem Włochem; wszystko to jedno. Musi wysłuchać wszystkiego, co dlań jest przeznaczone. Protesta jego, ruch ust, wzruszania ramionami w oczach kompletnie głuchego majora wyglądają tak jak gdyby ów cudzoziemiec bronił napastowanych przez niego i dlatego też wywołują jeszcze żywsze napaści.

Całe szczęście, że z obecnych w sali jedna część nie rozumie francuskiego, druga włoskiego języka, większość zaś ani francuskiego ani włoskiego nie umie i tym sposobem nie jest w stanie pojąć konieczności dyalogu; ale jego wielebność prałat Kalocsajski rozumie oba języki i dlatego też potrzebuje całej siły na to by zapanować nad owym wewnętrznym organem,

który wywołuje zewnętrzne zjawisko śmiechu, by nie wybuchnąć wesołością i wobec całego zebrania, w arcyksiążęcej sali ze złotym na szyi krzyżem i w fioletowej sutannie homerycznym swoim śmiechem nie zamącić uroczystego półszceptu.

Potem odszukuje jeszcze major huzarów siedzącą w kąciку wdowę po bakałarzu.

— A co, nieprawda, i panią również ci nikczemni adwokaci i te sądy przeklęte doprowadziły do takiej nędzy!

Bynajmniej, uboga wdowa przychodzi tu, by wymodlić dla siebie jaką pensyjkę. Ale daremnie mu to mówi! Major Satory zapewnia ją, że skoro tylko tam się dostanie, powie jego książęcej mości, że w sali poczekañ siedzi biedna wdowa, z której również ci krętacze prawa i asesory wyssały wszystko — zapewnienie, które nieszczęsną wdowę do prawdziwej doprowadza rozpaczy.

Ale kiedyż jednak wreszcie dostanie się major do jego książęcej mości.

Teraz wchodzi znów ktoś nowy do sali; sekretarz ujrawszy przybyłego zrywa się ze swego miejsca i biegnie naprzeciw niego, by go powitać.

Wszyscy spoglądają, a i mojar z nimi, kto to być może właściwie? Młody jakiś człowiek. Twarz piękna, modne ubranie, ale nic rażącego

w całym układzie. Większa część nie wie kto to taki? Ten lub ów może go i gdzie widział, ale zapomniał już, zwłaszcza też asesorzy. Major Satory wszakże poznaje go wybornie.

To ten „chłopak,” na którego kiedyś u adwokata Korczy napadł tak zaciekle i który to wówczas stanowił przypatrującą się publiczność owej kredą prowadzonej rozmowy, która skończyła się zwycięstwem adwokata Korczy a porażką majora.

Ten dzieciuch!

A sekretarz powstaje przed nim i jeszcze wychodzi naprzeciw niego!

Prawdopodobnie to jakaś znajomość z knajpy lub z balu. Stąd taka czuła przyjaźń.

Nagle przecież zwraca się uwaga ogółu od nowo przybyłego z powodu okoliczności, oczekiwanej z utęsknieniem, iż od sali palatyna słyhać zbliżające się do drzwi kroki. Wreszcie żegna się też i ambasador turecki.

Każdy, co go nie widział wchodzącego ciekaw jest go zobaczyć. Tureckiego ambasadora nie pokazują przecież codzien w Peszcie, takiego zwłaszcza Abdi'ego baszę.

Z piękną do piersi spadającą czarną brodą, z głową okręconą siedemnastu łokciami kosztownego muślinu w misterny turban ułożonego, a w nim czapła kita z brylantową agrafą, musi on oczywiście mieć na sobie kaftan do pięć

sięgający z wytwornego szalowego materiału, na brzuchu pas z indyjskiego szala, z po za którego wyglądają turkusami sadzone oprawy pistoletów i połyska srebrna rękojeść handzaru! A zamiast tego wychodzi jakiś dwudziesto-pięcioletni bez zarostu chłopczyzna, z okrągłą czerwoną sukienką patelnią na głowie, w spodniach i granatowej atylli; i ma tu mu kto wierzyć, że to jest Abdi basza!

No, prawdziwie, z powodu tego człowieka nie opłacało się tak dystyngowane towarzystwo narażać na tak długie czekanie.

A dotego jeszcze poseł turecki nie jest nawet poważnym, szanującym swą godność dyplomata; to dworak wesoły, rozglądający się dookoła, szasta się, kłania na prawo i na lewo a nawet potrąciwszy się z owym młodzieńcem, który wszedł przed chwilą, ściska go po przyjacielsku za rękę, poczem obaj zaczynają rozmawiać w języku, którego nikt nie rozumie, w jakimś języku, bardzo do żydowskiego podobnym; jakiś obecny kapitan okrętu czyni spostrzeżenie, że mówią po angielsku.

Kiedy już poseł turecki się oddalił, spieszy sekretarz z listą zameldowanych do jego księżęcej mości.

Po kilku minutach wraca znowu, przystępuje spiesznie do Kolomana Jenöi i bierze go pod ramię.

— Zechciej pan wejść do jego książęcej
mości.

Koloman udaje się do audyencyonalnej sali
a pozostali w poczekalni spoglądają na siebie
w zdumieniu.

Major Satory chwyta konwulsyjnie za rę-
kojęść szabli i zacina usta ażeby z nich wbrew
jego woli nie wybiegło to co sobie samemu
w myśli mówi...

— A więc kimże właściwie jest ten chłopak
a kim my reszta, tu pozostawieni i kto ja je-
stem pośród tych wszystkich? Bez wszelkiej
protekcji przecież wyszedłem na majora. Na
koniu, na czele mego pułku wchodziłem do Pa-
ryża i Neapolu i do Smoleńska. W szesnastu
bitwach widziałem jak śmierć tuż obok mnie
kładła pokosy. Ślady jej zębów do dziś dnia
noszę jeszcze na mojem ciele, a noga moja jest
barometrem z powodu kuli, która w niej tkwi
dotąd. Na piersi noszę orderzy od panujących
siedmiu krajów. A tu przychodzi smarkacz,
gołowąs, nic i nikt i tego wpuszczają przede-
mną na audyencyą. Ustąpiłem przed sobą miej-
sca duchownemu, wysokiemu urzędnikowi, ou-
dzoziemcowi, wdowie; ale żeby przed nami
wszystkimi wyróżniano nikogo, żółtodzióbka,
maminego synka — gdzież jest na ziemi spra-
wiedliwość?

W sercu majora wre i gotuje się z wście-

kłósci. Krew uderzyła mu do mózgu. Ciasny mundur zwiększa jeszcze gorąco...

Ale ten młody człowiek bardzo długo jakoś bawi u palatyna. Daremnie niecierpliwą się pozostali; on ani myśli wychodzić.

Co ci mogą z sobą mieć do gadania? Taki wielki pan i taki nic nie znaczący człowiek?

Major Satory mówi sam do siebie:

— W tak długim czasie ja zdobyłem baterią pod Chełmnem.

A młodzieńca jak niema tak niema!

Przed oczyma majora Satory świat poczyna pływać we krwi, tak jak wówczas kiedy kawalerzysta rzuca się w dym prochu i w gorącu bitwy nie czuje już nawet czy żyje jeszcze, i poczyna już sobie śmierć, tego szafarza spokoju, wystawiać jako rozkosz najwyższą.

— Czemuż niezręczna ta kula, która mi chełm przeszła nie poszła o dwa cale niżej.

Życzenie jego spełniło się...

Tej kuli co nam mózg przeszywa, już się nie czuje.

Major Satory padł nagle na posadzkę sali na wznak...

Rzucili się do niego, podnieśli go natychmiast. Już nie żył...

Straszne gorąco, hamowana namiętność, ciasny mundur — lekarskie *visum repertum* wyjaśni to już jak się to stało.

Wyniesiono go coprędzej ze sali. Audyencya nie została przerwana tym wypadkiem. Większa część zebranych sądziła, że zemdłał tylko i że przyjdzie napowrót do siebie.

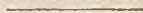
Koloman o tym wypadku dowiedział się w kilka dni zaledwie, kiedy ulubieniec zmarłego, trębacz, przyszedł do niego i oznajmił o śmierci majora a zarazem o tem, że go uwolniono z wojska i że radby był bardzo, gdyby mu Koloman dopomógł do otrzymania jakiej spokojnej służby.

Kolomanowi bardzo łatwo to przyszło, Decsery'owie wzięli jego kolegę na jedno jego polecenie za zarządcę swego domu.

Tego, iż on a nie kto inny spowodował śmierć majora, rozmawiając tak długo z palatynem, nigdy ani się domyślił.

.

O czem wszakże mogli tak długo mówić z sobą?



U PALATYNA.

Koloman wszedł do audyencyjnej sali. Znane mu były wszystkie lokalności zamku; bywał tu często. Wielką audyencyjną salę zastał prózną i przeszedł ją pospiesznie, mijając zawieszone na ścianach w złożonych ramach portrety cesarzy, umieszczonych kolejno wedle tego jak panowali: Leopod z długim podbródkiem, Maksymilian astronom, Maciej, czterech Ferdynandów, Józef co zawierał pokoje i Józef filozof, Marya Teresa, Zdobywczyni, Leopold II-gi oplakiwany tak bardzo i Franciszek wiodący wojny, wszystko oryginalne portrety i dzieła sztuki.

Z tej sali przechodzi się do gabinetu palatyna; jego książęca mość raczył tam przyjąć młodego sekretarza.

Oba okna tej komnaty wychodzą na Dunaj i widok Pesztu.

Nie owego dzisiejszego Pesztu który z gorączkową szybkością robi tualetę, ale ubogiego, nędznego małego miasteczka. Na miejscu dzisiejszej dumnej linii Dunaju, począwszy od re-dutowych budowli ciągną się puste piaszczyste pola.

Po tej piaszczystej pustyni gorący południowy wiatr pędzi tumany kurzu.

Wnętrze pracowni palatyna daje obraz charakteru jej mieszkańca...

Nigdzie tu nie znajdziesz portretu żadnego na ścianie; ani to portretu wielkich ludzi, ani pięknych kobiet. Wielkie szafy, ksiąg pełne, stoją szeregiem a na postumentach między niemi marmurowe popiersia starych greckich filozofów. Książki są wyłącznie historycznej, ekonomicznej, politycznej, filozoficznej i prawniczej treści. Nawprost biurka mapa Węgier. Na marmurowym stoliku stoi tu zawsze kryształowy dzban świeżej wody ze źródła króla Macieja; palatyn pije niezmiernie wiele wody i wierzy w dobre jej skutki; a na małym stoliku przy ścianie stała klepsydra, którą dziś jeszcze można oglądać w Muzeum. Przez szkło narożnej szafki wpadały w oko wykopaliska Pompejańskie, które podówczas jeszcze z powodu swej rzadkości były bardzo cenne.

Każdy przedmiot jest tu zimny, zamknięty w sobie, bez przeznaczenia, bez śladu życia.

Arcyksiążę stał w zagłębieniu okna, kiedy Koloman wszedł do gabinetu.

Była to postać smukła, z wyrazem twarzy poważnym ale łagodnym zarazem, krótko przyciętymi z węgierska wąsami, jakie w owe czasy noszono w całym kraju i wysokiem czołem, które otacza włos przerzedzony już bardzo.

Skoro spostrzegł wchodzącego młodzieńca błysk jakiejś smutnej uprzejmości rozświecił mu twarz.

— *Dilectissime!*

Mówił do niego po łacinie, był to ulubiony język jego rozmowy.

W ręce trzymał papier na wpół złożony.

— Przeczytałem twoje podanie — ozwał się palatyn cichym spokojnym głosem. — Prosisz mnie w nim abym dawnemu przyjacielowi twemu, dyrektorowi węgierskiej trupy aktorów, udzielił pozwolenia na dawanie widowisk w budeńskim fortecznym teatrze. Życzyłem sobie osobiście pomówić z tobą... Gdyby ktokolwiek inny podał do mnie tę prośbę, sprawę jego odesłałbym do kancelaryi tego referenta, w którego fach ona wkracza i od tego odebrałby decyzję — przyzwalającą lub odmowną. I gdyby chodziło o to, by mieszkańcom naszego miasta przysporzyć o jedną rozrywkę więcej, to nie widziałbym przyczyny wzbronienia tego. Ale ponieważ ty zwróciłeś się do mnie z tem po-

daniem i w takiej sprawie, postanowiłem sobie z tobą pomówić nieco głębiej abyśmy, jeśli to możliwe, mogli się porozumieć. Dlatego też bądź uważnym na to, co powiem i zaznacz sobie z mojej mowy to, na co odpowiedzieć zechcesz, jeżeli to uważać będziesz za potrzebne.

Koloman czuł, że stoi teraz u rozdroża swego losu...

— Gdyby tu chodziło tylko, ukochany, o to, by gromadka wędrownych hystryonów i pantomimików w Budzie rozbiła swe namioty, powiedziałbym; ile wam się podoba, dla mnie choćby tu na zamkowym dziedzińcu. Ale ponieważ ty za nimi się wstawiasz, pierwszej więc pomówimy o tobie. Jesteś odroślą bogatej, szlacheckiej rodziny, człowiekiem, którego osobiste zdolności poparte są jeszcze szczęściem. Masz babkę bogatą bardzo, która zamierza majątek swój za życia jeszcze przelać na ciebie; masz dostojnych protektorów i serdeczne w najwyższych kołach naszej arystokracji związki. A wszystkie te tak silne potęgi nie są dostateczne aby cię odwrócić od tej drogi, na której dla ciebie wzrasta przeciwieństwo tylko szczęścia, zadowolenia, rozkoszy. Już w dziecięcym wieku dotknął cię cios, który dla młodzieńca bywa najdotkliwszym; wypędzono cię ze szkół... Znane mi są powody, dla których to się stało. Była to zbyt łagodna dla ciebie kara. W innym kraju, i tu nawet,

dziesięć lat pierwej byliby cię zakuli w kajdany i więzienie byłoby cię wyleczyło z tej choroby. Tu, razem z uwiedzionymi twymi towarzyszami, spotkało cię skarcenie i odtąd już życzliwe tylko spojrzenia towarzyszyły wszystkim twym krokom. Ale to wiedz, że *wszystkim* krokom one towarzyszyły... Wy młodzież związaście się w całym kraju w jeden związek tajemny. W jakim celu? Ażeby wszystko dotychczasowe a stare odmienić. Nie stoicie odosobnieni. Karbonaryusze, karliści, wolnomularze, jakobini, wszyscy oni dążyli lub dążą do tego samego celu. Istnieją tak samo „młode Niemcy“ jak istnieje *giovine Italia*, i „młode Węgry“ są tylko echem tego wszystkiego. I być bardzo może, że wszyscy inni mają słuszość. Czemu jednak Węgry pragną się *odmłodzić*? Odpowiedz mi na to...

Koloman nie wiedział jeszcze dokąd pytanie to zmierza i nie mógł odpowiedzieć też na nie...

Jego ekscellenoya ciągnął dalej:

— Zagranicznych odmłodzicieli narodów można zrozumieć. Zamiary ich są jasne. Założyli oni sobie przez obudzenie narodowego poczucia kraj rozdarty na drobne cząstki z czasem w jedną wielką zamienić całość. Być może, że w tem kiedyś dojdą do celu. Ale czyż Węgry osiągną tenże sam cel jeżeli zechcą zbudzić do jawy drzemiące narodowe poczucie? Czekają je coś wprost przeciwnego niż inne narody.

Kraj złożony z tak różnorodnych żywiółów rozpadnie się na te żywioly. Przypatrz się raz mapie tego kraju, policz komitaty które tworzyć będą ten kraj żyjący w twoim ideale, nakreśl sam sobie jego przyszłe granice i zadrżnij przed tą przyszłością, krółą wy chcecie stworzyć. Weź statystykę do ręki i spytaj jej co pozostanie jeżeli od czterestu odejmie się dziewięć? Ten kraj żyje dopóki zasypia. Biada temu kto go obudzi! Myśmy kawałkiem idealnego rajy pośrodku Europy... Istniejemy dopóty dopóki się nie urobim na jej modłę. Nasze właściwości, nasze przywileje łączą tu wszystkich w jedną spójną całość w tym kraju. Co jest dobre wszystkim na dobre wychodzi a co jest złe wszystkim złem się staje. Niema tu gonitwy, niema zapasu ani wyścigu. Szlachta panuje bezpodzielnie. Mamy język, który nie proteguje nikogo ale też i nikogo nie prowokuje. Język klasyczny: łaciński. To język praw, język sprawiedliwości, wykładowy w szkole, język liturgii i fakultetów, przewodniczący na zebraniach szlachty i w zagranicznej dyplomacyi. To nasze palladium... Nasze szlacheckie instytucye zapewniają nam prócz tego supremacyę. We Francyi, w Niemczech, we Włoszech demokracya powoła do życia tylko nowy francuski, niemiecki, włoski naród; w Węgrzech demokracya stworzy obcy całkiem naród a nas zwieje,

zmiecie gdzieś bez śladu... A na cóż u nas lud uskarżać się może? Podatki są umiarkowane; ziemia jest dobra; nikt mu nic złego nie czyni, żyje spokojnie, dobrze, nie łamiąc sobie głowy troskami wielkich państw; w prostocie praojcowskiej jest mu tak wygodnie, że jeden sędzia i jeden pachołek sądu spokojnie rządzą czterdziestu tysiącami ludzi; niespokojni sąsiedzi nie dręczą go i nie zawiszczą; codziennie najada się do syta i może w niedzielę modlić się gdzie mu się podoba. Stare jego obyczaje, surowa prostota chronią go od trucizny zagranicznych zepsutych obyczajów. Jeżeli jest ubogim niema za to długów. Nie stoi zbyt wysoko ale zato nie może też upaść. Nie walczy o palmę ale też nie może zostać pokonanym. Zasypia ale żyje... A wy go chcecie budzić, wy, dzieci!

Palatyn popatrzył surowo w oczy młodzieńcowi i przy tych słowach nie zobaczył, ażeby twarz jego pobladła z przestachu, ale przeciwnie dojrzał płonącego rumieńca młodzieńczej krwi gorącej. Wie on teraz widocznie, co mu odpowiedzieć należy.

— Ekszellenoyo — odpowiedział Koloman na słowa palatyna. — Z wdzięcznym szacunkiem uznaję ojcowską życzliwość jego książęcej mości dla mnie, i dziecięce też poszanowanie daje na słowa jego odpowiedź... Od lat trzydziestu moja ojczyzna żyje pod rządami waszej książę-

żęcej mości; czasy zmian pełne przeżyła podczas tego okresu. Brała ona udział w sławie i ofiarach wielkich zapasów świata, obecnie cieszy się spokojem zawartych sojuszów ale nie zwycięstw tych sojuszów. Przez długie czasy hasłem naszym było: *Extra Hungariam non est vita; et si est vita, non est ita.* (Po za obrębem Węgier niema życia a jeśli jest życie nie jest ono takim). To smutne łudzenie się; bo u nas wogóle życia niema. Kiedy Chiny, kiedy Japonia hermetycznie odcinają się od zewnętrznego świata i odpychają wszystko, co stworzyła europejska cywilizacya, to są do tego uprawnione, bo ich własna, z nich samych wysnuta a rozwijająca się cywilizacya biegnie równolegle niemal z kulturą cywilizowanego świata. Chiny, Japonja nie zapożyczają od nas naszej nauki, naszych broni, naszej polityki, naszej agronomii, naszej ekonomii państwowej, naszego przemysłu ani naszej sztuki; one stwarzają to wszystko same. Drukują książki inaczej niż my; budują fabryki, przedzalnje, tkackie warsztaty inaczej niż my; a tem co stworzyły zyskują nasz podziw. Mają słuszność otaczając się nieprzebytem murem, bo one „żyją“ w obrębie swoich granic samoistnem życiem. Ale my śpiemy... My wegetujem jakimś roślinnem życiem. Chwalimy się sami a cudzoziemiec śmieje się z nas i ani nas zna... Jesteśmy najuboższym ludem tej

części ziemi. I śpiąc tak ani widzimy jak dążymy do zatury. Nie ogień i miecz nas tępi, z każdym dniem umniejsza, ale sen... Nasza arystokracja z imienia już tylko do nas należy; nie mieszka już wcale pośród nas; bo i cóżby też miała w nas kochać? czego mogłaby pośród nas szukać? Gdzie niższe warstwy naszego ludu stykać się muszą z narodowością, jeszcze na niższym stopniu cywilizacji od nich będąca, tam wsiąkają w nią tłumnie, bo brak ukształcenia jest dogodnością a brud przylega. Mieszczanstwa nie mamy wcale. Handel unika naszego kraju. Zagraniczne pieniądze boją się wejść do nas... A przytem w ojczyźnie naszej niema nawet miasta, o którym powiedzieć byśmy mogli, że jest stolicą Węgier. Tu do niej znosim skarby, które nam przekazała spuścizną krwawa przeszłość, lub które przyszłość w poście czoła stworzy dopiero. Jesteśmy narodem żebraków, co śnią, że są panami. Pocóż nam zatem sen?... Zbudźmy się z niego i raz wreszcie przejrzyjmy w jakiej pozostaliśmy za wszystkimi pustyni, dopóki nas jeszcze nie pokryją piaski, dopóki nie dojdziemy tam, gdzie dziś są tacy Baskowie lub Flamandzi, o których nikt nie wie, że istnieją jeszcze, kiedy tymczasem liczą się oni na miliony i w elementarzach żyje jeszcze ich język. Toć lepiej przecie żyć i na jawie i podjąć walkę z olbrzymiemi swemi

zadaniami. Wiemy to, że naszym zbudzeniem zbudzimy też innych również we śnie pogrążonych, ale niechaj i tak będzie. Ja uważam szczerp mój za tak żywotny, za tak zdolny do życia, że się nie obawiam dla niego tych zapasów. Będzie to walka wielka, to też i zwycięstwo nasze za to wielkiem będzie...

Palatyn spojrział z politowaniem na wzruszonego młodzieńca.

— Marzycielu! Jakże mało znasz lud twój własny... Ja znam go ze wszystkimi jego dobrymi przymiotami i z wszystkimi jego wadami. Tyś nie żył jeszcze na świecie kiedy ja już żył z nim i wśród niego. Myśmy tak zrosli się z sobą jak głowa z tułowiem; głowa ozuje najłżejszy ból ciała. Czem byłem pośród tego ludu, na to odpowie przezwisko szydercze, które mi nadali Wiedeńczycy, którzy mnie nie nazywają inaczej niż „starym Rakoczym.“ Ja znam nasz lud... Jego zapal to ogień słomiany. Wybuchu wielkim płomieniem ale wnet z niego tylko garstka popiołu. Do wszystkiego ma skłonności i uzdolnienie, ale do niczego poważnej wytrwałości. Każdy umie wszystko, ale jeden jedyny przedmiot poznać dokładnie, do tego każdy jest za wygodnym. Węgier jeśli jest żołnierzem doprowadza co najwyżej do majora, potem spieszno mu wziąć dymisję i powrócić do rodzinnego miasteczka by zostać

senatorem. Jeśli jest kupcem a handel idzie mu dobrze, gwałtownie dąży do tego by zostać wiejskim obywatelem i zawiesza swoje kupiectwo na kołku. Jeżeli jest dobrym wiejskim gospodarzem, rzuca swoje gospodarstwo i poświęca pół majątku na to, by być obranym na urząd. Każdy szewc kończy na tem, że kupuje sobie winnicę i zostaje winiarzem. Aktor oburącz chwyta za sposobność zostania wiejskim bakałarzem, a rektor szkoły miejskiej ucieka do komedyantów. Uczeni nawet chwiejni tu są na obranych przez siebie drogach. Historyk mozoli się nad filologicznymi problematami, a profesor który przez dziesięć lat wykładał filozofią, w jedenastym obejmuje katedrę fizyki. Sławny poeta Csokonai w trzydziestym pierwszym roku życia został plantatorem tytoniu, a ty, ukochany, skoro zejdziesz z obecnej drogi po to, by zostać poetą, umrzesz z pewnością malarzem.

— Wszystkiego tego wyłączną i jedyną przyczyną — przemówił Koloman korzystając z pauzy, w której palatyn uśmiechnął się z własnego konceptu — jest okoliczność, że kraj niema pewnego ogniska, pewnego środkowego punktu, któryby jednoczył uzdolnienia i dawał możność tym, co jakimiś wyższemi pragną iść drogami, do wytrwania na nich...

— To właśnie nasze szczęście, iż co kraj ma dóbr wspólnych, to nie jest nagromadzone

na jednym miejscu ale rozrzucone, rozdzielone równomiernie. Siedliskiem sejmu i arystokracji jest Presburg. Handel kwitnie w Raabie, Komornie, Mohaczu. Umiejętności dobrze jest w Debreczynie, Pataku, Tyrnawie, Fünfkirchenie. W Peszcie jest uniwersytet; kościelna władza ma swe siedlisko w Weisenburgu, w Erlau, Granie, Wielkim Waradynie; majątna inteligencya po wsiach. W Peszcie jest kurya, w Budzie jest kancelarya państwa Tym sposobem jest wszystko dobrze pomieszczone. Spróbujcie raz skupić to wszystko w jednym miejscu, a zobaczycie, że wprawdzie stworzycie wielką stolicę ale stolica ta nie będzie już węgierską lecz niemiecką. Na polu tem pokona was Niemiec i zdobędzie za jednym zamachem sam środek waszego kraju.

— Będziemy z nim walczyli o zwycięstwo a walka już sama przez się jest tryumfem.

— Czemże walczyć będziecie?

— Wszelką bronią ducha i nauki, piórem, natchnionem słowem, heblem, dłutem i pendzlem. W każdym kierunku znajdujemy u nas talenta; wszędzie tylko brak im areny. Przestrzeni tej ruchu domagamy się dla tych, co chcą żyć... A jeśli wówczas pójdziemy na zagładę, nie naszą to będzie winą; niech nas pogrzebią, widać, żeśmy na to zasłużyli.

— Ale ja nie chcę być waszym grabarzem! Z trwogą przyglądam się waszej innowacyi. Pozwalacie narodowi utracić wszystko co posiada a nie pozyskacie dla niego tego, czego pragniecie. Wasi uczeni zaprowadzający nowe w języku zmiany odzierają naród z klasycznego wykształcenia a stwarzają wam jakiś sztuczny język, którego lud nie rozumie. Otwieracie drogę cudzoziemskim ideom, a dajecie natomiast w zamian stare wasze cnoty. Wprowadzacie dla siebie mody a wnuki wasze będą chodziły w lachmanach. Przypuszczacie szturm do drzeмиących umysłów, pod hasłem wolności je budząc, a w miejsce jednego pana będziecie ich mieli siedmiu. Zwabiacie prostodusznego Węgra od pluga i ciągniecie go na drogi szybkiego z bogacenia a on tymczasem utraci z pod nóg ziemię rodzinną. Puszczacie się na wyprawę na olimpijskie igrzyska literatury i sztuki świata dla pozyskania sławy a wyniesiecie z nich tylko wstyd i lekceważenie. Szturmem nie możecie zdobyć bo nie macie na to dość siły, dość geniuszu; powolnem usiłowaniem nie umiecie zdobywać, bo na to nie macie dość cierpliwości. Węgier nie przyda się na nauczyciela języka, jak Niemiec lub Francuz, który błędną wymowę cudzoziemca grzecznie poprawia. Węgier śmieje się w twarz temu, który piękny jego język koszlawi cudzoziemskim akcentem. Ja sam do-

świadczyłem tego na sobie kiedy raz w sejmie zacząłem mówić po węgiersku i przy pierwszym mojem zdaniu w sali śmiech powstał...

Tu sam Koloman nie mógł zaprzeczyć, że istotnie tak było.

— Mój kochany — zakończył palatyn — odbierz sobie napowrót swą prośbę w interesie twego przyjaciela z teatru. Węgier zrodzony jest na pana, nie na histryona. Lubi dobrą muzykę, płaci za nią, ale sam nie zostałby muzykiem za wszystkie skarby świata. Przyklaskuje skoczkowi na linie, ale sam nie pójdzie wywracać koziółków. Węgier nie może być aktorem; bo daremnie przylepiałby sobie przyprawną brodę, nie może sam siebie się zaprzeć i poprzez blansz zawsze wygląda z niego arystokrata lub tablabiro, student albo też wieśniak. Węgier ma wstręt do strojenia grymasów przed publicznością. Nie dano mu wciskać się w każde towarzystwo jak niemieckim aktorom, celem studyowania ludzkich charakterów, a w całym świecie niema dla niego żadnej szkoły, gdzieby się mógł wykształcić w swej sztuce. A co najgorsze: niema węgierskiej publiczności, która umiałaby korzystać z węgierskiej sztuki. Gdzie się pojawiają aktorowie tam rozpoczynają swe występy przed pustemi ławkami Szylerem i Körnerem, w końcu schodzą wreszcie do swych fars bezwstydných aby ściągnąć motłoch... Ja

nie pozwolę węgierskiego imienia w budańskiej fortecy wystawić na takie pośmiewisko.

I równocześnie zwrócił Kolomanowi jego podanie.

Koloman skłonił się z uszanowaniem i szepnął z cicha:

- Muszę apelować z moją sprawą.
 - Do kogo? Toż ja tu jestem głową!
 - Od wyroku głowy do serca.
-

PO JESIENNEJ ROSIE ZIMA.

Sprężyna owego podania Kolomana była taka. Na krótko przedtem otrzymał od Banyavary'ego, który podówczas ze swoją trupą popisywał się w Weisenburgu, list oznajmiający mu, że postanowił przybyć do stolicy chociażby mu tysiące dyabłów stanąć miało na drodze, i osiedlić się ze swoim towarzystwem w Peszcie lub w Budzie.

Koloman przeto chciał mu utorować drogę.

Buda podówczas była daleko lepszym miejscem dla dramatycznej węgierskiej sztuki, niż Peszt. W warowni zamieszkiwały rodziny węgierskich urzędników; w mieście wielu kupców węgierskich miało swe składy; miasto posiadało wcale przyzwoity teatr, przerobiony z dawnego tureckiego meczetu. W Peszcie natomiast nie tylko brakło zupełnie odpowiedniego na teatr lokalu, ale i publiczności mogącej płacić, bardzo

tu było skąpo. Młodzież prawnicza wtedy przenosiła inne hulaszce rozrywki, rzemieślnicza klasa węgierska wolała hece i cyrkowe widowiska, węgierskie zaś lepsze towarzystwo uczęszczało do niemieckiego teatru, który wtedy był straszliwym dla węgierskiej sceny rywalem. Z zewnątrz gmach wspaniały, wewnątrz przepych i zbytek, na deskach sceny prawdziwe wielkości artyzmu, które wówczas w całym teatralnym niemieckim świecie uznawane były za matadorów pierwszorzędných, za gwiazdy pierwszej wielkości. Tu więc zapuścić korzenie było daleko trudniej.

Dlatego to Koloman zdecydował się na ów krok tak ważny i podał do palatyna prośbę, by dozwolił Banyavarym występować w Budzie.

Mimo nieprzychylnej odpowiedzi palatyna nie zrzekł się jednak jeszcze nadziei; jak slyszeliśmy, powiedział, że będzie apelował — od głowy do serca. Postanowił sobie udać się do arcyksiężny... Jej książęca mość zapewniła go, że gdyby kiedykolwiek tego zarządał, poprze go w jego zamiarach. Łaski tej nie będzie mógł nigdy użyć lepiej niż teraz.

Opuściwszy pokoje jego księżęcej mości, podążył też natychmiast do domu, kazał osiodłać konia, zwinięty płaszcz przytroczył do siodła, i podążył konno do Alcsuth.

Ileż to razy drogę tę odbywał konno! Była

mu dobrze już znaną. To spacer kilkugodzinny za ledwie dla dobrego jeźdźca lub zakochanego...

Tylko, że jesienią jest coś, co niesłychanie przedłuża drogę — błoto.

Już za budeńskimi rogatkami zaraz się dowiedział Koloman, że teraz nie można jechać tak truchtem jak w lecie. Koń po kilkakroć chciał nawet sam zawrócić wbrew jego woli. W południe mgła gęsta zasłoniła świat; a kiedy się przerzedziła nieco, począł padać drobny deszczyk jak przez sito; pod wieczór grube płaty śniegu zawisły w szarem powietrzu; na koniec kiedy już szarzeń poczęło, zadał wiatr zachodni niosąc z sobą deszcz gruby, który jest kroplą dopóty tylko, póki pada, natychmiast wszakże po spadnięciu przymarza i ścina lodem suknie na człowieku. Z tego wszystkiego zaś, co w ciągu dnia padało, na ziemi tworzy się błoto.

Było już późno wieczorem, kiedy Koloman dotarł do Alcsutskiej gospody, skąd droga w bok już skręca do zamku.

Przed karczmą napotkał karawanę. Pięć chłopskich wózków wlokło się zwolna jeden za drugim; jeden był nakryty trzciniowymi matami, drugi ceratową budą, reszta otwarte zupełnie. Na każdym pełno było podróżnych.

Kto to być może? Jarmark nie przypada w tej okolicy w tak późnej jesieni.

Koloman odgadł natychmiast kto to być musi, skoro się zrównał z pierwszym wozem. Wędrowna trupa aktorów...

Bezustannie podróżujący a nigdy nie mający dostatecznego zaopatrzenia na podróż — któżby to był inny jeżeli nie oni? Niektórzy mają na sobie grube zimowe paltoty i nędzne guńki, które nocą służyć muszą za przykrycie; teraz ponaciągali na głowę kaptury, tak, że prócz krótkich fajeczek nic z pod burki nie widać. Inny znów, który nie myślał o przyszłości, owinał się derą na konie zapożyczoną u woźnicy i poprzywiązywał ją sznurami. Innemu rynaldynowski kapelus z szerokim rondem osłania twarz, a za skórzany pas zatknął na postrach ludzkości rekwizytową parę pistoletów.

Nigdzie przecież nie dojrzysz ani kawałka ludzkiej twarzy; deszcz tnie im prosto w oblicze i każdy przed nim osłonił się jak mógł najlepiej.

Ci, którym nakryte wozy dostały się w podziale, to widocznie część dostojniejsza towarzysstwa. Może dyrektor, prymadony, śpiewacy, których oszczędzać trzeba. Tu pewnie też mieści się i garderoba trupy.

Koloman starał się o ile możności najprędzej wyminąć karawanę. A jeśli to właśnie *oni*? A jeśli ta kobieta siedząca na jednym z wozów w wyszarzanym płaszczyku i smagana deszczem, to właśnie jego Cilly? Zbyt boli serce człowieka

patrzeć na przyjaciół swoich w nędzy, kiedy nie jest w stanie im dopomódz.

Gdy mijał wóz nakryty budą z mat trzcinowych posłyszał z pod pokrycia nutę tęsknej pieśni:

„Po jesiennej rosie zima
Zwykłym przyjdzie biegiem...“

Niezawodnie pieśnią tą usypiają kwilące dziecko. Boć u aktorów zawsze się dziecko znajdzie; potrzebne im bywa. W iluż to sztukach na scenie musi być dziecko! a tego przecież wypożyczyć sobie nie można...

Koloman poczuł szczególniejsze ściśnienie serca, mijając budę, i nie obejrzał się póki nie skręcił na drogę wiodącą do zamku. Kto wie, czy to nie była trupa Banyavarych?

Nie miał odwagi spytać o to podróżników a ci nie bardzo na niego patrzyli.

Ciemno już było całkowicie, kiedy przybył do zamku palatyna. Mastalerz odebrał od niego konia, by go przeprowadzić. Teraz dopiero przyszło Kolomanowi na myśl, że w takim stanie, obłożony najokropniej, przemokły i o tak niezwykłej porze nie może prosić o posłuchanie u arcyksiężnej.

Kasztelan wskazał mu mieszkanie lekarza, który obecnie przyjmuje wszystkich gości i wedle swego lekarskiego uznania deocduje czy może

im być dozwolone lub nie widzenie się z arcyksiężną; udziela zaś pozwolenia tym tylko, których widok nie oddziała podrażniająco na nerwy cierpiącej.

Lekarz był Kolomanowi życzliwym i przyjął go bardzo serdecznie. Mimo to nie taił przed nim, że spełnienie jego życzenia zobaczenia się z arcyksiężną niesłychanie wiele nastęcza trudności. Przedewszystkiem tak jak jest, zabłocony nie może wejść do arcyksiężny, suknie zaś doktora na niego byłyby za krótkie, gdyby je przywdziać zechciał; co ważniejsza wszakże pora jest tak spóźnioną, że nie sposób myśleć o przedstawieniu się wogóle żonie palatyna. W dodatku jeszcze Koloman należy do tych właśnie, których widok może źle bardzo oddziałać na niesłychanie rozdrażnione nerwy jego pacjentki; wszystko bowiem co jej przypomina zmarłe dziecię trzeba od niej usuwać o ile możności.

Jedną tylko widział doktor radę. Arcyksiężna z zamięłowaniem pielęgnuje chorych i gdziekolwiek o chorym jakim zasłyszyc pragnie go widzieć; jeżeli przeto Koloman zechce zażyć lekarstwo jakie sprowadzające słabość, dajmy na to proszek ipekakuany, księżna dowiedziawszy się od doktora o jego chorobie, przyjdzie go odwiedzić a wtedy będzie jej mógł powiedzieć po co tu przybył. Środek ten tem jest lepszy, że zaradza zarazem brakowi odpowiedniej toalety...

Ala pomysł ten, uważając go za wybryk lekarskiego humoru — boć wiadomo, że lekarze bywają jowialni — odrzucił stanowczo nasz bohater a natomiast podążył do zarządcy, w nadziei, że tam coś lepszego we dwóch uradzą.

Noc była czarna, nieprzenikniona kiedy wyjeżdżał z zamku; na ten raz, śnać na odmianę powiał wiatr północny sypiący płatami śniegu w oczy.

Kiedy przejeżdżał koło oberży, pomieszczonej w samejże wsi spostrzegł też same wozy wędrowniej karawany pod pokryciem szopy. Wychodzące na drogę okna szynkowej izby były otwarte a z nich kłęby tytoniowego dymu wybiegały w postaci jasnych obłoków, i przez te okna otwarte dochodziły śpiewy i gwar wesołych podróżników. Z zewnątrz byli już przemoczeni, widocznie więc teraz pragną zamoknąć wewnątrz dla równowagi i tym sposobem leczą klin klinem. *Similia similibus.*

Koloman starał się w ciemnościach nocy niepostrzeżony minąć szynk ten galopem. Trzeźwemu człowiekowi przykro kiedy musi widzieć swych przyjaciół w stanie sztucznego rozgorączkowania.

Uważał teraz już za pewne niemal, że to jest towarzystwo Banyavary'ego.

Gotów był prawie iść o zakład, że to jego głos góruje nad całym chórem śpiewających

przy szklanicach. Przyjaciół jego lubił bardzo wino, a przy picciu lubił śpiewy.

Prawdopodobnie i Cilly tam się również znajduje.

Tak, bo w życiu aktorskiem ileż to razy trzeba w jednej izbie, szynkowej cisnąć się razem ze wszystkimi. Tego uniknąć w tem powołaniu nie sposób.

Ale Koloman nie chciał jej tam widzieć.

Przed sobą samym usprawiedliwiał się tem, że póty nie chce się spotkać z nimi, dopóki nie będzie im mógł przynieść jakiegoś s.arań swoich owocu. Jutro odjadą dalej. Jutro on wstawi się za nimi do arcyksiężny, jedno jej słowo całą nawpół już straconą sprawę obróci znów na dobre, a wtedy będzie mógł wędrowników spotkać z tryumfem.

Do tej wszakże chwili nie haj nikt nie wie, że pośród śniegu, mgły, deszczu, w przykrytych matami wozach po dwakroć spotkał swoich przyjaciół, nie powitawszy ich nawet.

Pospieszył ku dobrze mu znanemu mieszkaniu rządcy znajdującemu się w pobliżu budynków wójtostwa. Po kilka razy już tam stawał; zazwyczaj ilekroć tu przybywał, rządcą bywał jego gospodarzem. Poczciwy, dzielny to człowiek, gościnny niezmiernie; żona jego była zawołaną gospodynią; w domu dzieci siedmioro mniejszych i większych.

Kiedy zeskoczył z konia, wybiegło naprzeciw niemu na dziedziniec od mieszkania rządcy dwóch ludzi, trzech z kuchni, odebrano od niego cugle, konia, szpicerkę, płaszcz; dzieci zbiegły się całować go w rękę po kolei jako dawnego dobrego już znajomego i wepchnęły go do sieni.

— O, dziś mamy innych jeszcze gości!

Nie było to osobliwą nowością dla Kolomana, bo u rządcy goście bywali codziennie.

Niespodzianka przecież była zupełną, skoro wszedł do jadalnego pokoju i na pierwszym miejscu u stołu zobaczył — swego przyjaciela Banyavary'ego.

Jakże też nagle zerwało się wszystko z krzeseł, jak rzucono się do witania nieoczekiwanego gościa, jak Banyavary chwycił go w objęcia i dusił w uścisku!

— Skąd ty tutaj?

Tak spytał Banyavary Kolomana.

Toż Koloman takie samo chciał mu zadać pytanie, a on go ubiegł w niem tylko.

I teraz rad nie rad musiał opowiedzieć, że uciekł z arcyksiążęcego pałacu, gdzie go doktor chciał poczęstować ipekakuaną.

— Ale w jakim celu chciał cię doktor tak uszczęśliwić? — spytał Banyavary.

— Ażebym się ookolwiek rozchorował.

— A na co ci potrzeba było być chorym?

— Ażebym mógł się zobaczyć z arcyksiężną.

— Ale czegoż chciałeś od arcyksiężny?

— Chciałem pomówić z nią w waszej sprawie.

— W naszej sprawie? Nie mów już ani słowa o tem... Zgaduję wszystko. Jego ksią żęca mość zabronił nam grać w teatrze warowni budeńskiej, a ty przybyłeś tutaj, aby uprosić arcyksiężną o wstawiennictwo. Nie czyni ani jednego już kroku więcej, przyjacielu jeżeli mnie kochasz. Dla nas nie będziesz zginał karku. Ja nie myślę pytać nikgo czy mi wolno lub nie... Chciałbym zobaczyć takiego potentata, który mógłby mi zabronić w stolicy mojej ojczyzny być u siebie. Jestem szlachcicem równie do brym jak sam palatyn. Tu mam pergamin mój w kieszeni. W mojem rzemiośle zaś ja sam je stem majstrem cechu. Mogą przedemną zamknąć teatr forteczny, ale ja mimo to nie pozostanę jeszcze na ulicy. Rozbiję namiot w pierwszej lepszej szopie, i tam znajdę ów punkt archime desowy, z którego podniosę ziemię ze wszyst kimi jej królami i wicekrólami.

— Zwracam twoją uwagę na to, że znajdu jemy się w pokoju jednego z urzędników pa latyna.

— Wiem o tem — wymówił Banyavary smutnie. — Wiem także, iż sam już fakt ten, że rządca palatyna spieszących do Pesztu

aktorów gościnnie podjął w swoim domu, obciąża go i będzie mu poozytanym za występki. Ja też nie byłem tak bezwstydnym, bym w ślepe niezastranowieniu sam z siebie tu przychodził; ale widzisz, pocziwy ten człowiek pochwycił nas na drodze, i ilu mógł pomieścić, zakwaterował w swoim domu, reszcie zaś posłał do szynkowni wszystko czego potrzeba do uczyty. Ugościł przymierającą głodem gromadkę, która nieraz może pozostałaby gdzie na drodze, gdyby nie to, że kiedy niekiedy, dzięki dobrym ludziom, najesć się może do syta. I widzisz, zacny ten człowiek nie pytał co jego książęca mość na to powie, i czy za to nie odbierze jemu samemu kawałka chleba? A przecież ma on siedmioro dzieci...

Tu przerwał mu ofioyalista.

— Służę jego książęcej mości wiernie moim rozumem, ręką, przywiązaniem, ale przekonań moich nie sprzedaję nikomu.

Koloman poczuł, jak to zdanie ojca siedmiorga dzieci spadło ciężkim kamieniem na jego plecy; wydało mu się, że Atlas oddał mu na chwilę ziemię, by ją podtrzymał.

— Ty się o nas nie troszcz, bracie — mówił Banyavary. — Skoro raz już tam będziemy, skoro rozpoczniemy twojem arcydziełem nasze widowiska!...

— Żadne moje arcydzieło nie istnieje — odparł Koloman smutnie.

— Ja to wiem lepiej!

— Jeżeli myślisz o tem, cośmy czytali na kamieniu Ołtarza, to mówię ci, że już nie istnieje. I ową kopię posłaną do Celowca kazałem sobie zwrócić, i oba egzemplarze rzuciłem w ogień.

— Ha, ha, ha! zaśmiał się Banyavary. — To ja chyba mędrszy byłem od ciebie. Znam ja cię dobrze; wiedziałem, że po tym głupim wyroku sędziów konkursowych, nie będziesz miał nic pilniejszego, jeno pióro, papier i kałamarz rzucić do pieca i wyrzec się tego, że pisać umiesz. Dlatego też wyprosiłem sobie u sekretarza komitetu konkursowego dzieło twoje na jeden dzień... Nie chciał mi go użyczyć. Poprosiłem, aby mi pozwolił przynajmniej przeczytać. Na to zezwolił, pod warunkiem wszakże, iż nie odpiszę z niego ani kawałka. Ja zaś wtedy nauczyłem się na pamięć całego dramatu. Teraz wypal mi go z głowy!

I aby Koloman nie mógł wątpić o prawdziwości słów jego, począł deklamować pojedyncze sceny tragedyi.

Rodzina rządcy była zachwyconą pięknoscia tych ustępów.

Kolomanowi znana była niesłychana pamięć Banyavary'ego; przypominał sobie, że raz zrobiwszy zakład nauczył się na pamięć całego

kalendarza. Jeżeli dzieło jego żyje w tej pamięci, nie może zginąć.

Pozostawała mu jedna tylko jeszcze ucieczka.

— Ależ cenzura nie dopuści wystawienia!

— To już mój kłopot — przerwał Banyavary spokojnie. — A gdyby nawet żywy ogień padał z nieba, gdyby nam ziemię nabito gwoździami, ja z tem dziełem przejdę, i niechaj głupi świat zobaczy, co w niem posiada. Tego nikt mi nie może zabronić. Tylko ty jeden. Czy to uczynisz?

Zamiast odpowiedzi Koloman rzucił pilniejsze teraz pytanie:

— Ale gdzieżeś podział Cilly, że jej tu niema?

— Połączyliśmy ją, złamana jest zupełnie, biedaczka.

— Jakto, czy chora?

— To nie, ale fatalnie zmęczona podróżą. Psie było dziś powietrze i droga okropna, a z niej takie delikatne stworzenie; jej każda niewygodna szkodzi, a takich dość jest na naszej drodze. Pośród mroźnej zimy, w sali pełnej cugów, grać w sukni balowej, kiedy widzom szcękają z zimna zęby; rozgrzanej grą brnąć po błocie, wietrze, deszczu i śniegu przez jakie pół godziny do zimnego pomieszkania; czasami całe tygodnie cierpieć niedostatek, potem zaś całe tygodnie być pod gościnnym dachem; jednego dnia pić szampana, nazajutrz wodę

deszczową, z odcisku racie wołowych; przytem ciągle pracować nerwami, męczyć i zużywać płuca i serce, wżyć się w cudze namiętności; potem parać się z prozaiczną zawiścią rywalek, codzień przestawać z bogami i szatanami — to mój kochany, osłabi i najsilniejsze nerwy. A Cilly taka jest wąż! Ale nie troszcz się o nią tak bardzo. Dziś sobie wypocznie, a gdy rozlegnie się dzwonek suflera, będzie znów tak zdrową jak Dyana. Dopóki trwa widowisko żaden nerw jej nie boli, gorączka ustaje; my to znamy. A! skoro będzie grała w twojej tragedyi, wtedy albo ozdrowieje zupełnie, albo z tego umrze.

— O! to i my musimy pojechać do Budy! — zawołał rządcą z zapalem.

— My wszyscy, wszyscy! — zawołało naraz siedmioro drobiazgu.

— Ale nie odpowiedziałeś mi jeszcze na moje pytanie — ozwał się Banyavary. — Ty jeden mógłbyś nam zabronić wystawić twe dzieło. Czy nam zabraniasz?

Koloman zamyślił się głęboko, i po chwili dopiero w zamyśleniu wyrzekł:

— Nie...

Po za plecami jego zagrzmiał trzask jakiś gwałtowny...

Były to drzwi tylko.

...Ale to były drzwi *wszystkie!*

JAKŻE PIĘKNE SĄ NIEZABUDKI HRABIANKI...

Pewna dowcipna księżna francuska powiedziała na jednym z dworskich balów do innej obok niej siedzącej księżny z okoliczności polki tremblante:

„Jakim ten Offenbach jest czarodziejem! Gdybyśmy tak teraz spostrzegły córki nasze bez jego muzyki w objęciach obcych mężczyzn wykonywujące te same poruszenia, paraliż raziłby nas chyba z przerażenia, tak zaś przyglądamy się temu jeszcze z upodobaniem...”

I istotnie to prawda, że dzieciństwem było ze strony Orfeusza poruszenie z miejsca kamieni: Offenbach i Strauss dokonywają daleko większych cudów; na mocy dźwięków ich muzyki otrzymuje obcy zupełnie młodzieniec prawo wprowadzenia pilnie strzeżonej hrabianki lub księżniczki od boku matki czy opiekunki, otrzymuje prawo przyciśnięcia jej do piersi, odbie-

gnięcia z nią daleko, krążenia, podarcia jej sukni, oddychania jej oddechem, napawania się blaskiem jej oczu, i to wszystko jest całkiem naturalnem prawem! Do tego nie potrzeba ani księdza, ani brewiarza, ani ołtarza, ani dyspensy, ani poprzednich trzykrotnych zapowiedzi, ani przyzwolenia opiekunów, ani równości stanowiska, ani wspólności religii, ani intercyzy, ani przysięg wierności, ani świadków... Na godzinę panna książęcego rodu należy do tego, kto pierwiej przyjdzie.

• Nie mamy nic przeciw temu do nadmienienia.

Szczególniej pełną rozkoszy jest taka uprzywilejowana godzina podczas kotyliona. Powiedzmy dwie godziny — jeżeli przodownik tańca ma zdrowy rozsądek.

Z powodu arcyksiążęcej żałoby w Budzie, arystokratyczne towarzystwo nie ukazywało się na publicznych balach; za to jednak nagradzało sobie na innej drodze za straconą zabawę, w własnych salonach. W zaproszeniach swoich, nie nazywają zebrań balami, ale tylko reünionami, i na tem koniec. Na początek jakiś klasyczny koncert filharmonijny; potem zaś, jeśli młodzież sobie tego życzy, skromniutki kadryl, cicha ekusseza a na zakończenie niewinny kotyliion. Kiedyż zaś miałyby młodzież tego sobie nie życzyć?

W salonach księżny Decsery nie razilo to

nikogo zgola, że hrabianka Dorota tańczy długiego kotyliona z Kolomanem Jenöi. Życzliwie przez rodzinę tolerowany stosunek był już powszechnie niemal znany, a kiedy jedni zazdrościli Kolomanowi szczęścia, byli i tacy, którzy uważali, że i Decsery'owie robią dobry lub może nawet lepszy interes.

Kiedy *monsieur Henri* drugim piętnastu parom dyktuje figury kotyliona, młoda para ma ozas niestrzeżona pomówić z sobą.

Któż podsłucha rozmowy tańczących? Któż zwraca uwagę na ich uściśnienia dłoni?

— Jakież piękne są niezapominajki hrabianki! — mówił Koloman, trzymając rękę tancerki w swojej dłoni. Włosy jej przystrajał wianeczek ze świeżych niezapominajek.

— Radabym wiedzieć, — odrzekła hrabianka, — dlaczego te kwiatki nazywają niezapominajkami?

— Bo błękit jest barwą stałości.

— A czemu błękit oznacza stałość?

— Bo niezmienne niebo jest również błękitne.

— Nieprawdaż, iż oczy moje są zielone?

— Nie hrabianko, są niebieskie.

— Ja je uważam zawsze za zielone.

— Zwierciadło pani nie odbija widać wiernie, ja to wiem lepiej.

— To niechajże dla wszystkich będą zielone, a dla pana niebieskie..

Wszystko mówiące ściśnięcie dłoni było komentarzem do tej rozmowy... Nagle rozległ się głos *monsieur* Henri:

— Przepraszam, ale potrzeba mi koniecznie łaskawego współdziałania państwa do następnej figury.

A prośba tego pana jest rozkazem.

Na balach publicznych nie jest on salonową osobistością, ale w prywatnych salonach jest nieograniczonym panem. Na kogo on skinie, ten musi z nim tańczyć. A kiedy brak mu pary, to wyprowadzi nawet samą księżnę w kolumnę, jako uzupełniające *vis-à-vis*.

A *monsieur* Henri podnosi tak dumnie głowę jak Francuz, który wie, że ojciec jego był królem murzyńskim, albo jak król murzyński, który wie, że syn jego będzie francuskim tanomi-
strzem.

Kiedy figura tańca się skończyła i pary porozchodziły się napowrót na swoje miejsca, odezwała się hrabianka Dorota do Kolomana:

— Czy wiesz pan, że dziś tańczymy z sobą po raz ostatni?

Koloman nie miał bynajmniej tak zakutej głowy, aby nie zrozumieć o czem mowa, ale udał jakby nie pojął zupełnie.

— A! więc nie będzie już w tym roku żadnego reunionu?

— Może i będzie, ale nie dla nas obojga.

— Hrabianka mnie przerażasz.

— Nie okazuj pan jednak tego, proszę! Wiem to od mojej guwernantki, ona zaś słyszała od księdza, że tę zimę mamy spędzić gdzieś na południu; nie wiadomo w tej chwili jeszcze czy to będzie we Włoszech czy w Portugalii.

— A choćbyś ją pani miała spędzić w Afryce nawet, dla mnie to rzecz obojętna. Ja nie jestem przykuty przecież do Pesztu. Jeżeli pani pojedziesz do Lizbony lub Nicei, to ja się przeniosę jako *attaché* do którego z ciał dyplomatycznych w Portugalii lub Sardynii, i tam będę blisko pani.

— Tylko proszę nie ściągaj pan tak gniewnie brwi, bo powiem panu coś więcej jeszcze. Taż samą drogą dowiedziałam się również, iż niebawem masz pan popaść w niełaskę, a wtedy nikt pana nie przyłączy ani do sardyńskiego, ani do portugalskiego poselstwa! A nie ściągajże pan tak brwi!

— Wszakże się już uśmiecham. A cóż mi na tem zależy, iż popadnę w niełaskę? Przecież i wówczas pozostanę panem siebie, i tembardziej będę mógł jechać gdzie zechcę; wtedy pojedę za panią bez wszelkiej już misyi...

— Będzie to bardzo pięknie... Ale ja dowiedziałam się czegoś jeszcze więcej, co pana może obchodzić. Mianowicie, babka pańska zamierza

cię wydziedziczyć! Nie gryźże pan tak warg, proszę. Inni na to patrzą.

— Być to również może, — szepnął Koloman; — wówczas będę ubogim człowiekiem, i hrabianka już mnie widzieć nie będzie...

— „Widzieć“ a „dostrzegać“ są to dwa różne wyrazy.

Był to balsam gojący na świeżą ranę.

Koloman podniósł dumnie czoło.

— Ale ja długo nie pozostanę niewidocznym! — I we mnie jest coś czego mi ani ekscelencye skonfiskować, ani kochani krewni odebrać nie potrafią. Zajdę wyżej niż tam, dokąd prowadzą marmurowe wschody.

— Ale nie mówże pan tak głośno! Jak panu drży ręka! Teraz jesteś pan rozgniewany... Czy to na mnie, za to, że panu wszystko powiedziała?

Gdyby Koloman był powiedział co myślał, byłby odpowiedział: „Tak! na ciebie!“ — A byłoby to bardzo niesłuszne.

„Chcesz, żebym padł na twarz przed wymierzonym na mnie strzałem! — Chcesz mnie ocalić — ale jako upadłego!“

Był niesprawiedliwym...

Monsieur Henri kazał całej tanecznej armii jakąś znów nową wykonywać ewolucją. Skoro powrócili na swoje miejsca, spytała Dorota Kolomana, chłodząc twarz wachlarzem:

— Czy wierzysz pan we mnie?

— Hrabianko, moje *credo* jest także samem co *credo* pani: wierzę w Boga, wierzę w świętych, wierzę i w panią; ale przedewszystkiem wierzę — w siebie samego.

— Kult to pogański! Ale mężczyznom z nim do twarzy. Ponieważ wspomniałeś pan o świętych, pozwolisz mi pan może zapytać, czy znasz żywoty świętych?

— Znam dosyć, hrabianko; czy chcesz pani mówić ze mną o cudotwórcach, o ascetach, czy też o męczennikach?

— Pozostańmy przy ascetach. A więc czy znasz pan żywot świętego Brunona i świętej Jadwigi?

— Znam, hrabianko; ale wolę powiedzieć, że go nie znam, aby posłyszeć go z ust pani.

— Byli oni narzeczonymi, potem pobrali się i poprzysięgli sobie, że nigdy nie będą się kochali inaczej niż niebiańską anielską miłością. I przyrzeczenia tego dochowali do śmierci... Ich obcowanie było wieczną niebiańską pielgrzymką; nigdy nie zeszli na ziemię. Śmierć szczęście ich uczyniła doskonalszem jeszcze. Umarli jednego dnia... Pochowano ich w dwu oddzielnych grobach, następnego dnia wszakże oba groby złączyły się w jeden. Czy tak znasz pan tę legendę?

— Zupełnie tak samo. Ale ja znam inną

jeszcze legendę, która z tą wiele ma pokrewieństwa... Mówi ona o świętym Aleksyuszu, który jako wytworny, bogaty szlachcic ożenił się z cudnie piękną dziewczycą, i w dniu wesela w świat wyszedł, głosił słowo Boga obalającego bałwany. Po latach całych powrócił jako pielgrzym obdarty do domu swoich ojców i prosił, by go tam przyjęto; przyjęto go jako zwykłego parobka w domu. Żona jego i wówczas była jeszcze dziewczycą, i wówczas była mu wierną, i oczekiwała powrotu małżonka. Ale ten widział ją w dzień, codzień spotykał, ona przecież nie poznała go pod łachmanami, a on nie powiedział jej do śmierci, że był tym, na którego ona oczekiwała...

— Mnie pierwsza legenda więcej się podoba — a mówiąc to uściśnęła rękę Kolomana tak gorąco, i patrzyła mu w oczy takim pełnym żaru spojrzeniem, że musiał zrozumieć wszystko, co się kryło w mistryce legend.

Bardzo dobrze zrobiła hrabianka Dorota, że w tej chwili upuściła wachlarz: gdy go podnosiła Koloman miał przynajmniej czas otrzeć oczy.

Przeklęty handlarz niewolników, murzyn, powracał już, zaprządź ich do łańcucha a potem nie wypuścił już z jarzma, dopóki nie skończył się kotylicion. A nowej nie rozpoczynał już figury, murzyn bez serca!

Kiedy Koloman piękną swą tancerkę odpro-

wadzał na miejsce do księżny, ona raz jeszcze szepnęła mu w ucho:

— A nie zapominaj pan legendy o świętym Brunonie i Jadwidze!

Księżna otuliła alabastrowe ramiona wnuczki delikatnym szalikiem, aby ją uchronić od zaziębienia.

Wedle zwyczaju zapytała jej:

— O czym mówiliście z Jenöim?

— O niezapominajkach.

Mówiła prawdę: pierwsze słowo rozmowy było „nie zapominaj mnie“ i ostatnie słowo było także: „nie zapominaj mnie...“

ROTUNDA.

Na peszteńskim brzegu Dunaju stała okrągła baszta. Pochodziła ona z dawnych czasów tureckich, kiedy Peszt otoczony był jeszcze bastyonami. Ktoby dziś chciał szukać tego miejsca, znalazłby tam długi szereg nowych pałaców. Podówczas baszta stała osamotniona na wybrzeżu; ponura, ciemna, smutna kupa kamieni z surowych wielkich, nieociosanych, spojonych z sobą kwadratów, które nigdy nie zaznały tynku. Mech czasu gnieździł się w jej szczelinach. Dach był drewnianymi gontami pokryty i od licznych latań aż różnobarwny. Ile jest tylko nietoperzy, krążących wieczorem ponad wodami Dunaju, to wszystko byli mieszkańcy rotundy.

Może o tysiąc kroków stamtąd wznosi się wspaniały reductowy budynek, który zawiera teatr niemiecki; fronton w nowożytnym stylu, zwrócony ku miastu i opatrzony perystylem, a w ni-

szach mający piękne posągi bogiń. Do pokrytego przysionka wysiadają co wieczór z eleganckich karet panie z jedwabnymi trenami spiesząc do łóż swoich.

Otoczenie rotundy natomiast dostało się w posiadanie łachmanowemu pospólstwu całego miasta. Tu przekupki czosnku rozbijają namioty, tu zasiadają przekupnie drobiu z Kecskemetu nad kojcami pełnymi kurecząt, tu składają flisaki połamane deski i zmurszałe liny, tu wałęsa się przez ciąg dnia motłoch, który za dnia niema nigdzie mieszkania. Cały placyk przed rotundą w lecie zarzucony jest łupinami melonów, pierzem drobiu i łupinami cebuli; jesienią z powodu błota jest całkiem niedostępny; zimą tylko otrzymuje trotuar ze śniegu taki sam jak wszystkie inne części miasta.

Tu rozbiła wędrowną trupa węgierskich aktorów swój obóz.

Szanowna gmina miasta nie miała ze starożytnego budynku żadnego pożytku; aktorowie przyrzekali płacić z niego dzierżawę; układ przeto był wprędce zawarty. — Budynek należał do miasta, nikt zresztą nie miał tu nic do rozkazywania.

Banyavary zastał tam jeszcze stare podium i ciesielskie wiązania, które w roku 1815-ym pozostawiła po sobie jakaś wędrowną trupa; dość

było wyporządzić to teraz i naciągnąć pomalowane płótna.

Pieniądzy do tych przygotowań przedwstępnych nie miał w ogóle, żądać ich od dostojnych protektorów nie miał zwyczaju, Balvandy zaś nie przybył tu z nimi. Być może, iż miał w tem jakieś przyczyny, by przybycia ich do Pesztu nie popierać. Mimo to przecież jakoś zaradzono brakom i postarano się o wszystko, czego było potrzeba. O, bo wędrownemu aktorowi tak zaostrza węch doświadczenie jak miedzianoskóremu Indyaninowi; umie on pośród mieszkańców jakiegoś miasta wywachać, który kupiec da mu na kredyt farb do dekoracyi, sztyldów i kostyumów, a który ślusarz i stolarz podejmie się roboty za obietnicę późniejszej zapłaty.

Znaleźli się ludzie, co pożyczają chętnie i pracują na kredyt.

A i towarzystwo nie wymrze tymczasem z głodu. Toć jeszcze są w Peszcie mecenas sztuki. Jaoy to mecenas? To zobaczymy później.

Kiedy scena była już gotową, można było rozpocząć widowiska.

Z początku, co prawda, szło to bardzo ciężko.

Łóżowej publiczności nie było prawie wcale, na parter chodzili juraci, na galeryę rzemieślnicy. Jurat rzadko ma pieniądze, rzemieślnik zaś tylko w niedzielę ma czas wolny. Dlatego też wido-

wiska można było dawać zaledwie co drugi dzień. A potem lepsza publiczność w Peszcie wszystkie te sztuki, które oni dawali, już widziała dawniej i to jeszcze grane przez lepszych artystów w teatrze niemieckim, a u nas panuje przekonanie, że jeśli się co raz widziało, to nie ma po co drugi raz jeszcze oglądać, boć wie się jak się to skończy.

— Czekajcie, — mówił sobie Banyavary, kiedy przy migocącym świetle lamp robił przegląd nie-licznej publiki, — niezadługo przyjdzie coś takiego, że skoro tylko posłyszycie o tem, oblegać będziecie bramę rotundy i domagać się, by wam tę sztukę powtarzano codzień sześć razy z kolei. Niezadługo wystawimy arcydzieło Kolomana!

Pierwej wszakże trzeba z niem było ominąć, okropny szkopuł każdego pisarza: cenzurę.

W Buda-Peszcie było podówczas czterech cenzorów: niższych i starszych; był jeden świecki, drugi duchowny; ten ostatni miał oprócz tego jeszcze urząd inny, w owych czasach bowiem nie pisano w kraju jeszcze tak wiele, żeby odczytywanie rzeczy do druku zająć mogło aż czterech ludzi.

Pomiędzy nimi byli ludzie rozumni, wykształceni, a ci byli właśnie najgorsi, bo poznawali od razu intencye autora i umieli czytać między wierszami.

Na szczęście można sobie było wybierać,

mógł wzdychający do rozgłosu autor lub aktor dzieło swoje zanieść temu, który mu się najlepiej podobał.

Banyavary najbardziej upodobał sobie pana Nepomucena Boczę.

Kiedy zawiadomił Kolomana, że dzieło jego oddał tej znakomitej osobistości, odetchnął Koloman głęboko.

I najdzielniejszy generał nawet oddycha z pewną ulgą, kiedy mu w przeddzień bitwy oznajmia, że pokój zawarto. Sława to rzecz piękna, śmierć na polu bitwy również rzecz piękna, ale i życie także jest piękne.

Szanowny pan Nepomucen Bocza uwiecznił się w najdalszą potomność znakomitemi anegdotkami, które świat literacki o nim przechował. Widmo to minionego stulecia; człowiek pozostały gdzieś w tyle po za swoimi czasy, który odkąd wyszedł ze swego seminaryum nie wziął ani jednej książki w rękę, po to, by się z niej czego nauczyć, ale po to tylko, aby z niej coś wykreślić... Historia, filozofia, fizyka nie istnieją dla niego; on sądzi wszystko z punktu widzenia dogmatu i tradycyi. Rozwojowi języka nie dotrzymał kroku, nowych wyrazów stanowczym był przeciwnikiem; wyraz, którego nie znalazł w stuletnim słowniku Pariz-Papai'ego, wykreślał bez miłosierdzia i zamieniał na inny najbardziej mu dźwiękom pokrewny. Wszelkich twierdzeń

przeciwnych Pismu Świętemu nie przepuszczał nawet w poezyi. Od autora erotycznych wierszy żądał, aby opiewana kobieta nie była czasem mężatką; o etyce i przyzwoitości miał swoje osobne pojęcia. Jeżeli wyrazy „Isten“ lub „Szent“, Bóg lub święty zobaczył napisane małą początkową literą, nie omieszkał tego natychmiast na wielką poprawić. Wyrazu „szatan“ nie pozwalał już umieszczać zupełnie i zamieniał go zawsze na „czarny“, słowo „mnich“ zamieniał bez wyjątku na „zakonnik“, choćby to było w wierszach.

A potem siedział zawsze w biurze i trawił czas na tem, że przepuszczone już przez innych cenzorów do druku dzieła, które już ukazały się na świat, brał i ponownie przeglądał, zakreślając czerwonym ołówkiem wiersze lub słowa, które on byłby powykreślał. Jeżeli zaś cokolwiek już zabardzo go raziło, to poprostu denuncyonował kolegów za zbytęteczną pobłażliwość.

Cenzurował wszelkie możliwe książki: poezye, komedye, psalmy, podręczniki szkolne, matematykę, gramatyki, prozodyę, z których ani jednej nie rozumiał. Cenzurował nawet kalendarze, a te ostatnie czytał tak uważnie, że niejednokrotnie zwracał uwagę ich układaczów na to, jeśli w wykazie jarmarków wypadkiem jarmark w jakiejś miejscowości naznaczali na niedzielę, co oczywiście przecież nie mogło być dopuszczone; w dziale przepowiedni pogody okazywał się

zawsze prawdziwym przyjacielem ludu, obrońcą interesów rolnika; niezliczone razy poprawiał zapowiedziany na porę żniw „deszcz bezprze-stanny“ na „stałą pogodę,“ boć takiej potrzeba biednemu wieśniakowi na czas żniwa. Nie był ty zły człowiek, tylko niesłuchanie głupi.

Tego właśnie wybrał sobie Banyavary na cenzora wspomnianego przez nas arcydzieła.

Przybył do niego z całą uniżonością, tytułował go „*illustrissime*,“ mówił do niego po łacinie. Tym sposobem odrazu zyskał sobie u niego względy... Utrzymawał, że z pośród wszystkich pieszteńskich cenzorów dobrowolnie jego wybrał na sędziego tego utworu, ponieważ nie ma zaufania do reszty, by go z dostateczną przepatrzyli uwagą. Jest to dzieło młodego jeszcze człowieka, a ci młodzi panicze tak są skłonni do propagowania lekkomyślnych postępów, tak umieją usidlać ludzkie serca miłosnemi historyjkami; a przytem przepelniają zwykle swe prace mnóstwem nowoukutyh wyrazów, których prócz nich nikt nie rozumie. Więc też prosi bardzo o wykorygowanie tych wyrazów, przypuszcza bowiem, że utwór młodzieńca roić się nimi będzie.

Pan Bocza był odrazu przekupiony.

Jakże go to oieszyło, że napotkał narazie kogoś, który jest w stanie pojąć jego wielkość. Przynrzekł też panu dyrektorowi powierzony mu

utwór przepatrzó starannie i za trzy dni sąd swój o nim objawió.

Trzeciego dnia zjawił się u niego Banyavary. Pan Bocza przyjął go z miną mędroca.

— Niesłychanie mnie pan zawiódłeś. Ależ to bynajmniej nie jest niemoralna sztuka: przeciwnie, to rzecz bardzo moralna, i ani jednego nowego słowa w niej nie znalazłem, którebym musiał być poprawić; ortografia tylko tu i owdzie jest trochę błędną, a jamby w niektórych wierszach szwankują.

Nieszczęsny cenzor! Denuncyacya podstępnego komedyanta wprowadziła go na trop fałszywy, a kiedy Bocza w dziele Kolemana ścigał niemoralne idee, intrygi miłosne i nowe słowa, wymknęła mu się przez ten czas głęboka myśl moralna dzieła, zwiastująca boską naukę wolności. Szukając myszy przeoczył słonia.

Każdy inny cenzor byłby od początku do końca przekreślił czerwonym ołówkiem ten utwór wstrząsający piedestalem potężnej tej ziemi; on jeden nie dopatrzył wniej głównej rzeczy — ducha.

Owszem chwalił nawet dzieło.

— Ten młodzieniec bardzo ładnie wierszuje; gdyby pisał po łacinie, mógłby wyjść na wielkiego pisarza.

I oddał Banyavary'emu rękopis z dopiskiem: „*theatro admittitur*“, nie wykreśliwszy ani jednego wiersza.

Tryumf Banyavary'ego był zupełny.

Dwa tygodnie trwały przygotowania do wystawienia nowej sztuki; przez dwa tygodnie obiegała fama z nazwiskiem Kolomana całe miasto, naprzód już otrębując, że ukaże się na świat arcydzieło, olbrzym przewyższający wszystkie drzewa ziemi.

Ale tym sposobem fama nie wyrządzała bynajmniej Kolomanowi wielkiej przysługi. Wszyscy spodziewają się czegoś dwa razy większego niż to, co mają zobaczyć. Podrażniona ciekawość obiecuje sobie cuda, a doprowadzona do wściekłości zawiść łaknie krwi ofiary... Jeden chwalcą stwarza dziesięciu krytyków.

Banyavary sam biegał po całym mieście jak szalony, chwycił za klapy od surdutów znajomych i nieznanym aby im zachwalać nową sztukę. Na afiszach na tydzień zgóry już począł zapowiadać „widowisko nadzwyczajne.“ Dodał, że sztuka grana będzie dwa dni z kolei; że ceny miejsc są podwyższone, abonament zawieszony, wszystkie bilety wolnego wstępu są na te dni nieważne. Wszystko to były rzeczy niesłychane w Peszcie.

Osoba autora wznaga jeszcze zajęcie publiczności. Koloman był ulubieńcem kół najwyższych. Na dzień pierwszego przedstawienia wszystkie łoże rotundy zamówione zostały zgóry, rodzina Decserych nawet prosiła Kolomana, aby

na oba wieczory postarał się dla nich o łożę. Jakoż wybrał taką, której wewnątrz mógł dobrze obserwować ze swojej.

Nakoniec tak niecierpliwie oczekiwany dzień nadszedł; dzień z taką trwogą wyglądany, który miał być rafą w życiu Kolomana. Rafą, o którą rozbije się jego okręt, ale na której wzniesie się jego wielka latarnia strażnicza...

Jakże nieskończenie długi bywa dzień, w którym autor pierwsze swoje dzieło wystawia na scenie! Twórca jego przez cały dzień jest w gorączce, nie wie sam co robi. Jest na scenie już przed inspicjentem... Pomaga porządkować, a tymczasem pomnaża tylko zamieszanie. Błaga każdego aktora po kolei, aby na miłość boską pilnie wykonywał swą rolę. Drżący zbliża się do kurtyny i śledzi czy się publiczność zebrała dość licznie. Staje wciąż w drodze dyrektorowi i reżyserowi, którzy nie mogą się mu opędzić. Primadonnie prawi zachęcające komplementa a zęby mu szocękają kiedy całuje białe od ryżowego pudru jej rączki. Drży, lęka się wszystkiego. Gdyby nie to, że jest tam Cilly, która z czarującym uśmiechem i teraz tak go wita przyjaźnie, tak swobodnie, tak swojsko jakoś, to popadłby chyba w rozpacz. Nakoniec rozlega się dzwonek suflera... Orkiestra rozpoczyna grać, dyrektor zaklina autora na wszystkie świętości aby już poszedł do swojej łoży i on wreszcie puszcza się

przez schody. Tu cofa się w najciemniejszy kąt łoży, z którego może dobrze widzieć scenę, a nie być przez publiczność widzianym. Publiczność wprawdzie wie doskonale, że głębia tej jedynej łoży, która pozornie jest pustą, ukrywa autora, i jak myśliwcy śledzą lisa, tak wszystkie lornetki zwracają się ku wygłębieniu tej łoży właśnie. Panuje niesłychany upał, serce uderza sto dwadzieścia razy na minutę. Galerya tak napechana, że zdaje się, grozi zawaleniem; a to publiczność niecierpliwa, rzemieślnicy, służba. Poczynają pukać, tupać, hałasować. Autor dostaje gorączki, bo sztuki jego woiąż jeszcze nie rozpoczynają. Nakoniec rozlega się dzwonek suflera po raz drugi i alegoryczne postaci kurtyny podnoszą się w górę. Powstaje uroczysta cisza... Autorowi błyska nagle myśl dziwna: wyskoczyć z łoży, odebrać suflerowi egzemplarz sztuki i uciec gdzie z nim razem — ale już za późno! Już w pośrodku sceny stoi ów pan w butach z ostrogami i poczyna od razu *in medias res*...

Autor patrzy i słucha.

O! to męczarnia, nie dla ludzkich stworzona nerwów! Z nią równać się może chyba tylko męka tej biblijnej matki, w której oczach mordowano jej dzieci po kolei. Jakże tu mordują najpiękniejsze jego wiersze! Być może, że grają dobrze, ale on to sobie wszystko całkiem inaczej wyobrażał. Nie takimi żyły te postaci w jego

duszy... Banyavary sam zdaje się rozumieć co wystawia. Deklamuje swoją rolę całkiem inaczej niż wówczas na kamieniu Ołtarza. Ah, wtedy mówił do niewidzialnych olimpijskich bogów, teraz zaś mówi do ludu na galeryach a temu ludowi trzeba dowieść, że się ma głos dobry. Wszystko dzieje się słowo w słowo tak, jak przepowiedział Biroczy. Postać zapaleńca arystokraty nabiera grubych, pospolitych rysów betyara, ze zbolalego sędziwego patrioty staje się stara lamentująca baba, obraz skarżącego się wieśniaka zaciera się w jakiegoś rezonującego gadułę, z książęcych postaci jedna dochodzi za ledwie wysokości poczciwego kaznodziei, druga jest poprostu ukoronowaną, zacną, gospodarną panią pastorową. Jedna Cilly czuje co gra, na niej tylko ze spokojem zatrzymać się może wzrok poety. Ona jest doskonałością, skończonością. Reszta za to tem dalej stoi od ideału...

I aby tortury jego zwiększyć przychodzi jeszcze do łóży jego Biroczy chwalić aktorów: jak dziś grają swą przeszli wszelkie oczekiwanie. Może w istocie grają dobrze, ale Koloman całkiem to inaczej uporządkował w swej myśli; te postaci nie mają nic wspólnego ze zrodzonymi w jego duszy obrazami.

A przytem nie dość tego, że Biroczy odwiedza go w jego łóży: przychodzą jeszcze po kolei inni jego młodzi znajomi, literaci, krytycy; po-

czynają nieodzownem powinszowaniem a potem wyliczają przyganiające uwagi, wnioski. Tu poczynają znów sprzeczać się między sobą. Wymyślają na aktorów, którzy nie dorosli do arcydzieł tego rodzaju; publiczność dzięki tym dysputom, nie słyszy dobrze sztuki, niecierpliwi się i poczyną sykać obrócona w ich stronę...

Ukradkiem niepewny wzrok Kolomana zagłębia się w przeciwległej łoży, gdzie siedzą Decsery'owie, i pragnie sąd ich wyczytać na twarzach.

Księżnie jest gorąco, wachluje się; klaska wówczas tylko kiedy Cilly występuje na scenę, i wówczas też znagła nadżupana, który leniwie składa dłonie do oklasku.

A Dorota?

Twarz jej zupełnie jest zmieniona. Tronuje na niej wyraz, którego tam nigdy jeszcze Koloman nie widział. Jak posąg nieruchoma ściga każdy wyraz wypowiedzianych wierszy... Jestże to lęk? czy też zdumienie tak skamienia jej rysy? a może oba razem uczucia? Może ją prze-rażają myśli, których powłokę słów słyszy? Może teraz dopiero dowiaduje się, kim jest ten człowiek, którego kocha? Może teraz dopiero uczy się pojmovać jaki to okropny jest ów kraj, któremu na imię poezya i może drżą wszystkie nerwy jej serca przejęte pod jej tchnieniem tym szczytnym dreszczem?

Wrażenie arcydzieła na publiczności było bardzo wątpliwe. Pojedyncze poetyczne miejsca były dostatecznie oklaskiwane; ogólnie wszakże porywające działanie, które sobie sam Koloman obiecywał, nie dopisało bynajmniej. Daremnie przychodzący do jego łoży przyjaciele powiadali mu, że sztuka jego podoba się bardzo; on czuł, że jest przeciwnie... Poeta w godzinie widowiska jest jasnowidzącym; odczuwa to nawet, co po nim myślą ci, którzy — milczą. Nie tak objawia się uznanie publiczności! Galerye ryczą przy wierszach pełnych patosu, ale duch sam, myśl sztuki dla wielkiej publiczności jest obojętną. Niektórzy pojmują i ducha — ci tam w łożach. Rozumieją go doskonale... Ale cierpie im wtedy skóra, i Koloman spostrzega, że jedna łoża się opróżnia. Lękają się słuchać nawet tych myśli, które on przyoblekł w żywe słowo. A ogólne mistrzowskie ukształtowanie, szczytność tragiki, tego nikt nie pojmuje zupełnie. Gdyby widzowie nie byli pozbawieni zmysłu do tego, porwałaby ich ta nieskończona przepaść idealnych piękności, przejęła niemym zachwytem! A on to czuje poeta, o, czuje doskonale, jakie nadziemskie wyśnił piękności, dumny jest z tego, a przecież zmuszony widzieć, jak nikt snów jego nie pojmuje, nikt nie rozumie...

W międzyaktach przywoływano autora, ale się nie ukazał. Reżyser oznajmił, że autor nie

jest obecnym. Za to usunięcie się Banyavary robił Kolomanowi wymówki. Wedle jego mniemania ukazanie się przywoływanego autora wzmaga powodzenie sztuki.

— Mój utwór nie podobał się, — odpowiedział Koloman sucho.

Banyavary omal nie zamordował go za te słowa.

— Ależ podobał się niesłychanie. Publiczność szaleje kompletnie! A zresztą dzisiejsze przedstawienie było tylko generalną próbą; przypatrz się jutro, jak grać będziemy wszyscy. Tak jutro!... A ze mnie jesteś zadowolony?

— Cilly była zachwycająca, — odpowiedział Koloman.

— No, a ja? a reszta?

— Tylko Cilly była zachwycająca.

Wieczór pierwszego przedstawienia zakończyła wspaniała uczta pod „siedmiu kurfirstami,” gdzie autor starym obyczajem ugaszczał aktorów i przyjaciół. Na ten bankiet zaproszono wszystkich zamieszkałych w Peszcie literatów bez wyjątku.

Podówczas co prawda niewielka ich była gromadka, nie tworzyli też bynajmniej osobnej jakiejś klasy, każdy z nich bowiem oprócz tego, że pisał wierszem lub prozą, miał inne jakieś uczciwe zajęcia; jedni zajmowali urzędy, ten oto niedawno wsławiony poeta epiczny jest gu-

wernerem w domu prywatnym i uczy dziewięciu chłopców; zbieracz antologii, profesorem uniwersytetu; bajkopisarz zamożnym obywatelem ziemskim; jeden tylko redaktor dziennika beletrystycznego, będącego zarazem dziennikiem mód nie był niczem innym. Człowiek genialny ale bez charakteru, wiecznie w długach tkwiący po same uszy, który nigdy nie płaci nikomu a przytem znany jest z tego, że jest wielkim smakoszem; sam chlubi się tem, że na każdy obiad zjada jednego prenumeratora swego „Mulatsagos“ (taki tytuł bowiem nosiło jego pismo) i w kierunku tym pracuje za dwu o tyle, o ile sam przejada cały zarobek swego głównego współpracownika; owym współpracownikiem zaś nie jest kto inny tylko nędzny Aszalyi, który przez swego szefa i protektora polecany jest względem szerokiego świata. Stąd przydomek „pieczeniara“, którym się cieszył Aszalyi.

Wiadomem jest, że Aszalyi wszędzie jada darmo. Cokolwiekbądź postawią przed nim; resztki z garnków czy pasztety, rad jest z wszystkiego, byle go darmo tylko posadzono za półmiskiem.

Czasami nie zapraszają go nawet, ale to nic nie szkodzi, on posiada sztukę zasiadania na ochotnika. Aszalyi obok tego jest krytykiem literatury i sztuki. Najłatwiejsza to sztuka, do której nie potrzeba się niczego uczyć. A potem

zajęcie to jest najlepszą drogą do jadania darmo; proszą go na obiady, ugaszczają, traktują.

Jakżeby Aszalyi wraz z naczelnym swoim redaktorem panem Kovaszos nie miał się stawić na bankiet Kolomana! Tego może być pewnym Koloman, że nikt mu bezwstydniejszych pochlebstw niż Aszalyi nie będzie prawił w oczy; nawet pryncypał jego pan Kovaszos, który przecież jest słynnym lizusem.

A przecież Kolomana przejmuje to prawdziwym wstrętem kiedy mu kto w oczy gada pochwały. Co prawda w tem towarzystwie nie potrzebuje się tego obawiać, by to przyszło komu innemu jeszcze na myśl prócz redakcyi „Mullatsagos“. W zgromadzeniu uczonych, literatów i aktorów nikt nie mówi o niczem innem tylko o wielkich rzeczach, których sam dokonał. Aktor opowiada, jakie to tryumfy spotykały go na prowincyi, jakim deszczem padały do nóg jego wieńce, liściki miłosne, pamiątkowe i pierścienie. Humorysta cytuje najlepsze swoje dowcipy, które w tej chwili właśnie kraj cały elektryzują; badacz dziejów dowodzi, że wszystkie języki świata pochodzą od węgierskiego, że Żydzi, Assyryjczycy, Fenicyanie wszyscy byli naszymi protoplastami; redaktor opowiada o zwiększeniu się liczby swych prenumeratorów; wierszokleta natomiast szczęśliwym jest jeśli dostanie dwóch cierpliwych sąsiadów, którzy słuchają najwybi-

tniejszych miejsc nowych jego poezyi; tylko Aszalyi'emu przychodzi kiedy niekiedy pomysł wzniesienia jakiegoś niezręcznie naciąganego toastu na cześć bohatera dnia dzisiejszego, który siedzi ponury u końca stołu z duszą błędzącą wszędzie, tylko nie tu, gdzie piją jego zdrowie...

Wreszcie dość późno już poczęło się rozpraszanie towarzystwo. Naprzód wymykają się jeden za drugim aktorzy, których jutro jeszcze czeka ciężka praca i którzy dlatego też wcześniej muszą wracać do domu; wtedy pozostali biorąc tych co się rozeszli na zęby i bez miłosierdzia obmawiają decydując, że gra ich dzisiejsza była niżej wszelkiej krytyki. Ani jeden z nich niema najmniejszego pojęcia o sztuce; Banyavary dobry jest na nocnego stróża a nie na aktora, w jego żonie niema ani iskiereki namiętności. Po nich znika historyk, bajkopisarz i poeta epiczny. W miarę jak po kolei wychodzą z sali, zapada na nich wyrok: o pierwszym mówią, że jest śmiesznym idyotą, o drugim, że ma wyborną piwnicę ale bajkami swojemi ludzi usypia, o ostatnim, że nie może znaleźć na swoje utwory nakładcy chociaż wyobraża sobie, że jest lepszym od wszystkich innych. Po wyjściu gramatyka, usiłującego wprowadzić inowacye językowe wyciągnięto na stół osławiony pamflet, który te jego usiłowania właśnie nielitościwie wysmiewa. Z pośród wszystkich jeden Biroczy

tylko jest zabezpieczonym od obmowy; nie jest bowiem ani literatem ani aktorem.

— Idźże już też raz do domu, proszę cię Kolomanie — mówił dowcipny chłopak, ulitowawszy się nad swoim przyjacielem, siedzącym w ponurem zamyśleniu; — *dajcie nam nakoniec możność przenicowania ciebie!*

Koloman wziął na seryo przyjacielskie napomnienie i przeprosiwszy towarzystwo pod pozorem, że go boli głowa, zabrał się do wyjścia.

— Ależ Koloman skoro się oddali, pozostawia poza sobą samych wielbicieli, — krzyczał Aszalyi. — No, zobaczysz, skoro jutro przeczytasz nasz „Mulatsagos“ jak cię uczymy, jak uwieńczymy twe nazwisko. I babka twoja trzyma nasze pismo. Jakaż to będzie dla niej niespodzianką, skoro przeczyta wszystkie te pochwały!

Kolomana przeszło mrowie. Coprędzej począł szukać kapelusza.

Aszalyi przyczepił się do niego.

— Ja ci towarzyszyć będę do domu, ażeby cię na ulicy co złego nie spotkało.

— Dziękuję, wezmę dorożkę.

— To zabierz mnie z sobą. Muszę zajść jeszcze do drukarni aby napisać recenzją twojej sztuki do jutrzejszego numeru.

— Pozostańże tu jeszcze i baw się... Powóz odeślę ci i będzie stał do twego rozporządzenia.

W ten sposób udało mu się wreszcie pozbyć

krytyka i pożegnać współbiesiadników; niechaj tu sobie teraz wedle upodobania obrabiają ofiarę dzisiejszego dnia... Najmilszym deserem takiej literackiej uczyty, który zjada się na zakończenie bez widelców i noży z największym smakiem, jest — sam amfitryon, autor.

Jeśli Koloman ciekaw był co po jego odejściu o nim mówiono, to mógł to nazajutrz zaraz, kiedy późno obudził się ze snu odczytać wydrukowane w wilgotnym jeszcze „Mulatsagos“, położonym na jego stole.

Była tam recenzja wczoraj wystawionej sztuki, podznaczona literacką cyfrą Aszalyi'ego.

Nikczemny, obelżywy, szyderczy persyflaż od początku do końca, w którym myśl jego utworu była całkowicie przekręcona, w którym odmawiano mu wszelkiego poetycznego polotu, wyśmiewano język i karykaturowano całą ekspozycją, wydrwiano tragiczność, denuncyowano tendencją, a nawet wydrwiono jego osobę, nazywając go ograniczonym dandysem, ulubieńcem kobiet, który uważa się za poetę czystej krwi, ciatego, że go stać na czystej krwi wierzchowca. I tak to szło przez całe drobno zadrukowane stronnice.

— — — I to jutro już czytać będzie jego babka...

Ale cóż to obchodzi Kolomana, co pismo pana Kovaszos i jego pucybutów pisze o nim

i o jego utworze! Jedno jedyne pytanie usuwało wszystkie inne kłopoty na plan dalszy; co teraz mówią u Decsery'ch o nim?... Dreszcz wstrząsał jego nerwami... Jak go też tam przyjmą?

Cóż znowu! Iluż to młodzieńców spotkało takie same niepowodzenie pierwszej ich sztuki. Pocóż z tego robić zaraz jakąś sprawę doniosłego znaczenia?... Tak, ale to nie był Jenői i nie była jego sztuka. On był olbrzymem w krainie muz i olbrzymem w bagnisku powszedniego życia, geniuszem stanowiącym epokę, którego upadek święcić będzie cały legion tchórzów i liliputów uroczystą radością. Czuł to on sam, czuli to wszyscy inni, którzy go kochali, i którzy dlatego pragnęli go powstrzymać. Upadek jego był obaleniem się kolosu. Człowiek powszedni mógł upaść i napowrót podnieść się na nogi, kochanka nie opuściłaby go przez to jeszcze. Ale dla Kolomana upadek był równoznaczny ze znicestwieniem.

U Decsery'ch przedewszystkiem złożył wizytę paniom. Zastał księżnę z hrabianką Dorotą razem.

Księżna była niezmiernie dlań uprzejmą, niebawem też zeszła w rozmowie na najmocniej Kolomana zajmujący przedmiot, na wczorajsze widowisko.

— Prawdziwie uroczym był wczorajszy wieczór! Od czasu instalacyi w Kordicza nie widziałam węgierskiego teatru, ale wyznać muszę,

że od tego czasu aktorzy nasi zrobili ogromne postępy. Przedewszystkiem zaś pańska kuzynka, pani Banyavary; ta mogłaby być ozdobą każdej zagranicznej sceny. *A propos!* dlaczego to wówczas powiedziałaś pan, że to pańska siostra? Toż na afiszu wydrukowane: pani Banyavary z domu Cecylia Perkatai? A, rozumiem już... Wzrastaliście razem i uważasz ją pan jak siostrę; bo też to miłutkie stworzenie prawdziwie, wzniosła postać, zapomnieć nie podobna tych jej wielkich mówiących oozu, uroczą a taką pełną wdzięku.

Dlaczego księżna tak się unosi, tak wychwala tę aktorkę? dlaczego właśnie wobec hrabianki Doroty? Może usiłuje źle usposobić ją dla Kolomana budząc w niej podejrzenie, że Kolomana z tą piękną aktorką łączy nietyle pokrewieństwo co miłość...

— Jaka to szkoda, że nie mogłam zrozumieć dokładnie tekstu, — mówiła dalej księżna, — od Doroty wiem tylko, że to jest podniosłe dzieło wysokiej wartości. Ona niem była rozentuzymowaną.

Koloman spojrział na Dorotę.

Wyraz pięknej twarzyczki Madonny nie usprawiedliwił bynajmniej twierdzenia babki. Była ona bladą a jej oko z pewną trwogą spotkało się ze spojrzeniem Kolomana.

Zdumiewajacem było, że hrabianka pozwoliła

sobie w obecności babki rozmawiać z Kolomanem po węgiersku, którego to języka księżna rozumiała bardzo mało.

— To prawda, — wymówiła hrabianka Dorota, — ale to była piękność okropna. Były chwile, w których martwiałam na myśl, że te pomysły zrodzić się mogły w pańskiej duszy! Kiedyś pan je stworzył?... Czem jest poeta, co takie stwarza myśli? Powiedz pan: kiedy tak pośród nas żyjesz, uśmiechasz się, rozmawiasz żartobliwie, czy i wówczas również w sercu twem przyczajone żyją te płomiennookie myśli? czy też tylko demon jakiś porywa pana, kiedy sam jesteś i dyktuje twemu pióru obce jakieś wyrazy? Czy pijesz pan jakąś rozdrażniającą truciznę w takich chwilach, opium lub haszysz?

— Nie, hrabianko, — odpowiedział Koloman z uśmiechem, — ja zwykłem pisać całkiem na trzeźwo... Myśl rodzi się tylko z myśli.

— Ale jakimż sposobem dwie krańcowo przeciwne myśli mogą wydać jedna drugą? To rzecz, która dla mnie jest tajemnicą. To rozumiem, kiedy człowiek nieszczęśliwie zakochany przemawia do mnie tak, że muszę nad słowami jego zapłakać; ale jak można znaleźć słowa właściwe ponurej duszy nienawistnego jakiegoś truciciela lub uwodziciela? Kto uczy poetę wybuchów nieokielzanej wściekłości, zrodzonej w duszy pod tchnieniem dotkniętego honoru lub zazdrości.

Czy poeta czuje to wszystko, co kładzie w usta swoim postaciom, tak samo złe jak dobre? Czy myśli te bierze z własnego swego ducha?

— Hrabianko, u poety siłą, co to wszystko stwarza, jest wyobraźnia. Tu wszakże ogarnia swą potęgą cały świat znany. Poeta musi przed sobą widzieć wszystko od piekieł aż do nieba.

— A czy wówczas widzisz pan samego siebie? Czy wiesz która z tych licznych postaci, które przywołałeś do życia twem zaklęciem jest twoją własną? Z kogo przemawia twoja dusza? Z zazdrosnego, który zabija, czy z próżnego, który uwodzi? Jakby nam mógł ktoś stawić tak dokładnie przed oczy przerażającą nas postać, gdyby sam nie był mocen w nią się przedzierzgnąć?

— A, hrabianko, wedle mniemania pani więc musiałyby przedewszystkiem każdy dramat i powieść każda, pisanemi być przez mężczyznę i kobietę razem, bo ani jeden z nas wiedzieć nie może, co druga połowa rodu ludzkiego czuje, jak kocha i cierpi! Oprócz tego stan duszy mordercy, mógłby nam skreślić tylko morderca, sknery tylko skąpiec.

— Tak sędzę w samej rzeczy. I tak też być musi. W utworze mężczyzny postaci męskie są zawsze doskonale nakreślone, ale kobiety za to nigdy. A potem zawsze zpośród wszystkich wybija się na wierzch, wyróżnia jakiś ideał, w któ-

rym przejawia się dusza poety: takim byłbym! Cóż zatem jest pańskim ideałem? To co piękne, ale i straszliwe zarazem. Krwi łaknąca zazdrość, której palce ociekły krwią królewską. Okropny to ideał!..

Koloman zrobił spostrzeżenie, że grube chmury poczynają przysłaniać jego słońce.

Ale księżna nie dopuściła, aby stąd odszedł smutnym, była dla niego uprzejmą jak dla obcego.

— No Jenöi, nieprawdaż, Dorota powiedziała ci już, że wyjeżdżamy?

Już odjeżdżają!

Tak, ale hrabianka nie wiedziała jeszcze dokąd.

— Jedziemy do Florencyi i tam spędzimy zimę. Zdrowiu Doroty włoskie powietrze wyjdzie na dobre. Moja wnuczka powiedziała mi, że i pan zamierzasz pojechać do Włoch... Byłoby nam bardzo przyjemnie, gdybyś nas tam zechciał odszukać, i odwiedzić.

Koloman uśmiechnął się gorzko. „To więc być może“.

— Na pożegnanie dość jeszcze jest czasu; nie wyjeżdżamy tak zaraz. Nim ten czas nadejdzie mam nadzieję, że się zobaczymy jeszcze.

Koloman skłonił się i skierował ku wyjściu.

— Czy nie zechcesz pan zająć do mego syna? Nadżupan pytał już o pana.

Koloman podziękował uprzejmie za łaskawość i przez korytarz boczny przeszedł do pokojów nadżupana Decsery.

Ten nie przyjął go już tak uprzejmie jak matka.

Wyszedł ku niemu z twarzą gniewną i zmarszczonemi brwiami i nie dopuścił go nawet do słowa.

— Ah! Boże, Boże! kochany Jenői cóżeś ty narobił swoją wczorajszą sztuką! Jego książęca mość nie posiada się z gniewu. Dziś rano byłem u dworu, tak roznamiętnionego nie widziałem nigdy jeszcze palatyna. Mówił, że aktorom nie bierze tego za złe, to otwarci ludzie i odważni. Nie przychylił się do ich prośby, nie zezwolił na ich występowanie w teatrze warowni, więc osiedli w stajni i na złość jemu dają widowiska. Ci ludzie zasługują na szacunek. Ale ten chłopak!... myślał tu o tobie — co przychodzi do mnie z prośbą, nad którym pracuję całe godziny, trwoniąc daremnie przekonywujące argumenta, któregośmy prowadzili niemal za rękę i posuwali w górę; żeby ten naraz tak jak rozszalały broń odwrócił i kolbą nas począł płazować, to przechodzi wszelkie pojęcie!... Ale jakim sposobem mógł się znaleźć cenzor tak ograniczony, żeby tę sztukę dopuścić do sceny? Natychmiast cenzorowi temu odebrano miejsce jego w Peszcie a przeniesiono go do Tyrnawy.

Rozumieszże teraz całą sytuację, kochany mój Jenöi?

— Pojmuję ją jak najdokładniej, — wymówił Koloman, — i wiem co mi uczynić wypada.

Nie dopuścił też, by mu bliżej objaśniono złą nowinę, podziękował za nią nadżupanowi i pospieszył z pałacu Decserych wprost do domu.

A w drodze począł zastanawiać się nad tem, że księżna która z pewnością wiedziała już od nadżupana o grożącej Kolomanowi złej nowinie, zamiast jako interesowana strona okazać mu gniew swój, obsypać wymówkami, jak to uczynił otwarty nadżupan, była dla niego jeszcze uprzejmiejszą niż zwykle. Uprzejmą i grzeczną, jak dla obcego!

Pierwszem, co uczynił Koloman po powrocie do domu było napisanie zrzeczenia się świętego dworskiego urzędu...

Zaledwie to Koloman ukończył, kiedy z wielkim hałasem wpadł do niego Banyavary. Włosy miał rozrzucone w nieładzie i cały zdyszany rzucił się na kanapę. W ręce trzymał dwa listy opatrzone wielkimi pieczęciami.

— Patrzaj! Czytaj to!... Nie to, tamto pierwszej. Ale i to także!

— No, któreż więc?

W jednym z tych bardzo długich pism, zakazywano w drodze urzędowej dyrektorowi teatru powtórnego wystawienia wczorajszej sztuki.

— To można było przecież z góry przewi-
dzieć, — odpowiedział z zimną krwią Koloman.

— Dobrze to tobie mówić tak obojętnie! —
wybuchnął Banyavary. — Ale ja jestem zabity.
Ja kazałem do tej sztuki robić tyle nowych
kostyumów, wszystko na rachunek, a teraz
wszystko to stracone. Jestem zrujnowany!

Koloman byłby mógł odpowiedzieć swemu
przyjacielowi: twoja to wina wyłącznie, a nie
moja; ty zaś zrujnowany zawsze jeszcze jesteś
tem samem czem byłeś, ja zaś jestem już ni-
czem; jednakże nie powiedział mu tego.

— Nie masz powodu rozpaczać znowu. Wy-
datki, któreś na ten cel poczynił, ja pokryję,
rachunki jakieby ci za rzeczy sprawione do mo-
jej sztuki przysłano, ja zapłacę.

— Łatwo to tak rozprawiać! — mówił ziryt-
owany Banyavary. — Ale teraz przeczytaj to
drugie.

Z drugiego papieru dowiedział się Koloman,
że sławetna rada miejska wypowiada aktorom
rotundę, wzbraniając w niej nadal widowisk;
po upływie dwóch tygodni mają się wynieść
stamtąd, stara ta pozostałość bastyonów bo-
wkiem ma być zrównana z ziemią, na jej miej-
scu zaś miasto zamierza zbudować magazyn
solny.

Banyavary tak był zły i rozżalony zarazem
że aż płakał.

— Ale nie bądźże dzieckiem! — mówił Koloman. — Czegóż tu rozpaczać, że wam każą opuszczać to stare gniazdo nietoperzy? Skorośmy już coś rozpoczęli, musimy też mieć tyle siły by rzecz przeprowadzić do końca. Mamy przed sobą dwa tygodnie czasu; bądź spokojny: przez ten czas postaram się wam o inny lokal i będziecie grali dalej. Gdzie ja postawię nogę tam zwykłem stać silnie. Idź teraz do domu dojrzeć dzisiejszego widowiska, ażeby publiczność przez ten zakaz nie poniosła straty. Co dalej będzie, to już mój kłopot.

Teraz Koloman miał nad Banyavarym przewagę. W chwilach prawdziwego niebezpieczeństwa występuje na jaw ta wyższość, która znamionuje prawdziwą siłę.

Drobnym przykrościom stawiać czoło, z drobnymi napastnikami się użerać, znosić głód, marznąć i przebijać się przez codzienne biedy życia, do tego miał i Banyavary dość siły; ale tam gdzie złe stawało się poważnem, tam on upadał na duchu. Kolomana natomiast to dopiero podnosiło na nogi.

Że tak wszystko naraz sprzysięgło się przeciw niemu, począwszy od krytyków, aż do ukochanej przezeń kobiety, to właśnie duszy jego użyć zaczęło hartu stali.

Dobrze więc niechaj będzie na przebój!...

ROZMAITE SERCA KOBIECE.

Dnia tego Koloman nie wyszedł ze swego pokoju i polecił swemu służącemu aby nikogo nie wpuszczał.

Wiedział, że na wybuch przesilenia potrzeba dni kilku. Trzeba jak niebądź ten czas zabić. Przez ten czas nie pokaże się światu.

W jednym kierunku tylko nie mógł wytrwać dobrowolnie nałożonej na siebie kwarantannie; nazajutrz po południu skierował się ku pałacowi Decsery'ch, nie w zamiarze złożenia tam nowej wizyty, ale po to tylko aby od murgrabiego pałacu dowiedzieć się czegoś o nich...

Czekała go niespodzianka. Murgrabia powiedział mu, że księżna razem z hrabianką Dorotą i całą służbą wyjechały dzisiaj raniutko.

A więc już odjechały!

Wczoraj jeszcze mówiła mu księżna: nie żegnajmy się, na to dość jeszcze będzie czasu.

Cheiała więc, by rozstanie obyło się bez pożegnania.

Murgrabia wyczytał snadź na twarzy Kolomana jego myśli. Powiedział mu, że gdyby udał się do intendenta, ten mógłby powiedzieć mu coś więcej.

Koloman przypomniał sobie, że tym intendentem jest przecież dawny jego szkolny kolega Feri Csuka. Poszedł też do jego pokoju, który wychodził na ogród.

Młody chłopak wybiegł naprzeciw Kolomana ściskając rękę jego z radością. Miał tyle wrodzonego taktu, że nie rozpoczął z nim mówić o jego nieszczęsnej sztuce, ale zamiast tego, wcisnął mu w rękę maleńką karteczkę i szepnął: „schowaj to -- w domu zobacz — to od niej — ty już zrozumiesz...“

Koloman podwójną miał przyczynę nie mówienia już z nim ani słowa więcej; najprzód, że podejrzliwe oczy ich ścigały; powtóre że chciał co najprędzej dowiedzieć się, co zawiera tak droga karteczka.

Papierek ten był prostem owinięciem karmelka, który panie rzucają zazwyczaj na ziemię i którego nie przyszłoby na myśl podnosić nikomu prócz tego, którego uwagę zwróci nań wymowne spojrzenie.

Na tym karmelkowym papierku znalazł Ko-

loman następujące trzy wyrazy, nakreślone ołówkiem:

- Brunon.
- Genua.
- Jadwiga.

Tych trzech wyrazów nie mógł nikt w świecie zrozumieć, on przecież rozumiał wszystko.

Wyjechali do Genuy.. Jadwiga trwa w dziewiczej swej miłości, i Genua nie oddziela jej od ukochanego Brunona...

W jednej chwili Koloman przepomniał upadek opuszczenia. Ten małeńki skrawek papieru uleczył wszystko. Złożył go i ukrył obok drogiego portretu... Poczucie winy nie gniecie już, odkąd się wie, że otrzymało się przebaczenie. A skoro mu przebaczyła Dorota, skoro go kocha, o kogóż mogło chodzić mu więcej.

Czuł się przecież dotknięty tem, że księżna usiłowała w tak pogardliwy sposób uwolnić się od niego. Toż to dochodzi niemal już do śmieszności.

Zrodziła się w duszy jego chęć urągania temu wszystkiemu. Dumny człowiek, który się dotąd krył w tajnikach jego serca, wystąpił teraz z całą swą prawdziwą twarzą na jawę dnia, skoro przesłał tym dostojnym panom swą dymisyą.

Nie poszedł już do domu, nie zamykał się

już przed znajomymi. Szedł wszędzie gdzie zwykł był uczęszczać.

Tego wieczora był wielki bal maskowy w redutach. Na tę zabawę przyspasabiano się już i u Decser'ych; na innych balach publicznych i tak nie można było bywać z powodu dworskiej żałoby. Jakże naprzód cieszyła się na ten wieczór młoda para! Dorota potajemnie zdradziła przed Kolomanem w jakiej masce się ukaże na tym balu i po czem będzie ją mógł poznać. Po północy wszakże wszyscy zmienić mają kostyummy, a wtedy zobaczy czy ją też Koloman, pozostawiony własnej domyślności rozpozna. Koloman obstawał przy tem, że pozna zawsze hrabiankę po chodzie, po jej sposobie trzymania głowy i... po oczach. O, jakże pewnym był, że się na tych oczach nie omyli! Pierwszą maską miał być strój Gruzinki. Teraz i to już skończone.

Ale Koloman mimo to poszedł na ów bal maskowy, i to nie zamaskowany. Chciał pokazać właśnie, że żyje wciąż jeszcze i umie w twarz się śmiać światu.

W owych czasach bale maskowe w salach redutowych były nadzwyczaj uczęszczane i miały ten przywilej, że zbierała się na nie doborowa tylko publiczność; rzecz była zupełnie nową, jeszcześmy się nią nie przesytili a warstwy społeczne dwuznacznego charakteru, nie wypło-

szyły jeszcze śmietanki towarzystwa z posadzek tych sal...

W tym karnawale szczególnie były one uczęszczane i odznaczały się elegancją, rzekłbyś zbiór wszystkich zmieszanych z sobą narodowości, ścigających się wzajem: wszelkie ludowe stroje, postaci dramatów i mytów zbite w jeden tłum malowniczy.

Koloman przechadzał się pośród tego tłumu i pozwalał się różnym znajomym maskom drażnić dowcipnymi żartami. Nie był wcale wrażliwym.

Naraz jakaś ręka wsunęła się pod jego ramię i Koloman spostrzegł jak jakaś elegancka strojna smukła maseczka zawiesiła się u jego ramienia.

Była to Gruzinka wspaniałego, wysmukłego wzrostu, przepasana w stanie przetykanym złotym szalem, którego końce spływały na krągłe biodra. Bogaty kaftan z perskiego materiału spadał jej w przystających do ciała fałdach aż do kostek, z pod niego wyglądała para drobniotkich nóżek w szerokich jedwabnych pantalonach obutych w safianowe pantofelki; od turbanu o czaplich piór kicie zwieszał się długi welon, świetna połyskująca złotem tkanina, która zarazem służy za maskę, pozostawiając dla oczu tylko dwa otwory; nakoniec obok kity czaplej ponsowa georgia, podówczas jeszcze

rzadki kwiat cieplarniany, przytwierdzona brylantową agrafą.

— Cóż, czy nieprawda, że Gruzinka tu jest? — wyszeptwała piękna maska.

Na pierwszy rzut oka uderzyło mocno Kolomanowi serce.

Ale kiedy spojrzął w oczy pięknej masce, ustało to bicie serca: a przecież były to czarownie piękne oczy!... Ale oczy ciemne, ale nie oczy Doroty!

— Ale nie ta Gruzinka, której ty szukałeś! — drażniła go dalej maska.

Kolomana poczęła zaciekawiać ta intryga... Nie widział wprawdzie w tem nic szczególnego, że odgadniono jego tajemnicę. Decsery'owie prawdopodobnie zamówiony kostyum odesłali modystce, ta zaś sprzedała go i opowiadała pewnie każdemu, że kostyum ten byłaby miała na tym balu hrabianka Dorota, gdyby była pozostała w Peszcie; tym sposobem rzecz ta mogła być komukolwiekbaż wiadomą.

To wszakże co mu dalej poczęła mówić maska, musiało go już zająć daleko więcej.

— Czy nie pojedziesz do Egiptu, odczytywać hieroglify?

— Najtrudniejszym hieroglifem dla mnie jest: dlaczego miałbym jechać do Egiptu?

— Tak?... W takim razie twój przyjaciel Balvandy jest daleko lepszym archeologiem, bo odgadł, dlaczego mu tam pojechać wypada.

— Życzę mu szczęśliwej drogi i przyjemnego towarzystwa w podróży.

— Jedna z jego towarzyszek podróży nosi imię Doroty.

Cios był dobrze wymierzony...

Koloman zbladł na chwilę. Natychmiast wszakże rozgrzał go napowrót ów maleńki karmelkowy papierek, który miał na piersiach, a na którym wypisane były trzy tajemnicze wyrazy. To co napisała Dorota jest prawdą.

Piękna maska ścisnęła go za ramię.

— Tylkoż nie smutniej mi tak znowu! Patrzaj no co to tu idzie?

Koloman podniósł głowę by zobaczyć kto to nadchodzi.

Pośród wielu kapryśnych masek przyszedł komuś szczególniejszy żart do głowy, przebrania się za niedźwiedzia. Musiało mu być porządnie ciepło ale za to mnóstwo miał podziwiających.

— Popatrz no, toż to twój niedźwiedź! — mówiła Gruzinka figlarnie. — Czy nie zechciałbyś raz jeszcze do niego strzelić?

Koloman popatrzył w oczy drwiącej kobiecie. O, teraz przypomniał sobie ciemne te oczy...

— Znam cię, piękna maseczko! — szepnął jej w ucho.

— No, że też mnie wreszcie poznałeś! — odparła ze śmiechem; — sądziłam, że nie przy-

pominasz sobie nawet mego nazwisko. Teraz więc dopiero pan mnie poznałeś?

— Niemal się domyślałem, że to pani, skoro mnie wysyłałaś do Egiptu.

— „Do ziemi Egiptu, do domu niewoli.“ Jak pan widzisz zawsze jeszcze używam cytaty z Pisma Świętego. Czegóż więc szukają ludzie w Egipcie? Jesteś pan uczonym, etnologiem, ekonomistą. Możesz mi na to odpowiedzieć. Czegóż więc szukają ludzie w Egipcie?

— Zapaleni myślicywi hipopotamów, archeolodzy mumii, malarze widoków pustyni, przyrodnicy źródeł Nilu, chorzy na piersi łagodnego powietrza.

— A chorzy na serce? — spytała piękna pani.

— Czego ci tam szukać mogą, tego ja nie wiem.

— Uleczenia.

Koloman rozśmiał się wymuszenie.

— W takim razie ja tam nie mam czego szukać, bom na serce nie chory.

— Być może jednak, iż pan nim będziesz, skoro ktoś inny wyleczy się ze swej choroby serca...

— W samej rzeczy, piękna masko, mówię ci, iż na obelisku Kleopatry niema tyle hieroglifów, ile mi pani dziś zadajesz do odgadnienia.

— To nie odgaduj pan co za trudne. Z czasem i tak się już dowiesz. Widzisz pan ja le-

piej umiem odczytywać te hieroglify, które wypisane są na pańskiej twarzy. Pan masz zmartwienie.

— Do tego może być więcej jak jeden powód.

— Może znam wszystkie te powody.

Piękna maska usiadła w cieniu jaśminowego krzewu i zaprosiła Kolomana aby również obok niej zajął miejsce.

Kolomanowi błysnęła nagle myśl pewna.

— Czy przyjmujesz pani jutro wizyty?

— Pytanie naprzód jakie to odwiedziny? kto zamierza odwiedzić?

— Człowiek dzielny, wykształcony, dobry mój przyjaciel.

— Ah, ja myślałam, że pan sam... żeś pan mnie sobie może zachował za rodzaj rezerwowej kwatery dla swego serca.

Ten nie niewieści dowcip przejął Kolomana niechęcią.

— Ah, nie mów pani tak! Widzisz pani po tym dowcipie poznałbym pod wszelką maską zaraz w pani półmężczyznę...

— Ah! oczywiście, panu podobają się tylko kobiety, które tają swe myśli, co mówią „przyjdź!” a których potem przyszedłszy nie zastaje się w domu; które mówią: „na wieki!” a w duszy sobie dodają: „głupi, co temu wierzy;” które nie drwią z pana w twarz, ale za to tem wie-

rutniej za oczy. Widzisz pan ja zaraz panu mówię, że byłoby rzeczą bezowocną, raz jeszcze zadawać sobie serdeczną mękę dla mnie, bo ja miasto lekarstwa wlałabym panu w rany truciznę. Ja czyham tylko na to, jak panu zrobić przykrość.

— Na to zasługuję — wymówił Koloman — lecz nie o mnie tu teraz mowa, ani też o sprawach serca. W sprawie daleko większej wagi udaję się teraz do pani; a i w tem niebezpośrednio, ale przez przyjaciela.

— Któż to ten przyjaciel?

— Banyavary.

— Dyrektor trupy aktorskiej?

— Ten sam.

— A cóż on może mieć ze mną do czynienia? Ja nie chodzę nawet do jego budy... Pan wie, do rotundy iść nie sposób, bo tam mogą człowiekowi wplątać się we włosy nietoperze.

— Tak, ale miasto zamierza zwalić rotundę.

— W takim razie ci panowie pozostaną pod gołem niebem?

— Dlatego też właśnie pragnę przysłać mego przyjaciela. Powiedziałaś pani raz do mnie: „Gdybyś był zechciał, ażebym kazała powybijać wszystkie ściany mego domu, by zrobić z niego teatr, byłabym to uczyniła“. Wówczas wyrzucałaś mi pani, że nie idę razem z przyjaciółmi jedną drogą, po której kroczą o kiju zebraczym. Teraz przyszły mi na myśl te słowa

pani, teraz kiedym wysiadł z karety wielkich panów i nie wejść już na stopnie, prowadzące do świetnych urzędów. Dla mnie samego niema żadnych pragnień, uroszczeń; przebiję się już jakoś przez świat jak wielu innych. Ale dla przyjaciół moich, którzy dotąd szli ze mną, radbym uczynić wszystko...

— Proszę, pożycz pan sobie odemnie połowę tego welonu: rumienisz się pan straszliwie. Ciężko się panu zniżyć do wyrazu: „proszę!“

Nie wymawiajże go pan do mnie: zbytby cię to bolało. Przyszlij pan do mnie swojego przyjaciela; on mi powie resztę. Zrozumiem już czego będzie potrzeba. Mam na ulicy Wiejskiej kamienicę; w domu tym jest obszerna sala, którą często wynajmuję na bale mieszczkańskie lub na widowiska teatralne wędrownych aktorów. Z sali tej możnaby urządzić teatr. Czy odgadłam myśl pańską?

Koloman nie mógł się powstrzymać od ściśnięcia jej dłoni, wymawiając:

— Tak!

A przecież jakiś niewytłumaczony dreszcz zimny przebiegł po jego żyłach, kiedy dłużej popatrzył w te oczy ciemne, które skrytobójczo przez otwory złotego welonu stały ku niemu swoje promienie.

— Dożyłam więc tego jeszcze, że pan musisz

sobie powiedzieć: „Dobrze to jednak, że mnie przypadek zbliżył do tej kobiety.“

Potem skinęła na Kolomana aby pozostał i zniknęła w tłumie masek.

Koloman nie pozostał tam dłużej, ale powrócił do domu. Nazajutrz z rana odwiedził Banyavary'ego i zawiadomił go gdzie ma się udać i w jakiej sprawie. Tego dnia Cilly zatrzymała na obiad u siebie Kolomana.

Banyavary wystroił się jak mógł najpiękniej, aby wobec kobiety okazać się nieprzepartym. Cilly sama zawiązała mu kokardę u krawata. Biedne dziecko ani pojmowało co to zazdrość? Prosta była jak gołębica.

Banyavary długo bawił u pięknej pani. Dla Cilly cały obiad niemal się popsuł. Ale to było też jedyne jej zmartwienie.

Nakoniec zjawił się pan małżonek. Sam niewiedział jak opiewać swój tryumf. Zupełne odniósł zwycięstwo... Wielka pani całkiem jest podbitą. Salę i przyległy do niej pokój w swoim domu odstąpiła aktorom na cały sezon za wynagrodzeniem dukata na cały czas; przyrzekła nawet swoim kosztem wybudować łożę. Niech sobie teraz mieszcuchy zabierają swą nędzną krecią norę, dziś już nikomu na niej nic nie zależy. Banyavary całe powodzenie u pięknej gospodyni przypisywał wyłącznie swojej powierzchnowości, której oprzeć się nie podobna;

Kolomanowi w tej grze nie pozostawił ani cząsteczki. Koloman zaś był o tyle dobrodusznym, że mu o takie uznanie bynajmniej nie chodziło.

Po obiedzie pożegnał się z Banyavarym, z którym teraz kiedy się los mu uśmiechnął znowu, niepodobieństwem było się dogadać. Potem ścisnął rękę Cecylki i poszedł do domu.

Tam znalazł to, co uważał za nieodzowne, czego się ciągle spodziewał: list pisany ręką babki.

Co z nim zrobił? Nie otworzył go wcale.

Nadszedł czas, w którym te liście, co tak bardzo kochały drzewo, opadły z niego po kolei. Czemuż ten jeden listek miał się różnić od innych? Człowiekowi upadłemu wypowiadają po kolei miłość: przyjaciel, narzeczona, rodzice. Ale czemużby wreszole mieli czynić inaczej, skoro mówili mu przecież z góry, żeby tam nie szedł, bo upadnie a gdy upadnie, ani go nie myślą podnosić.

Nie otworzył listu babki...

Zamiast tego napisał do niej:

„Droga babko!

„Zwracam ci list twój nierozpieczętowany bo nie chcę się dowiedzieć, jak daleko zaszła twoja surowość dla mnie... Uznaję, że masz słuszość być surową. Ale nie chcę wiedzieć, jakimi słowy odpędzałaś mnie od siebie. Dzięki ci składam, za dotychczasową dobroć dla mnie

i będę ci za nią wdzięczny wlecznie. Na przyszłość przecie starać się będę pracą i wysiłkiem wyrobić dla siebie miejsce w świecie, a dla nazwiska mego zdobyć przynależne poważanie. Cokolwiek bądź czujesz dla mnie, będę cię kochał i błogosławił do zgonu!”

Do listu tego załączył pismo babki i zamknął w jednej kopercie.

Potem zajrzał do szuflady biurka, ile też jeszcze ma pieniędzy? Było tam około dwóch tysięcy guldenów... Wziął je z sobą w zamiarze oddania razem z listem panu Korczy. Od chwili, w której wyrzekła go się babka, pieniądz ten nie należał już do niego; uczoiwy człowiek zwracał go temu, który ma prawo nim rozporządzać.

Drobne długi pokryje mu sprzedaż koni i mebli: te były jego własnością.

A potem nauczy się żyć skromniutko...

Pan Korcza przyjął Kolomana wedle zwyczaju bardzo serdecznie.

— Ho, ho! toż tu przychodzi mój przyjaciel poeta! — zawołał rzucając się na szyję Kolomanowi. — No, cóż tam nowego na Olimpie?

— Na Olimpie? Grzmi — odpowiedział Koloman z młodzieńczym humorem. — Tak, nawet piorun już uderzył. Podąłem się do dymisji z urzędu.

— Ah! — zawołał mecenas naraz przybierając twarz wylekłą — a z jakiegoż to powodu?

— Z powodu mojej sztuki. Wzbudziła wielkie niezadowolenie w wysokich sferach.

— Ba! głupstwo! Przecież to bardzo ładna sztuka. Wszystko w niej tak prawdziwe, historyczne... Wypowiadasz w niej wszystko tak jasno, plastycznie, że kiedy zobaczyłem, że zabierają się do mordy, sam mimowoli sięgnąłem po scyzoryk do kieszeni, aby iść razem z nimi...

— Może to właśnie w niej się nie podobało.

— Ale bądź co bądź szkoda było kwitować z urzędu. Jeżeli w tej sztuce wystawiłeś złą rodzinę królewską, to za tydzień byłbyś napisał inną sztukę, w której byłaby wystawioną dobra królewska rodzina, i wszystkoby się dało załagodzić. *Cuncta licent poetis!*

Koloman rozśmiał się serdecznie z tego pojęcia pana Korczy.

— No, a cóż teraz myślisz?

— Nie wpadam bynajmniej w rozpacz. Zrobię jak robią inni ludzie młodzi. Mam dyplom w kieszeni; żyć z niego przecież mogę. Wstąpię do biura któregośkolwiek ze sławnych adwokatów w charakterze adjunkta, i pocznę jak wielu innych ubogich chłopców, pracować w dzień i w noocy.

Koloman mógł się spodziewać, że p. Korczy

wyciągnie ku niemu ręce i powie: „To wstąpże do mego biura.“

Ale p. Korcza wcale tego nie uczynił. Przeciwnie przybrał wielce kwaśną minę.

— Byłoby grzechem zrobić coś podobnego! Zagrzebywać tak wspaniały talent poetycki wśród nudnych aktów! A przytem to nie dla ciebie stanowisko. Tobie być adwokatem, mój kochany?! Gdybyż jeszcze siła nasza polegała tylko na tem, by pisać nudne repliki, mozolić się nad materyalnymi interesami innych, *ex officio* bronić spraw, które uważamy za niesprawiedliwe, użerać się z kolegami, nieszczęśliwych wyzuwać ze wszystkiego aż do żebraczego kija, to jeszcze szłoby tam jako tako. Ale prócz tego mamy jeszcze niewyczerpane badania kodeksów i dekretów, a nad nimi łaskę sędziego, która jest ostatnim paragrafem w „Corpus juris:“ „*Plus valet favor in iudice quam lex in codice*“ (Więcej znaczy łaska sędziego niż całe prawo). Ileż potrzeba przebiegłości, ile poniżenia samego siebie, ile pochlebstw, ile łaszenia się wstrętnym ludziom, ile zagłuszania własnego sumienia, a często ilu śmiałych propozycyj, ażeby człowiek zyskał nazwę głośnego adwokata! Bo nie ten jest głośnym adwokatem, który umie poczciwie bronić, dobrą replikę napisać, ale ten, który proces wygrywa. Ty, mój kochany, nie z tego drzewa jesteś urobiony, i w ten sposób

żyłbyś nie mógł... Pozostań poetą. Zdobędziesz sobie świetne imię i zostaniesz nieśmiertelnym.

Koloman pojął, że pan Korcza w delikatny sposób chce się go pozbyć, i musiał sobie przyznać, że pogląd jego zupełnie był słuszny.

— A przytem nie jesteś przecie skazany na to, by ścieraniem sobie paznokci zarabiać na kawałek chleba — dodał pan Korcza.

— Czy na to jestem skazany! — wybuchnął Koloman. — Pan wiesz, że babka moja pod karą wydziedziczenia zakazała mi obierać dla siebie drogę poezyi, do której ona czuje uprzedzenie. Może uprzedzenie to dałoby się pokonać jeszcze. Ale drugi zakaz ma źródło w gniewie kobiecym. Aktor wykradł jej z domu ulubienicę jej, wychowankę... Ona uważa to za najcięższą względem niej samej obelgę. Od tej pory usunęła się ze świata. Nie odwiedza dawnych znajomych, nie przyjmuje nikogo u siebie. Znienawidziła w zbiegłych świat cały i rozkoszą dla niej jest słyszeć, w jakiej czasami żyć muszą nędzy. Pod groźbą klątwy zakazała mi zetknąć się kiedykolwiek z wypędzonymi przez nią... A ja — jakże zuchwale złamałem oba jej zakazy! Pierwszy mój utwór oddałem do wystawienia tej właśnie wyklętej przez nią trupie. W piśmie, które trzyma, przeczytała piorunującą krytykę, i natychmiast napisała list do mnie...

— No, i cóż? Cóż w tym liście? — nacierał pan Korcza.

— Nie wiem, nie otwierałem go...

— Nie otwierałeś?

— Wiem, że w nim zawarto zupełne nasze rozstanie. A nie chciałem teraz widzieć twarzy mej babki. Wiem, że jej słowa zawierają gniew i truciznę; nie chciałbym ich sobie przypominać potem wiecznie. Główną rzecz wiem, że mnie wyrzeka się i wydziedzicza.

— Tak, ale całego majątku nie może ci odebrać. Jeśli cię wydziedziczy, to z tego tylko, czego dorobiła się sama. Wiesz bardzo dobrze jako adwokat, że nikt nie może ci odebrać dziedzicznego mienia; majątku ojcowskiego domagać się możesz od babki.

— Ale przecież nie wytoczę rodzonej babce procesu!

— Mój kochany, połowa procesów naszych toczy się między rodzeństwem, krewnymi, rodzicami a dziećmi.

— Inni mogą to czynić, ja przecież nie przeziósłbym na sobie tej myśli, aby okrutną skargą sądową zasmucić tę twarz poczciwą, serdeczną, tak mi drogą, która się uśmiechała do mnie z miłością w mojem dzieciństwie, żebym miał jej na starość zatruć bezsennością, nocę i egzekwował je z ponad głowy dach ojców, pod którym się zestarzała.

— Inni tak robią, mój kochany.

— Ja się tego nie chcę uczyć od innych.

— Cóż zatem zrobisz?

— Powiem to panu otwarcie. Odsyłam babce jej list nieczytany, do tego dołączam pismo od siebie, oraz sumę która mi jeszcze pozostawała w chwili odebrania listu, bo już nie uważam tych pieniędzy za moją własność. Chciałem tylko prosić pana, szanowny mecenasie, ażebyś łaskawie jako mój dawny protektor i adwokat mojej babki tę ostatnią między nami sprawę raczył załatwić tak, aby jej to nie uraziło.

— Pokażno mi coś do niej napisał.

Koloman podał panu Korczy swój list...

Korczy tarł gwałtownie palcem koniec nosa, jak gdyby coś mu było nie do smaku.

— Tak, ależ ty się nie bronisz wcale? Nie próbujesz nawet się usprawiedliwić?

— Bo wiem, że zawinił, że słusność nie po mojej stronie.

— O, mój kochany! gdyby ci wszyscy, co wiedzą, że słusność nie po ich stronie, mieliby się poddawać już naprzód, to biedni adwokaci musieliby poumierać z głodu. Jakże chcesz zostać adwokatem skoro nawet własnej sprawy bronić nie umiesz?

— Sprawę cudzą mógłbym bronić, w interesie kogoś innego umiałbym prosić, ale we

własnej sprawie umiem tylko być sędzią, ale nie adwokatem.

— Sędzią? — zawołał pan Korcza z tryumfującym spojrzeniem. — Na czym opiera sąd swój sędzia? Na złożonych mu aktach. Alboż kiedykolwiek jaki sędzia wyrokował na podstawie zapieczętowanego listu? Ty zaś potępiasz z gruntu własną sprawę na zasadzie listu nieodpieczętowanego. Gdybym był twoim adwokatem, czyż nie zawołałbym: „Apeluję od ślepego sędziego do widzącego sędziego i proszę o usunięcie z urzędu sędziego pierwszej instancji?”

— Wiem na pewno, co jest w tym liście nie czytając go nawet.

— Ponieważ jednak nie jesteś Cagliostrem i ponieważ ja nie uwierzyłbym samemu nawet Cagliostrowi, by mógł odgadnąć treść zapieczętowanego listu, proszę cię przeto bardzo, abys go pierwiej przeczytał nim nań odpowiesz.

— Panie jedna rzecz jest świętą i wieczną w mojem sercu: cześć moja dla rodziców. Nie chcę zatruwać tego źródła. Mogę się gniewać na przyjaciół, mogę znienawidzić kobietę, którą kochałem, ale nie chcę nienawidzić mej babki.

— Dobrze, to nie czytaj tego listu, ale pozwól mnie go otworzyć i przeczytać. Jeżeli w nim jest to, czego się domyślasz, nie powiem nic, zapieczętuję własną moją pieczęcią i na-

piszę na wierzchu, żem to ja go otworzył. Jeśli jednak jest tam coś innego, w takim razie pozwolisz, że ci go przeczytam.

Koloman wahał się dość długo, ale pan Korcza nie czekał jego odpowiedzi, lecz zaraz rozpieczętował list pani Jenöi. Koloman odwrócił się do okna i spoglądał bezmyślnie na ulicę.

W kilka minut doszedł go głos pana Korczy.
— Posłuchaj-no.

Koloman obrócił się nagle, i ze zdumieniem spostrzegł, że oczy adwokata zasły łzami.

— Posłuchaj co pisze babka:

„Drogi, ukochane dziecko!

W dzienniku, który mnie tu nadsyłają, odczytałam wymyślenia na twoją sztukę. Wiem od kogo to wyszło. Od tego, który przez całe życie był twoim wrogiem; ten nędzny zawistnik! który nawet przedemną ciebie denuncyował. Wiem to na pewno, że tak nie jest, jak pisze. Twoja sztuka musi być pięknem, rozumnem, doskonałem dziełem. Ja to czuję, ja to wiem na pewno. Każ ją wydrukować i przyslij mi: chciałabym przeczytać... Ale że aktorowie nędznie ją odegrali i dołożyli starań, aby upadła, wierzę temu nikczemnemu krytykowi. To może być prawdą. Wiem, że teraz zawzięty jesteś na świat cały, i masz do tego słuszne prawo. Ale nie upadaj na duchu. Pokaż im właśnie, że nie jesteś takim maluczkim człowiekiem, iż przy-

kryć cię można garścią błota. Młody jesteś, masz sporo talentu i wiedzy; brak ci tylko doświadczenia. Zdobądźże sobie i to jeszcze. Podróżuj. Teraz zima. Jedź do Włoch... Nabądź znajomości świata. Przewędruj świat cały, a potem powracaj do domu. Upoważnię pana Korcę, ażeby cię stale w ciągu podróży zaopatrywał w potrzebne pieniądze. Nie bądź kutwą bez potrzeby. A w wolnych chwilach, pisuj do mnie z dalekich krajów. Zapomnij wszystkiego, co cię tu wśród swoich bolało, ale pamiętaj zawsze o kochającej cię babce“.

Przy ostatnich słowach Koloman z łkaniem rzucił się panu Korcy na szyję. Stary adwokat zaś śmiał się niepohamowanie, a przytem lzy ciekły mu po policzkach.

— No, widzisz, to brzmi cokolwiek inaczej niż wydziedziczenie? Cóż, *domine collega*, czy i w przyszłości zechcesz kiedy opowiadać jeszcze na list nieczytany?

Koloman od razu podniósł do góry głowę. Oswobodzony był od zakazu babki; co mu dotąd było ciężką u nogi kulą; wolno mu już było swobodnie poświęcać się poezji. Odgadnięto nawet tajemne jego życzenie: podróży za granicę. I to właśnie do Włoch, do tych Włoch, gdzie bawiła jego ukochana, gdzie go uprzedził ideał jego duszy. Tam ją dogoni, jak sobie

tego życzyła, jak tego po nim się spodziewa, zobaczy ją znowu!

W tej wielkiej radości, która go nagle przejęła, nie dostrzegł utajonej myśli listu, że go w dalekie kraje, na czas długi odsuwają od znieawidzonych przez babkę ludzi, od tych ludzi, dla których staruszka przez całe już lata unika zetknięcia ze światem — ażeby nie spotykać się z Cecylką i jej uwodzicielem.

Miłość babki do wnuka przetrwa zwrot fatalny w jego życiu, ale i nienawiść kobiety dla zbiegłej dziewczyny, pozostała nietykalną na równi z miłością.

Pani Jenöi raz jeszcze podjęła się uratować swego wnuka na to, aby bez niego ci niewdzięcznicy, którzy w dom jej wnieśli hańbę, zmarli, przypadli.

SZEW C APELLESA I SZEW C RZECZYWISTY.

Koloman była to prawdziwa dusza poetyczna, zapominająca łatwo i po przygnębieniu z równą łatwością znów się podnosząca. Dzisiaj gotowa jest na wieki zstąpić do grobu, jutro znowu goni motyle. Fizyologowie objaśniają z łatwością ten objaw. U poety panuje wyobraźnia nad pamięcią, nadzieja zaś należy do dziedziny wyobraźni, cierpienie do pamięci.

List babki niby czarem zmienił nagle ciemną noc dotychczasowej jego przyszłości w krajobraz pełny blasków słońca. Duch jego był oswobodzony, mógł już wyznać jawnie, czem jest... Cała ludzkość przybrała dla niego postać całkiem odmienną. Każdy kto go spotkał rozpoczynał z nim rozmowę od tego, że potępiał samowolę władz, zabraniających grania jego sztuki; zapewniano go powszechnie, że sprawa ta będzie poruszona w kongregacyi komitatowej

w Peszcie i narobi wielkiej wrzawy; pierwszorzędni mówcy zażądataj od rządu wyjaśnienia z tego powodu. Koloman zrobił spostrzeżenie, że w zamian za utracone względy wielkich panów pozyskał łaskę publiczności.

Zakaz otoczył pewnym nimbem jego utwór.

Drugą kwestyą, o której każdy z nim mówił, było ogólne oburzenie, wywołane sądem dziennika „Mulatsagos.“ I to wychodzi zazwyczaj na dobre pisarzowi, skoro go krytyk napada z niesprawiedliwą surowością... Sam pan Kovaszoś nawet pośpieszył dać mu zadośćuczynienie, wystosowawszy do niego list, w którym tłumaczył się, że bez jego wiedzy współpracownik brudną ową recenzyę wkręcił do jego pisma; on zaś sam był ogromnie znużony bezsennością i nie mógł jej odczytać pierwej, aż wtedy dopiero, kiedy ukazała się w numerze. Jednakże wydał natychmiast rozporządzenie, ażeby te egzemplarze pisma wycofano i zamierzał wydrukować inny numer. Jednocześnie dołącza szczotkowe odbicie recenzyi, w której utwór Kolomana zawzięcie jest chwalonym... Ofiara ta kosztuje go tylko 50 guldenów. Aszalyi'ego zaś natychmiast wypędził.

Koloman posłał mu owe 50 guldenów, o które się przymawiał, prosząc wszakże, ażeby nie zaczął drukować nowego numeru. Co napisane

niechaj już pozostanie. Nowy też numer nie ukazał się w samej rzeczy.

Od Aszalyi'ego nawet Koloman otrzymał list błagający o przebaczenie. Sam nie wie do prawdy co pisał wówczas. Oczywiście był pijany; okrom tego cenzor z krytyki powykreślał wszystkie zdania pochwalne. Teraz dzięki tej historyi utracił jaki taki kawałek chleba. Jeśli dziś jeszcze nie będzie miał 20 guldenów aby zaspokoić gospodarza, u którego się stołuje, nie będzie miał jutro wziąć co w usta. Upoważniał w końcu Kolomana do ogłoszenia tego listu we wszystkich pismach. Koloman posłał mu upragnione 20 guldenów, listem zaś zapalił sobie fajkę.

Trzecim tematem wreszcie, od którego każdy, kto się z nim zetknął uważał za obowiązek rozpoczynać rozmowę, było wypowiedzenie zdania o samym utworze.

U nas każdy jest teatralnym krytykiem, który autorowi sztuki gotów jest zawsze udzielić rady jakby należało ją napisać i co potrzeba, by ją wydoskonalić. Każdy umie w niej poprawić ten rys lub inny. Jeden ma coś przeciw układowi scen; drugi odkrywa w fabule jakiś anachronizm; trzeci jest w posiadaniu ważnych dat, stawiających w całkiem odmiennem świetle postać historycznego bohatera; czwarty widzi brak w sztuce koniecznej jednolitości; piąty

znajduje sporo w języku do poprawienia; szósty radby skrócić całość, bez względu na to, w którym miejscu; siódmy uważa, że kontury postaci zbyt są ostre; ósmemu wydają się one raczej cokolwiek za niewyraźne; dziewiąty uważa że rozwój psychologiczny nie dość jest uwydatniony; dziesiąty umiałby efektowniejsze zakończenia dawać aktom; jedenasty uważa ostatni akt za zbyt czyny zupełnie; dwunasty radby jakąś rozrzucającą scenę mieć na zakończenie w rodzaju epilogu. Ten odkrywa w sztuce reminiscencye z Shakespeara i Arystofanesa, tamtema tendencya dzieła jest za ultramontańską, ów całość uważa za rzecz wspaniałą, klasyczną, gdyby nie koloryt zbyt dynastyczny! — a w końcu każdy aktor, który występował w sztuce miałby coś do poprawienia w swojej roli, ażeby lepiej jakoś przystawała do niego.

„Szewc Apellesa! myśli sobie autor.

Wreszcie chcą się pożegnać z Banyavary'ami, których los, jak sądził, oddał w tak dobre ręce, od chwili gdy Banyavary przejęty radością powrócił z owej wizyty od pani Csollan, i aby mu zarazem powiedzieć, że wyjeżdża do Włoch, odbył nasz autor około południa przechadzkę w stronę ich mieszkania.

— A ja cię szukam jak szpilki! — zawołał ujrzawszy go Banyavary. Polecono mi przypro-

wadzić cię koniecznie na obiad do pewnego naszego osobliwszego mecenasa i protektora.

Koloman skrzywił się okropnie postyszawszy oba te wyrazy „mecenas, protektor!”

— Któż to jest taki? — spytał wydzierając swą rękę z uścisku dłoni Banyavary’ego.

— Tylko się nie ulęknij: to uczciwy szewc z Węgierskiej ulicy, majster Tseresnyes, nasz stały widz w teatrze, który prócz tego jeszcze całemu naszemu towarzystwu dostarcza darmo butów.

— No, to już co innego!

— Poczciwie był tu sam, aby nas zaprosić na obiadek przyjacielski, i polecił mi abym i ciebie przyprowadził z sobą, koniecznie, dzisiejsza uozta bowiem jest głównie na twoją cześć wydana.

— Tam pójdę — zdecydował Koloman.

Dzień był mroźny lecz piękny, jasny; mróz dokoło rotundy porobił przepyszne trotoary tak, że zaproszeni mogli jak najwygodniej pieszo zejść do domu majstra Tseresnyes.

Ale byłoby też to nielada obrazą dla domku majstra Tseresnyes, gdyby tam ktoś zajechał kareta, o zwierciadlanych szybach, bo to była ot sobie prosta chatka, jakie niegdyś przylepiano do baszt Pesztu, niby gniazda jaskółcze.

Łatwo było pośród tych domeczków znaleźć dom majstra Tseresnyes; ponad niskimi

drzwiami sterozała wystająca żelazna sztaba a na niej zawieszona tablica z godłem, nie szlacheckiem herbowem ale rzemieślniczem: złotym lwem dzierżącym w łapie but czerwony, ponad którym widniał napis: „Marcin Tseresnyes, szlachcic,” pod spodem zaś na staroświecki, szczery, prostoduszny sposób: „majster szewcki.” Nie ukrywał tego, że jest szlachcicem ale i nie wstydził się również, że jest szewcem. Tamto jest zasługą jego przodków, to własnym jego nabytkiem — osobistem szlachectwem.

Małeńki domek podzielony jest na trzy części. Jeden na ulicę wychodzący pokój jest jednocześnie warsztatem, po za nim kuchnia a zarazem mieszkanie służącej, następnie pokój paradny z oknami na podwórze, będący także jadalnią, jeśli jakiś gość dystyngowańszy dom nawiedzi. Dalej zaś w głębi jest jeszcze dobudowana z drzewa już komora sypialnia ozeldnika.

Banyavary znał tu już drogę, to też przeprowadził Cilly i Kolomana przez sień wprost we drzwi kuchni, gdzie stara służąca przyjęła ich z wielką serdecznością, otworzyła przed nimi drzwi paradnego pokoju i poprosiła aby usiedli.

W paradnym pokoju było już nakryte do stołu, spoczywały na nim poczołwe, stare, cynowe talerze, nieszlifowane szklanki i noże w oprawie z rogów jelenich.

Stało też tutaj usłane łóżko, na wypadek gdyby jakiś poczystny gość chciał zanocować; była i sofa skórzana, skórą obite krzesła, szafa, kredens i biblioteczka, w której nie było innych książek prócz węgierskich, a wszystkie zbrudzone od częstego używania.

Ściany przystrajały sztychy z historii Wilhelma Tella. Ta predylekoya do obrazów pozwala nam nieco zajrzeć w świat ducha majstra Tseresnyesa.

Podówczas jeszcze Towarzystwo zachęty sztuki krajowej nie zaopatrywało w obrazy o treści czerpanej z dziejów Węgier.

Prócz tych sztychów ponad sofą zawieszony był jeszcze portret Kalwina.

Właśnie otwierają się drzwi i wchodzi sam gospodarz — mecenas sztuki i protektor aktorów.

Człowiek lat pięćdziesięciu może, szczupły, chudy; głowę pokrywa mu włos przerzedzony, twarz zdobi wąs długi; buty z ostrogami i krótki dolman a na tym stroju narodowym przywiązany symboliczny fartuch skórzany. W rękę trzyma jakąś gazetę. Gazeta ma format czwartej zaledwie części naszych dzienników... Jest to węgierski dziennik polityczny, jeden z dwu wychodzących na owe czasy w Peszcie.

Jeśli zechcemy nateżyć nieco naszą pamięć, przypomnimy sobie, żeśmy postań tę raz już gdzieś widzieli, jest to ten sam człowiek, który

na pytanie Berti Csollana o owe hece psów tresowanych odpowiedział mu, że na takie widowiska rozsądny człowiek nie chodzi.

Majster Tseresnyes podchodzi poważnie ku gościom; twarz jego nie zwykła zmieniać się ani uśmiechem ani też wybuchem gniewu kiedykolwiek. Nikt z niej nie odczyta ani radości ani bólu. Są ludzie, którzy go widzieli nawet tańczącego w uroczystych jakichś chwilach życia, ale i wówczas nie opuszczała go zwykła powaga. Cokolwiekbądź mówi, mówi zawsze na seryo, nigdy nie zwykł żartować.

— Witajcie mi państwo wszyscy! — przemówił do swoich gości. — Usiądźcie, proszę i raczcie nie brać mi za złe, że was przyjmuję w skórzanym fartuchu; to strój mojego rzemiosła. Nasi przodkowie walczyli toporami dla tego też malują nam ich opancerzonych; my walczymy narzędziami rzemieślniczemi, dlatego pancerzem naszym fartuch skórzany.

Pogląd ten jego znalazł uznanie.

— Właśnie wyczytuję w gazecie — mówił kładąc na stole w muskularnej co się zowie ręce zmięty papier — że w Anglii jakiś uczony zrobił odkrycie, iż siłą pary można pędzić okręt przeciw prądowi; inny uczony znowu zrobił nawet podobno doświadczenie z wozami, popychanymi parą, które biegły po żelaznych szynach. Dziennikarz dodaje w końcu uwagę

„Temu uwierzy chyba głupiec.“ Ja zaś mówię, że byłoby lepiej gdyby Węgier pojechał tam i przypatrzył się co robi Anglik i nauczył się tego, aniżeli przedrwiwał, bo według starej mitologii i słońce na niebie nawet ciągnęły konie, kiedy dzisiaj już wiemy przecieź, że ziemia obraca się choć żaden koń jej nie ciągnie; dlaczegóż więc nie miałyby istnieć tajemne siły, które byłyby w stanie poruszać z miejsca wozy i okręty?

— W zupełności podzielam pańskie zapatrywanie — odezwał się Koloman ściskając prawicę majstra.

— Tego z góry byłem pewnym — odparł majster Tseresnyes; — przekonałem się o tem już w pańskiej sztuce, gdzie za każdym słowem musiałem sobie powtarzać: gdyby mnie danym był talent poetycki, byłbym to całkiem tak samo napisał. To tak jak pieniądz, nic w tem zmienić się nie da... Żebyś pan wszakże nie sądził, że zamiast smakowitym obiadem chcę cię przyjmować wodnistemi pochwałami, powiem panu jednym słowem tylko tyle: to czyste złoto. I choćby dawano sto razy tę sztukę, ja sto razy gotów jestem iść na nią i codzień odnajdę w niej coś nowego. Jednakże błąd jeden tkwi w niej przecieź...

Aha, teraz wychodzi szewc Apellesa!

— Błąd ten nie leży w sztuce ale w publi-

ozności. Nie rozumieją jej... Jakże też wymagać można, ażeby ten lud, którego zabawę umysłową dotychczas stanowiły małpie widowiska, skoczki na linie, teatry maryonetek, walki byków, psie hece, kawiarniani śpiewacy lub zapasy o zakład, dziś naraz był zdolnym do pojęcia najwyższej piękności. Papryki, czosnku dla tego ludu, a nie ambrozyi, wódki, nie nektaru.

Roześmiano się, a przecież majster Tseresnyes nie powiedział tego, by pobudzić do śmiechu!

Jedyna służąca, która w jednej osobie łączyła urząd kucharki, gospodyni i pomywaczki, wniosła dymiącą wazę i poprosiła zarazem gości aby zasiedli do stołu.

Na pierwszym miejscu posadził gospodarz Cecylkę, po jej prawej stronie Kolomana, po lewej Banyavary'ego, sam zaś siadł na szarym końcu stołu postawszy przedtem chwilę w milczeniu ze złożonymi rękoma i zamkniętymi oczyma — co prawdopodobnie oznaczać miało przedobiedni pacierz.

Wogóle majster Tseresnyes miał stale tak poważną minę, jak gdyby poza nim stał zawsze niewidzialny jakiś kontroler, zapisujący każde wymówione przezeń słowo, po to by mu kiedyś rejestr ich złożyć w przyszłości; dla tego nie zwykł był nigdy mówić coś, czego przedtem dobrze nie obmyślił.

Odczekał, aż zjedzono zupę. Niegrzeczny to gospodarz, który gości swych zmusza do rozmowy podczas jedzenia zupy.

Natomiast sztuka mięsa nietylko dopuszcza ale i wymaga nawet by przy spożywaniu jej toczyła się rozmowa. W szczęśliwej rodzinie, gdzie prezyduje gospodyni jej to jest obowiązkiem; w takim owdowiałem gospodarstwie obowiązek to głowy domu. Należy gościa pouczyć, który kawałek jest najsoczystszy, prosić aby wziął sobie, ogórka, ówikły lub kartofli.

— Tak, tak — począł majster Tseresnyes — pamiętam ja to jeszcze doskonale, jak kartofle po raz pierwszy weszły do Węgier. Było to za panowania dobrotliwego króla Leopolda II-go, który tak nam dobrze życzył a niestety żył tak krótko. Lud strasznie był nieprzychylny tej nowej jarzynie. Przypuszczano, że przez nią pszenica spadnie w cenie. W komitatach rozdawano nasienie za darmo, ale nikt siał go nie chciał... Ażeby weszły w modę, bo moda wiele może, wydano polecenie aby na balach dworskich księżniczki przystrajały swe włosy w kwiat kartofli, a oficyalistom w dobrach skarbowych nakazano kilka staj pola obsadzić ziemniakami. Ale i tak z wielkim trudem zaledwie upowszechniła się nowa jarzyna. Oficyaliści mówili o niej, że i świnie nie chcą jeść cudzoziemskiego ziela, lud zaś miał tak wielkie

obrzydzenie, że nocą trzeba było pola strzedz przez uzbrojonych stróżów aby rozwściekieni na tę nowość chłopci nie powyrywali z ziemi rośliny. Ale czego nie dokazała moda, tego dokonała bieda. Przyszedł rok 1816-ty, rok pamiętnego nieurodzaju; pszenica zgniła, kukurydza nie dojrzała wcale, wówczas dopiero dowiedział się lud czem jest kartofel. Błogosławieństwem bożem! Ocalał on pod ziemią i odplącił się chodowcy szczodrze. Odtąd kartofel stał się ulubionym pokarmem i doczekał się powszechnego uznania.

Koloman uważał za potrzebne podsyć nowemi przedmiotami rozmowę.

— Zapewniś pan, majstrze Tseresnyes jednemu już złemu i dobremu przypatrzył się w ojczyźnie?

— W moich wędrówkach tu i owdzie obu do syta... Jestem szewcem, ojciec mój był nim również. Ale do syntaxy uczęszczałem do gimnazjum, byłem uczniem średnim i widziałem dobrze, że ze mnie nie będzie już żaden *lumen mundi*. I dlatego też powiedziałem memu ojcu, że zamierzam zostać rzemieślnikiem. Ojciec odrzekł: dobrze, będziesz szewcem. Wyjawiał mi też powody tej decyzji. Każde rzemiosło podlega modzie; przez chwilę idzie w górę a potem upada. Na Spiżu byli tkacze, wyrabiający cienkie płótna, przez czas długi opływali w do-

statki, widzieć można dotychczas jak piękne pobudować sobie mogli domy. W tem wynajdują nagle w Anglii maszyny tkackie, angielskie płótno staje się cieńsze i tańsze niż tkaniny wyrabiane na Spiziu i odtąd tkacze zaledwie mogą zarobić sobie na kawałek suchego chleba. Taż sama historia z różnemi zmianami spotykała już i inne rzemiosła. Najwyższa karyera nawet ma swą pochyłość; jest tu taka hrabiowska rodzina, której przodek ubogi człowiek podówczas, na siodle zdobył sobie olbrzymi swój majątek w czasach wojennych; tam znów księżę, który z ubożego studenta Słowaka wyrósł na dworskiego ulubieńca i posiadacza wspaniałych pałaców; ale zaszedł nagły zwrot w świecie, niespodziewane zmiany, nowy panujący zasiadł na tronie i potomkowie hrabiowskiego i książęcego rodu zeszli napowrót na biedaków i gałganów. Wiedza uczonych, waleczność bohaterów, wszystko wychodzi z mody, tylko rzemiosło szewca nie może z niej wyjść nigdy. Dlatego powiedział mi ojciec: zostań szewcem, mój synu, a nie będziesz co prawda nigdy wielkim panem ale nie będziesz też nigdy żebrakiem; nie będziesz błyszczał, to prawda, ale nie zaznasz też nigdy co to rumienić się ze wstydu; nie pozyskasz sławy lecz zawsze mieć będziesz chleb, wino i uczciwe imię, bez względu na to czy na świecie będzie wojna lub

pokój, czy krajowi panować będzie kobieta, czy mężczyzna, czy będzie urodzaj czy głód.

Banyavary chciał majstrowi powiedzieć komplement.

— O, panie Tseresnyes, ale pan i tak słyszysz szeroko, niemałą pozyskałeś sławę. Cały kraj zna pana jako gorliwego protektora ojczy-
stych artystów i pisarzy.

Majster Tserysnyes wziął przecież frazes ten całkiem na seryo. Naprzód potrząsnął głową jakby chciał z tego zdania wysiać wszystko, co w niem było plewą, ażeby pozostało samo ziarno. Wreszcie podniósł oczy od kwiatków swego talerza.

— Bo to tak jest, żem ja się w czasie moich wędrówek po świecie nakręcił po wielu krajach, to jako czeladnik wędrowny, to znów jako szewc pułkowy i wiem ja dobrze jak wiele piękniejszego i lepszego jest gdzieindziej na świecie niż u nas... Byłem w Wiedniu, w Paryżu, w Monachium, w Genui, widziałem całe z pałaców złożone ulice i olśniewające bogactwo we wszystkim. Widziałem stolice cudzoziemców, ocierałem się o ich przemysł, zdumiewałem ich sztuką. A potem powróciłem tutaj do ojczyzny. Ale tego co my tu teraz mamy u siebie nie porównywan nigdy z tem, com znajdował gdzieindziej, tylko z tem com tu wówczas w domu pozostawił. Tu gdzie dziś

mieszkał był wtedy koniec miasta, po za tem ciągnęły się tylko omentarze. I dziś co prawda niema tu pałaców ale przynajmniej stoją małe domki i spichrze. Stąd prowadziła droga do zmurszałego nadbrzeżnego domku, gdzie stary, na promach oparty most, grożący zawaleniem, pośród wielkiego niebezpieczeństwa pozwalał ludziom i bydłu przedostać się na drugi brzeg rzeki. Wprawdzie i dziś jeszcze nie łączy obu miast wspaniała most łańcuchowy jakie widziałem w Wiedniu i Paryżu ale mamy przynajmniej porządny most łyżwowy. Podówczas były w całym mieście trzy zaledwie zajazdy, tak, że dla gości, którzy się zjeżdżali tłumnie na sejm budeński trzeba było budować naprędce baraki z desek aby ich jakkolwiek pomieścić. Kiedy chciałem kupić kurdybanowej skóry musiałem jeszcze mówić po serbsku, innej mowy przekupień skór nie rozumiał; kiedy szedłem do garbarza po podeszwy musiałem z nim rozmawiać językiem budeńskim Szwabów, zaledwie gdzieś odległe przypominający niemiecki. Jeżeli zaś miał co do czynienia w ratuszu, musiałem łamać sobie język łaciną, a kiedym kogo na ulicy zagadnął po węgiersku, to dostawał taki poczęstunek kułakiem pod żebro, że mi już starczył za odpowiedź. Daleko musiałem wędrować, nim znalazłem sklep, w którym mogłem dostać węgierską książkę; była to

nora na wół, podziemna przy Wiejskiej ulicy, do której gdy wszedłeś, kędyś z samej głębi, z pośród różnego rupiecia wyciągano ci jakiś jeden lub drugi tom zatechły, zadrukowany po węgiersku; na okładce podpisanych było z dziesięć nazwisk różnych właścicieli, znać było jak ta książka przechodziła z ręki do ręki. Kto ją przejrzał, śpieszył copędzej pozbyć się dalej; nikt nie zatrzymywał jej na własność. Całe przedmiejskie steki brudu były jedną złodziejską jaskinią a po za miastem włóczyli się konni łotrzykowie, podsuwali się aż pod same rogatki i często-kroć tuż u rogatek już obdzierali podróżnych.

Koloman zapomniał, że mu i jeść wypada, tak uważnie przysłuchiwał się obrazowi przeszłości, który mu szewc kreślił.

— Ten tylko wie jak daleko zaszliśmy, kto jak ja widział skądemy wyszli. Jam widział jak stawiano cegielkę na cegielce, jak krok za krokiem szliśmy naprzód; widziałem jak zaszadzano park miejski i jak wymierzano ulice... I mnie też nie opuszcza nigdy nadzieja, że idziemy woiąż naprzód. Mamy już nasze muzeum, niewiele tam prawda dziś w niem jeszcze, ale przyjdzie czas, że stanie się za szczupłem skoro do niego wszystko zniesiemy. Akademia Umiejętności niezadługo już ma powstać; mamy węgierskie widowiska w stolicy; mamy już drukarnię, nawet własne gazety, jedną, rozumną,

drugą głupią, i obie są potrzebne. Szkoły, uniwersytety zaludniają się z każdym rokiem więcej, poczynają już publicznie sprzedawać węgierskie książki w sklepach. I ludzie też poczynają wzajem się szanować i mieszkańcy jednego miasta nie waśnią się już z sobą dlatego tylko, że do różnych należą cechów lub stowarzyszeń, dlatego, że różnymi mówią językami albo różną wyznają religię; poczynają widzieć, że niema tak maluczkiego człowieka, któryby dla innych nie był na coś przydatnym. Nawet religię już zaczynają tolerować. Wyznawcy tolerowanych wyznań budują domy boże. A przecież widziałem te czasy, w których tego wszystkiego nie było, kiedy było tylko przeciwieństwo wszystkiego co dziś widzimy. A przecież nie opuściła mnie nigdy wiara w lepszą przyszłość! Czytałem w dziele uczonego pana Michała Katona, że istnieje drobne zwierzątko, które na dnie morza bezustannie buduje, aż pokąd jako wynik tej jego pracy nie ukaże się na powierzchni morza wyspa. Wierzę w tę pracę małych polipów... We wszystkim co się tu stało, brałem i ja udział maleńki; drobnostka to ale coś znaczy; cegielka, polano, szeląg. Gdzie powstaje budynek publiczny, tam przy budowie pracuje dzień jeden darmo; skoro ukaże się nowa książka, kupuję ją, wstawiam ją na półkę w szereg i cieszę się nią; gdzie się zbierają

składki kładę i ja mego dziesiątaka; gdzie chodzi o zachęcenie do czegoś ludzi mego stanu tam nie żałuję mego słowa; gdzie obchodzą jakieś narodowe święto, tam stawiam się w moich świątecznych sukniach; gdzie trzeba uczcić wielkiego patriotę tam idę krzyczeć pod jego oknem wiwaty; skoro aktorowie przybędą do miasta, jestem tam i biję oklaski... A czemu jest to wszystko? Drobnostką, pyłkiem; ale z ziarenek pyłu powstaje piramida; a gdyby takich prostych ludzi mojej wiary stu, tysiąc, dziesięć tysięcy — może nawet sto tysięcy! — jedną jedyną ożywionych było myślą, wtedy, panie, z tego jednego szelązka urośnie skarb, z cegły miasto, z oklasku orkan tryumfu; z litery będzie księga, z księgi biblioteka, z ludu stanie się naród!...

Koloman uściśnął gorąco dłoń skromnego szewca, kiedy tymczasem Banyavary z uśmiechem szepnął mu w ucho:

— No, nieprawdaż, co za zabawny egzemplarz z tego naszego szewca?

Rozkrajanie przyniesionej tymczasem wieprzowej pieczeni przerwało tę budującą rozmowę.

Banyavary uważał za właściwe uprzejmemu gospodarzowi za jego gościnność wywdzięczyć się pochlebstwami.

— Już to co prawda to prawda, że pan

Tseresnyes jest wielkim protektorem ojczystej sztuki i umiejętności. To też masz pan wyrobioną pod tym względem sławę w całym kraju... Ilu tylko aktorów było w stolicy, wszyscy roznoszą w najdalsze okolice tę pańską sławę. Tak wspaniałej wieprzowej pieczeni jak u pana nie dostanie w całym Peszcie!

Banyavary mówił to wszystko z teatralnym patosem a pod stołem trącał Kolomana nogą.

Ale majster Tseresnyes nie był człowiekiem potemu, by się cieszyć z pochlebstw. Z prawdziwie wschodnią w rysach powagą odpowiedział:

— Wszystko to jednak nie po to tu panu opowiedziałem, aby się przed nim chlubić z mych zasług, które szczerze mówiąc bardzo są małe, ale po to aby go pouczyć o obowiązkach, które w samej rzeczy są wielkie. Ah, wierzyć to znaczy działać... Jestem już człowiek stary i szewo tylko. A przecież wierzę i działam. Pan jesteś młody i genialny. Pan chciałeś zwątpić?... Ja wiem co mówię. Ja nie jestem człowiekiem próżnych frazesów. Więcej myślę niż mówię, ale skoro uważam, że nadeszła pora powiedzenia czegoś, wypowiadam. Wy, moi panowie, popadacie w zwątpienie bardzo szybko. Pan, panie Jenöi, po wystawieniu twojej sztuki chodziłeś po ulicy jak widmo. Spotykałem pana kilkakrotnie na mieście. Wy,

którzy jesteście sławni wobec świata, nie uwierzylibyście nawet jak często jakaś postać nieznaną, która na ulicy usuwa wam się bojaźliwie pod ścianę i w milczeniu uchyla pokornie kapelusza, sili się odgadnąć w jakich też szlakach przebywa teraz dusza tego człowieka. Strasznie pan upadłeś na duchu... A widzisz pan nie miałeś pan słuszność! I ja byłem przecież na wystawieniu tego utworu; wdychałem każde słowo jak niebieską mannę a skoro kiedy wyjdzie w druku, czytać je będę zamiast Biblii. Ale że go już nie wystawią powtórnie, oto mi wcale nie idzie. Ty, panie, napisałeś tę sztukę dla siebie i dla dziesięciu może jeszcze ludzi, z których pięciu conajmniej dopiero urodzić się ma jeszcze. Tem dziełem nie należało rozpoczynać. I jaskółka uczy swoje małe naprzód fruwać przy ziemi nim się poczną wzbijać w niebo. Nie myślałeś pan o swoich słuchaczach. Nie wierszami do nich przemawiać trzeba ale prozą... Co pomoże dzisiaj temu ludowi, który dopiero ze snu przeciera oczy, okazywać wielkie dziejowe postacie, do których pięt oni nie sięgają swemi głowami?... Powykręca to sobie szyję, skoro zechce na nie patrzeć. Alboż rozumieją ci ludzie dzisiejszych próżniaczych, beczynnych, zajętych błyskotkami czasów, olbrzymie pracodawcy onoty? Kto dziś mówi w tym zgniłym, strupieszalym świecie tym ciężkim, brzemienym

myślą językiem? Pokaż pan pierwszej temu światu własny jego obraz... Wprowadź na scenę te postacie, które dziś istnieją: nieokrzesanego szlachowca, żołnierza samochwałę, kobietę strojnisię, pustego lekkoducha dworaka, żarłoka, żyjącego tylko gwoli swemu brzuchowi, nadętego obywatela, chłopca w niedźwiedziej jego skórze, pijaka bakalarza, głupiego sędziego, bezmyślnego reprezentanta gmin miejskich, przedajnego urzędnika, kramarza oszusta, starą pannę, hipokrytkę pozornie świętą, pyszałka pobrzękującego ostrogami, mocnego tylko w gębie i... wszystko wiedzącego szewca, niech w tem każdy z nas pozna samego siebie: „patrzcie no — toć to ja!...” A potem dopiero postaw nam przed oczy postacie naszych praojców: „A tem byli oni!” Chłuszcz pan, szydź z naszych dzisiejszych błędów i śmieszności w sposób wesół a gryzący: „Oto śmieście się! a potem przywołaj twem zaklęciem wzniosłe cnoty naszych przodków: „Zapłaczoć teraz!...”

Banyavary tak śmiał się z tej żartobliwej, wedle niego propozycji, że aż kawałek wieprzowej pieczeni utkwiał mu w gardle. Ale Jenöi zapadł w głębokie zamyślenie.

— Oryginalny człowiek ten majster Tsereny — wołał Banyavary, kiedy nareszcie zdołał pochwycić oddech. Doprawdy klasycznych

rad może udzielać. Jenöi toś sobie winien zapamiętać.

A Koloman odpowiedział całkiem poważnie.

— I rzeczywiście to sobie zapamiętam. Żałuję tylko, że tych dobrych pomysłów obecnie nie będę mógł urzeczywistnić, wyjeżdżam bowiem na czas dłuższy.

— Ah, pan wyjeżdżasz za granicę?

— O, tak! — pośpieszył Banyavary odpowiedzieć za Kolomana. — Nasz przyjaciel jest tak szczęśliwym, że może wyjechać za granicę.

— Nie, mój panie — odpowiedział szewc poważnie. — Węgier nie jest szczęśliwym kiedy jeździ po obcych krajach. Szczęście innych rani jego duszę... Ja to wiem, bom zwiedził wiele krajów w Europie. I dokądże pan wyjeżdżasz?

Znowu Banyavary podjął się odpowiedzi, klasycznym zdaniem Goethego:

— Tam gdzie cytryna zakwita...

— A więc do Włoch? Może do Wenecyi?

— Dalej jeszcze — wymówił Koloman — do Genui a może i głębiej w kraj...

— Do Genui? — powtórzył szewc przeciągle i długo zaciskał silnie wargi: w końcu jednak otwarł je znowu. — A, tam kwitnie co innego jeszcze nie tylko cytryna...

Koloman zaczerwienił się na te słowa aż po uszy. I on przecież marzy o całkiem innym kwiecie, ale cóż ten szewc może o tem wiedzieć?

Ten też nie do jego kwiatu bynajmniej robił aluzją.

— I czy zamierzasz pan długo tam bawić? — spytał szewo nalewając z miedzianej dziwacznej jakiejś maszynki czarną kawę Kolomanowi.

— Może lat kilka.

— Lat kilka? Hm, hm — wymówił szewo w zamyśleniu. — W takim razie ośmielę się polecić panu, abyś zaznajomił się z synem mego dawnego majstra, u którego pracowałem jako czeladnik w Genui; nazwisko jego i adres zapiszę panu w notatniku.

— Dziękuję panu bardzo — odpowiedział Koloman i podał majstrowi pugilaresik.

— Tak — mówił tenże oddając książeczkę, w której zapisał już nazwisko i adres. — Ale nie zapomnij pan tego zacnego człowieka odwiedzić w Genui, bo od niego dowiedzieć się pan możesz co jeszcze prócz cytryny kwitnie w tem mieście a dobrze jest abyś się pan o tem dowiedział.

Następnie przyniósł majster Tseresnyes fajki do czarnej kawy, oczywiście poprosiwszy pierwiej o pozwolenie Cecylki, która była już przyzwyczajona do wszelkiego braku względności, i pozostawił prym rozmowy Banyavary'emu, niewyczerpanemu odtąd już w anegdotkach... Wreszcie zapadający zmrok wczesnego zimowego wieczoru, przypomniał gościom, że czas

już pomyśleć o powrocie. Z kapeluszem w rękę wyprowadził ich gospodarz aż do drzwi sieni a i tu jeszcze patrzył za nimi długo dopóki ich przed jego wzrokiem nie zasłonił róg ulicy. Uważał sobie te odwiedziny za wielkie szczęście.

— No, nieprawdaż, co za zabawny dziwak ten majster Tseresnyes? mówił w drodze Banyavary do Kolomana. — Prawdziwy „szewc polityczny.“ A jak to czule z jego strony, że jeszcze synowi swego majstra w Genui werbuje odbiorców. Cóż, odzujesz tego tam pewnie!

— Bezwarunkowo. Ale co stary mógł mieć na myśli kiedy mówił, że tam inny jeszcze kwiat kwitnie prócz kwiatu cytryn i że się o tem dowiem od włoskiego szewca?

— Ów inny kwiat to pewnie „*cipripedium*“ (trzewiozek Wenery) — odpowiedział Banyavary śmiejąc się głośno z swego dowcipu.

Koloman nie o tym myślał kwiecie.

Kwiat zaś, do którego majster Tseresnyes zrobił aluzją, był to kwitnący podówczas w Genui związek Karbonarów...

GDZIE ZAKWITA CYTRYNA.

Podróżować! Podróżować po Włoszech! Pędzić za ukochaną! Podróżować z młodem niewyziębłem sercem!

Może być szczęśliwsza jeszcze podróż na ziemi?

Koloman obrał drogę o ile możności najkrótszą. Poczтовую kareta do Tryestu, stąd żaglowym okrętem do Wenecyi, stamtąd znowu pocztą do Genui. Aż do tego miasta nie spoczął na tyle nawet, aby obejrzeć czarowne osobliwości miasta dożów. Na to dośó będzie czasu za powrotem.

O jednym jednak pomyślał; o przepłacaniu służby we wszystkich hotelach każdego miasta, by za ich pomocą dowiadywać się o księżnej Decsery.

Szczęście mu sprzyjało... Dowiedział się, że Decsery'owie przebywali też samą drogę co on,

tylko, że wszędzie zatrzymywali się dłużej. W Tryeście zabawili dzień jeden, w Wenecyi dwa... W Tryeście pozostawili wskazówki, dokąd, do jakiego hotelu mają wysłać listy lub przesyłki, któreby wypadkiem po nich tu jeszcze nadejść miały. W hotelu w Wenecyi pozostawiły panie toż samo polecenie i podały adres swój genueński. Wszędzie można ich było dośledzić.

Koloman wziął to za szczęśliwą wróżbę.

Dniem i nocą następnie dążył też do Genui. Z umysłu wybrał inny hotel, niż ten, w którym, o ile widział stanęły panie. Męska jego duma nie dozwalała mu spotkać się z wielką panią, która swą wnuczkę bez pożegnania nawet z nim uwiozła, tak jak gdyby między nimi nie zaszło, i pozwolić jej domyślać się, że pędził za nimi... Chciał tylko mieć ją na oku, śledzić jej ślady, pozwolić jej tajemniczymi poetycznymi znakami dorozumiewać się, przeczuwać raczej że jest gdzieś blisko niej i tak to urządzić, aby przypadek jakiś sprowadził ich razem, w ozem leżałby pewien efekt dramatyczny.

Portret pięknej panny z obliczem Madonny i karmelkowy papierek z trzema krótkimi słowy pierś mu rozgrzewał.

Kiedy przecież wysłany służący powrócił z hotelu, którego adres Decsery'owie pozostawili w Wenecyi, dowiedział się nasz bohater

od niego, że księżna z bardzo piękną *principessa* wprawdzie tam mieszkała, onegdaj przecież odjechała napowrót nie nie oznajmiając ani dokąd jedzie ani kiedy powróci. Wszystko, czego się można było o nich dowiedzieć, to to, że wraz z swoim orszakiem wsiadły na pokład dwumasztowca Santa Barbara, który to okręt zatrzymuje się w przystaniach Livurna, Civita-Vecchii, Neapolu, Palermo i Cypru i żegluje do Aleksandryi, tak, że pasażerów, którzy nim podróżują równie dobrze szukać można w królestwie Sardynii, w wielkiem księstwie Toskanii, jak w państwie Kościelnem, w królestwie Obojga Sycylii, w dopiero co wyswobodzonej właśnie i odtąd modnej Grecyi albo też w Egipcie.

„W Egipcie!“

Cóż to mówiła mu Gruzinka na balu maskowym?

Kogo ma o co pytać?... O có ma kogo pytać?...

Na każde pytanie jedna wciąż spotykała go odpowiedź: nieskończone morze! Zgadnij co ci powiada wieczysty szum fali? Zgadnij co kryje ciemna zieleń jego głębi? Odgadnij co zachodzące na niebie gwiazdy z niem mówią? Odgadnij, co tam za prąd gorący z jednej półkuli do drugiej przepływa? Odgadnij co tam w nocy błyska tak jasno? Zgadnij co się mieści w sercu kobiety?...

Podczas tego rozmyślenia bolesnego przy-

szedł mu nagle na myśl adres, który mu majster Tseresnyes zapisał był w pugilaresiku.

Obrócił się na oboasie, rzucił morze i odszukał owego genueńskiego szewca.

Zwrot ten stanowił zarazem całkowity zwrot w całym jego życiu...

Wszedł tu młodzieńcem, wyszedł już mężem...

O, to pewna, od genueńskiego szewca dowiedział się co kwitnie na Italskiej ziemi!

Związek którego nic nie trzyma prócz idei, ale ta trzyma go spójniej niż krwią pisane traktaty, niż Alkoran i Ewangelia, niż najświętsze przysięgi, niż związki pokrewieństwa, niż święte monarchów przymierza, niż własny interes, niż współwina, niż fanatyzm...

Współczłonkami jego są młodzieńcy i starce, mężczyźni i kobiety, książęta i rzemieślnicy, duchowni i żołnierze, studenci i profesorowie, podróżujący i więźnie, bogaci i ubodzy, uczeni i nieukształceni, lekarze i chorzy, dzieci tej ziemi, cudzoziemcy i wygnańce. Ręce ich, uszy i oczy są wszędy obecne: w Watykanie, w pałacu dożów, w koszarach, pośród oizby na Piazzы, w zakrystyi kościołów, w katakumbach, w kawiarniach, w klasztorach i hotelach, w kazamatach, na tajnem konklawe kardynałów, w ukrytych jaskiniach Abbruzzów, w szynkowniach lazzaronów, na balach dworskich, na statkach przemytników, w biurach pocztowych, na ziemi, na

wodzie, ponad ziemią jak i pod nią, wszędzie! a uszy te niczego nie przesłyszają, oczy widzą wszystko, te ręce wszędzie są czynne... A co zobaczył jeden, co posłyszał o tem, wiedzą wszyscy, a co czyni jeden, wszyscy czynią!

Że ten silny dziwnego uroku siłą związek porwał i przyciągnął do siebie głęboki, marzycielski a wrażliwy umysł Kolomana, to bardzo naturalne. Czego uczył go ten „młody“ związek, to oddawna już było prawem jego duszy, tylko, że nie tak skodyfikowanem, nie tak ujętem w formy.

W tej materji mógł się od Włochów nauczyć bardzo wiele.

Dziwna to zaprawdę szkoła... Szkoła tajemniczego działania, poświęceń nie do wiary, nieugiętej wytrwałości, stałego dążenia do nigdy nie spuszczanego z oka celu, wzajemnego popierania się, nieprzejednanej namiętności, milczącej wszystkowiedzy, — dziwna szkoła, która od pół wieku odgrywa swą rolę w historii Europy i której dzieło bezustannie się wznosi, bezustannie postępuje naprzód, nigdy się nie potyka, nie ustaje.

To ojczyzna Galileusza.

Koloman zaznajomił się w Genui, nietylko z owym szewcem ale z wielu znamienitemi osobami, o których nie w powieści mówić należy.

I w związku tym dowiedział się wszystkiego

co się dzieje w najdalszych krajach. Bo dla tego związku nie istniała żadna niedocieczona tajemnica.

Dowiedział się, że węgierskie panie, które odpłynęły na pokładzie Santa-Barbara, okrętem tym nie dopłynęły dalej niż do Civita-Vecchii. Tam wysiadły na ląd i skierowały się ku Rzymowi.

W Rzymie postarała się księżna o audyencyę u Jego Świątobliwości widzialnej głowy Kościoła. Dowiedział się nawet celu tej audyencyi...

Księżna błagała o absolucyę tej winy, że wnuczkę swoją zaręczyła z kacerzem, a przeto weszła z nim w duchowne pokrewieństwo. Władza kościelna nie odmówiła jej tego.

Stąd udała się rodzina Decserych do Neapolu; wciąż jeszcze tylko sama.

W Neapolu jednak spotkali się z innym podróżnikiem z Węgier, który inną przybył tu drogą, a który nosił nazwisko barona Balandy'ego...

Pan ten towarzyszył im we wszystkich wycieczkach do krateru Wezuwiusza i wykopalisk Pompei.

Stąd udała się hrabiowska rodzina i baron, na wojennym okręcie angielskim „Bellerophon,” do Egiptu.

Hrabianka z obliczem Madonny zachorowała w drodze na chorobę morską, a węgierski si-

gnore okazywał niezmierną troskliwość o jej zdrowie.

W Egipcie oglądali razem Sfinxy, Memnona i piramidy.

Namiot węgierskiego signore rozbitym był tuż obok namiotu węgierskiej signory.

Oko związku dosięga ich wszędy, a kogo raz otoczy niewidzialna jego sieć pajęcza, tego ślad dla niego nie zaginie...

Koloman dowiedział się od związkowych wszystkiego co musiało z gruntu dokonać przetworzenia się jego duszy...

Był to zwrot wielki, zupełny!

Widział przed sobą przykłady. Młodzieńca, co sobie z serca wrywa miłość, po to, by służyć idei; arystokratę, co stawia na kartę swą głowę, swój majątek, swoją wolność; żołnierza co śmiało stawia czoło wymierzonej weń lufie broni; księdza co kościelną przysięgę złamał przez silniejszą jeszcze przysięgę; kobietę, co się wyrzeka płci swojej, aby przeprowadzić męskie czyny; rzemieślnika, który znosi głód i chodzi w łachmanach, aby grosz oszczędzony módz oddać innemu; zbiega, co się pozwala gnać od jednej granicy kraju do drugiej i znowu powraca; sędziwego ojca, który dzieci swoje poświęca jedno po drugim; dzieci, co wstępują jedno w krwawe drugiego ślady; fanatyka, co morduje z przekonania, potem pozwala poszar-

pać się na kawały, nie zdradziwszy nikogo; poetę, którego każda z osobna pieśń dźwięczy jedną wielką ideą; nakoniec lud cały, który tę pieśń, tę ideę, tę ogień, mieczem, dźwiękiem kajdan i przekleństwem prześladowaną ideę, w setnych opiewa wariantach, potajemnie każe drukować, rozrzuca, cheiwie ją rozchwytuje, rozprzestrzenia, podaje z ręki do ręki i którego nie nie zdoła zastraszyć, nie uspić.

Wtedy w duszy jego owa wilgoć tajona, owa łza, co niewylana gromadzi się w sercu, przeobraziła się w kryształ, z którego urastają dyamenty, w przeświadczenie, że to życie ma wyższe gwiazdy, co lepiej rozgrzewają ci łono niż blada, piękna twarz węgierskiej Madonny.

Koloman widział przed sobą naród, który niegdyś tak był wielki, że świat cały nie miał dla niego dość przestrzeni, gdy zapragnął wyciągnąć swe stopy, a dziś tak mały, że stopy każdego sąsiada ciężą na jego karku, co niegdyś Gallii, Iberyi, Palestynie dawał prokonsulów a któremu dziś Gallia, Germania, Iberya i Palestyna daje królów; naród który, ongi zjednoczył pod swem berłem wszystkie światła części, a który dziś poćwiertowany na dziewięć szmatów jęczy pod uciskiem tego łańcucha, którego ogniwa łączą się z sobą; naród co niósł słoneczne cywilizacji światło od oceanu do oceanu, a który dzisiaj w ognisku dawnem świa-

tła na przeciwstawienie słońca chmurę o czarnych promieniach. A lud ten całą uciskany przemocą, całą przebiegłością do snu kołysany, na części rozdarty, połamany na prowincye, rozdrabniany na kasty, w każdym kawałku wzajem dla siebie urabiany na wroga, z kamorra pod swemi stopy, z bagnetami cudzoziemców, w żebrach ze skutemi rękami i nogami łańcuchem europejskiego świętego przymierza, oszłomiany przesądami, odurzany od rozwoju sił, odarty ze swej wielkości, wykreślony ze świata historyi — lud ten myśli jednak jeszcze o tem, aby na nowo zmartwychpowstać, i tak skrepowany, usypiany, pochowany w grobie jak jest, podnosi nakrywające go wieko trumny i tę całą część ziemi, co niby mogiła go przygniata, tę trumnę i cały chór koron, co nad jego mogiłą śpiewają: „*Requiem aeternam*,“ zamierza otrząsnąć z siebie to wszystko.

O biedna, stara babko, która ukochanego wnuka wysłałaś z Węgier na to, aby go wyrwać z towarzystwa owych niebezpiecznych ludzi, co chcą z posad wzruszyć ziemię — w dobre wysłałaś go miejsce, do Włoch!...

W podróży po uroczej ziemi italskiej towarzyszyła wszędy nieodstępnie Kolomanowi ta idea. Wenecki lew bez języka powiedział mu, że jest prastarym związkowych pomnikiem, który nigdy nie zeznają niezego, sklepienia łuku

na Koloseum, z opartya on *fachino* w lachmanach, zamarle pałace z pod popiołów odkopanej Pompei, gniewny ogień wybuchającego Wezuwiusza — wszystko to, co dla innego jest tylko podnoszącym serce widokiem, dla niego było przemawiającą tajemnicą. Ten lud o szlachetnych rysach twarzy, co dla innych jest tylko malarskim modelem, jemu był nietylko modelem, ale i prototypem. A ten kraj piękny ze swymi gajami drzew pomarańczowych, świeżemi ryżowemi polami, ze swemi drogami, obrzeżonemi dzikim winogradem, swymi ogrodami pełnymi granatów, ze swemi cudnymi jeziorami, swemi willami, ukrytymi pośród cyprysów, swymi tajemniczemi grotami — kraj, który dla innych jest tylko piękną okolicą, dla niego był pełną cichej skargi ojczyzną. I wie on już teraz, że rolnik, który przez swe pola buduje kanał, obsadza drogi winogradem potajemnie myśli o tem, że kanał jego, jego winnica przeciw szarży konnicy wroga stanowić będą obronę; kiedy stawia dom, myśli o tem, aby taras opatrzyć strzelnicami, piwnice tajemnemi wyjściami; a kiedy połowę skromnego swego kawałka chleba odejmuje sobie od ust, myśli o tem, że druga jego połowa będzie dla tych, którzy się tu kiedyś zjawiają i powiedzą: „Teraz świta nareszcie!”

Prawda to, że biedna stara babka w domu nie mogła tego wszystkiego wiedzieć... Wiedziała

jedynie, że jej wnuk w najpiękniejszym kraju świata grzeje się w złotych słońca promieniach. Cieszyła się tylko pięknymi obrazami, które Koluman kiedy niekiedy przysyłał do domu; były to krajobrazy i kopie słynnych arcydzieł. Koluman zajmuje się we Włoszech pożyteczną zabawką, doskonali się jako malarz. Szczęśliwa matka, której syn zwróci się na drogę malarstwa, skoro już Bóg tak przeznaczył, aby jej dziecko poświęciło się jednej ze sztuk wyzwolonych. To poważna, prawdziwa sztuka; jej adepci są łagodnymi domatorami, pilnymi i trzeźwymi ludźmi. Nie burzą się, nie wicherzą; żyją w pokoju z arystokratami i księżmi; szanowani są i rozumiani przez każdego cudzoziemca, i dziełami swemi oddają cześć Stwórcy... Biada jednak, po trzykroć biada tej matce, której syn wpadł w paszczę potwora poezyi! Sztuka poetycka wieździe kędyś poprzez chmury, poprzez obłoki; jej wyznawcy to ludzie dzicy, niespokojni, krążenie krwi ich przyśpiesza odurzenie jakieś, przeznaczeni są oni na życie krótkie a długie cierpienie, wrogi potęgi, domorosłego powszechnego rozsądku i istniejącego porządku świata; cudzoziemiec ich nie rozumie, lud własny widzi w nich wicherzycieli; a co zdziałają nie jest uczczeniem dzieł Stwórcy, ale zuchwałem urąganiem doskonałości tego świata.

Dlatego to pani Jenöi z tak wielką radością

otwierała każdą pakę, którą otrzymywała z Włoch od Kolomana... Co za przepiękne kartony! jakie wspaniałe rysunki tuszem i sepią! jakie żywe akwarele! A dopieroż kiedy olejne obrazy przysłał do domu, starannie jak skarb jaki zamknięte w drewnianych pakach! I pani Jenöi uważała je też za skarb... Kazała je oprawiać w złote ramy, a do paradnego pokoju, w którym je pozawieszała, nie wolno było nawet Beniemu wchodzić inaczej niż za osobnem zezwoleniem. „Widzisz, czy umiałbyś ty coś podobnego wymalować, choćby ci nawet głowę ucięto?” — mówiła do szeroko otwierającego ze zdumienia usta stryja artysty, który natychmiast śpieszył zapewnić, że nie umiałby nawet wtedy, gdyby mu drugą przyprawiono głowę.

Pani Jenöi nie leniła się też w pisaniu listów do wnuka. Listy jej pełne były zawsze szorstkiej czułości, szczerych a nieogładzonych wyrażen, macierzyńskiej miłości i wielce niewyborowych uwag. Na zakończenie lajała regularnie zawsze Kolomana dlaczego nie pisze czy ma dość pieniędzy? Przecież ona w czterech ścianach swego pokoju nie może odgadnąć, jak drogo tam we Włoszech kosztuje życie? A potem posyła mu zawsze, nieproszona, pieniądze...

A kiedy listy babki zawiadamiały go o tem co się dzieje w kraju, z listów genueńskiego

szewca dowiadywał się co się dzieje dalej tam w świecie...

Piękna panna z obliczem Madonny i młody Antinous wciąż są z sobą razem. Z Egiptu towarzyszyły im niewidzialne nici pajęcze do Aten. I tam świadczyły one o ich wspólnym pobycie. Stamtąd ścigały ich do Stambułu. I o wszystkim oznajmiały temu, co siedział na przeciwległym tej nici końcu...

Dowiedział się, że w Egipcie nietylko pierśiowe, ale i sercowe leczą się słabości; że piękny mężczyzna tak idzie wciąż za swą gwiazdą, jak ongi szli trzej królowie; wreszcie że piękna księżniczka ochotnie przyjmuje te hołdy.

Koloman przekonał się, że prócz portretu i uwielbienia — gdzieś bardzo zdala, nie pozostaje mu już nic z pięknej Madonny.

Później opuścili i Konstantynopol, wsiedli razem na okręt na morzu Marmora, i popłynęli...

Raz jeszcze odnalazła ich nić pajęcza podczas kwarantanny w Orsowie.

Tam wszyscy powracający ze Wschodu musieli przepędzać długie dni surowej kwarantanny.

Jak też skracają sobie wzajem te dni nudów?

Tam wstępowali na ziemię węgierską oboje. Tam urywała się nić pajęcza. Tam nie sięgał już związek. To kraj nieruchomej ziemi, kraj hyperboreów.

O tym kraju dowiadywał się czegoś tylko z listów babki.

A gazeta?

W samej rzeczy i gazeta była w tym kraju... Koloman trzymał ją oczywiście, i istotnie zdarzało się, że otrzymywał mniej więcej raz na miesiąc jeden jej numer...

Z niej dowiadywał się wówczas o godnych uwagi zdarzeniach, dotyczących jego ojczyzny, dowiadywał się, że w Afganistanie Anglii nową ponieśli porażkę, że Hudson Lowe nie chce wydać testamentu Napoleona, że Kolokotronis wzbrania się wstąpić do gabinetu greckiego, że na Cyprze chybiły tego roku winogrona znane w handlu pod nazwą rodzyneków sultańskich, że Zumalacarregui przeraził hiszpańskie kortezy nowem pronuncyamentem, że w Japonii Daimio podniósł bunt przeciw władzy Mikada, że książę Wasilczykow wyjeżdża do Teheranu, aby zająć w ambasadzie miejsce Tatiszczewa, że Koptowie i Mamelucy, Palikary i Fanaryoci niemało kłopotu przyczyniają Poroie...

Czasami wyczytywał też Koloman wiadomości z miasta w którym przemieszkiwał w tej chwili właśnie, takie wiadomości, o których na miejscu nikt ani słyszał, ani widział!

No a o Węgrzech czyż nic nie mówiła węgierska gazeta? O, i owszem! Węgrom z mozołem wprowadzie i biedą zachowywano jakiś

mały kącik, gdzie zapisywane znajdowałeś tak ciekawe i ważne zdarzenia jak np.: jego książęca mość Saffi Kuli Han przejeżdżał przez Peszt, co jest wysoce radośną wiadomością; to znów wielmożny pan septemwir Babawary otrzymał nominację na rzeczywistego tajnego radcę, co jest dość niespodziewaną zmianą losu. Były też tam zarejestrowywane zajmujące wydarzenia z prowincyi, jak naprzykład: że w Raczkeresturze przyszło na świat jagnię z pięciu nogami, trzema rogami a jednym tylko okiem; że w Lniovarallyi jakiś wieśniak we śnie połknął pięć żab, które następnie z niemałym trudem lekarzowi z żołądka jego udało się usunąć; że w Preszburgu pewnej starej kobiecie śniło się pięć numerów, poczem postawiła na loteryą i wygrała aż dziesięć tysięcy guldenów. Innego nic nie znalazłeś w węgierskiej gazecie z wiadomości krajowych... W pewnym kącie drukarni było zawsze takich ciekawych wiadomości cały zapas w pogotowiu na zapełnienie luk nieubłaganą ręką sprawianych. Czasami wszakże wypierany z innych pól duch dziennikarza wynagradzał to sobie na całkiem neutralnym gruncie. Wówczas pióro jego stawało się genialnem: Śmieszny jakiś Anglik (zawsze Anglik, inne narody nie mogły być przedmiotem dowcipkowania, z innymi bowiem żyjemy w dyplomatycznej zgodzie) utrzymuje, iż zapali powietrze, a to będzie się wów-

czas paliło jak świeca. Dzięki Bogu, że mamy dość jeszcze łożu i powietrza nie potrzebujemy do oświetlania domów“. Potem następuje ma-lutkie narodowe pochlebstwo: „Pewny arysto-krata angielski, który przejeżdżał tędy tymi dniami, wypowiedział, że gdyby nie był angielskim lordem, życzyłby sobie być węgierskim szlachcicem. Zabawny Anglik!“ (Dlatego zaba-wny, że nie wolał pierwaj być węgierskim szla-chcicem niż angielskim lordem). Były tam i re-feraty z widowisk teatralnych w stolicy, z czego czytelnik mógł sobie np. takie pożyteczne i bu-dujące wyciągnąć uwagi: „Pan Banyavary wy-wiązał się dziś bardzo dobrze ze swego zada-nia;“ albo „gra pani Banyavary pełną była ży-cia“. Wreszcie jeżeli pozostawało w tekście parę cali próżnego miejsca, przychodziła anegdotka o cyganie — o wieczystym cyganie.

Czego wszakże Koloman nie mógł się do-wiedzieć z ojczystych dzienników, tego się do-wiadywał z prostych a prawdopodobnych listów babki.

Dowiadywał się, że i teraz jeszcze w kraju żywot jest okropnie nędzny. Dla nikogo prze-cież tak nędznym nie jest, jak dla tego, któ-remu los wcisnął na głowę cierniowy wieniec poety.

Odkąd Koloman wyjechał za granicę, sta-ruszka przeprowadziła się do Pesztu. Zatrzy-

mała toż samo mieszkanie, które zajmował niegdyś Koloman, aby ukochany wnuk jej kiedy przyjedzie w odwiedzinę do domu, znalazł tam wszystko gotowe na przyjęcie. Ale pozostać tu nie powinien! Za nic! Dlaczego?..

„Bo świat tu zły nawskroś“.

„Obyczaje narodowe są tak wyuzdane, tak rozpustne“.

„Uczeni ludzie tak są głupi ze swoją łacińską rozmową“.

„Tablabiro pałacy cały boży dzień lulkę, jest tak zobojętniały“.

„Gospodarz tak zagrzebany wyłącznie w swej roli“.

„Chłop taki samolubny, tak na wszystko obojętny“.

„Wyższy kler taki dworacki, niższy tak zagwożdżony“.

„Arystokrata jest tak obcy krajowi“.

„Dama wielkiego świata tak goni za życiem“.

„Młodzież taka pusta, taka rozleniwiała, taka hulaszczą“.

„Genialni ludzie tacy błędni, tak niespokojni jacyś, niestali w niczem“.

„Bogaci są ofiarami szatana i skąpstwa“.

„Rdzenny Madziar jest bez granic cyniczny“.

„Ukształcony Węgier tak małpuje inne narody“.

„Liberał jest takim nieznośnym krzykaczem“.

„Stronnik rządu tak się łasi“.

„Żołnierz jest taką machiną“.

„Kupiec takim oszustem“.

„Rzemieślnik takim partaczem“.

„Rząd takiej dopuszcza się przemocy“.

„Cały kraj tak ubogi, tak opuszszony, tak pędzi na oślep do zatury“.

„Nikt nie kocha ojczyzny; kto ją kocha, ten tylko kocha ją pod postacią faszerowanej kapusty, duszonej pieczeni lub strudła. Wówczas co prawda kocha ją nader mocno, zjada i tyje od niej; każdy w brzuchu ma ojczyznę“.

„To a nie co innego czeka każdego w kraju“.

„Ale poetę czeka też jeszcze co innego. Drukarz, który wydaje tylko kalendarze, redaktor, który każe pracować bezpłatnie, publiczność, pośród której jeden egzemplarz książki z rąk do rąk przechodzi i pożyczany obiega cały komitat, cenzor, który kontroluje jego myśli; rywal, który mu zazdrości; krytyk, co go nurza w błocie, kuchenny literat, co uzurpuje jego miejsce w społeczeństwie; uczoney, który nim pogardza; komedyant, który łaskawie sztukę jego grzebie; krewni, którzy zamykają przed nim drzwi swoich domów“...

Takie rzeczy znajdowały się w każdym liście babki, ilustrowane zawsze żywymi przykładami.

A potem czytał o radości, jakiej doznaje babka, widząc jak wielkie robi on w malarstwie postępy, że wznosi się na stanowisko artysty, dla którego świat się nie kończy u granicy Liptawskiego komitatu, że znalazł drogę, która może godnie zaspokoić jego pragnienie sławy. Niech tylko wciąż, bez wytchnienia dąży naprzód...

I w samej rzeczy — to ostatnie było najcięższą dla Kolomana pokusą.

Los wiódł go kolejną przez rozmaite manowce.

Rozpoczął pod przerażającym ciosem: wypędzono go ze szkół... Nie złamał się, nie upadł.

Potem przyszła pokusa czarownie pięknej kobiety, płomień, u którego tyle młodych talentów osmałiło sobie skrzydła i padło. On nie zginął.

Potem los nasłał nań demona ambicyi, który go powiódł na wysokość nabawiającą zawrotu głowy, i stamtąd ukazał mu krainę Kanaanu, kędy płynie miód i mleko łaski potężnych. I tam przecież nie zawróciła mu się głowa...

Los wystawił na próbę jego serce w szczerzej miłości, związał je różanemi wstęgami i złotemi nićmi, aby nie mogło dążyć naprzód ku wielkiemu celowi; ale i miłość nie zdołała go uwięzić, potargały się więzy różane i złote...

Wypuścił przeciw niemu demony, co spustoszyły zasiewy Hioba, a jego samego pokrytego trądem rzuciły na podścielisko mierzwy; wypu-

ścił gryzące szatany upadku, oraz owych dobrych przyjaciół, co to przychodzą do Hioba robić mu wyrzuty, że takim jest nędzarzem, iż leży na barłogu...

A przecież on się nie zaparł bóstwa, które nosił w piersiach!...

Ostatnia wszakże pokusa była silną: bóstwo współzawodnictwa, — inna muza kładąca pocałunek na czoło, muza z potężniejszym wdziękiem.

O, bo ci, co wzięli namaszczenie od geniuszu malarstwa częstokroć szczęśliwsi są od tych, których poi kastalskie źródło poezyi.

Poeta cierpi gdy tworzy, malarz zaś doznaje tylko rozkoszy. Namiętność jest dla poety tyranką, dla malarza miłą przyjaciółką. Wielkość poety sięga do horyzontu jego narodu, wielkość malarza wypełnia szerokie świata granice.

Wszyscy malarze, to ludzie, co się umieją cieszyć życiem i jego urokami; z ludzkich uczuć rozwijają się u nich tylko łagodniejsze, szlachetniejsze: umysł wesóły, towarzyskość, swoboda w obcowaniu z ludźmi, branie wszystkiego z lepszej, jaśniejszej strony — pewny optymizm życia. Wiek, którego dosięgają, jest przysłowiowo długi; wielcy mistrze dochodzą bajecznej starości a i wówczas jeszcze wciąż wznoszą się w górę. Poeta rzadko dochodzi starości, a jeśli

przeszedł poza kres swego czasu, schodzi jakoś, milknie i za życia jest już umarłym.

A Koloman mógł między temi dwoma muzami wybierać. W ciągu tego jednego roku, który spędził we Włoszech, mistrze jego wydali mu świadectwo, że w malarstwie istotnie zdumiewające poczynił postępy. Uznano w nim talent pierwszorzędny. Konkursowy jego obraz otrzymał pierwszą nagrodę Akademii malarzkiej we Florencyi. Kopię tego obrazu przesłał babce.

Odpowiedź matrony brzmiała jak następuje:

„Moje dobre, ukochane dziecko!

„Ze łzami w oczach cieszyłam się twoim wspaniałym a pięknym obrazem, i aż do ciemnej nocy nie mogę się oderwać od przyglądania mu się bezustannie. Nie mam dosyć podzięki dla Pana Zastępów za to, że mi udzielił prawdziwie niebieskiego natchnienia, bym Cię wysłała do Włoch... Widzę, że będzie z Ciebie sławny człowiek, że przyniesiesz zaszczyt nazwisku swemu. Zasługujesz na moje błogosławieństwo. Ci zaś, którzy stali się godnymi mojej klątwy, czują dziś jej ciężar na głowach. Nędzniocy! Codzień słyszę i patrzę na ich zatrąte. Pogarda ludzi ściga ich na każdym kroku. Dziewczyna, która mnie zbezczeszczyła ukaraną

jest w mężczyźnie, który ją popchnął do hańby. Ten cały stek komedyanoki oddany jest zawsze pijaństwu i wietrzny bez granic. Oczy kobiety zawsze są zapłakane. Opuściliby miasto, gdyby im na to pozwolili wierzyściele. Grają przed pustymi ławkami, chociaż otrzymali już pozwolenie dawania widowisk w teatrze fortecznym w Budzie. Każdy lży ich... I słuszne ma do tego prawo. Ci partacze, którzy i Twoje piękne dzieło tak zepsuli, warci są kary. Nie zasługują też na nic innego, tylko na zupełne wytępienie. Doczekam jeszcze tego, że ich bosych, w łachmanach, wyświecą z miasta, które pokalali. Pragnę tylko dożyć tego i móżdż za nimi rzucić garść błota. Niechaj będą przeklęci! Ty zaś bądź błogosławiony, drogie moje dziecko, ty, światło dni mojej starości, wesele moich oczu — idź dalej wciąż naprzód po swej promiennej drodze i podtrzymuj na ostatnim krańcu życia wlokącą się

Twą babkę“.

List ten otworzył Kolomanowi oczy.

Dlatego więc wysłano go w tę podróż, ażeby tamci zostali zgubieni! A więc oni już upadają i świat ich opuścił! A więc wpadli w błoto i świat obrzuca ich błotem! Więc artysta topi swą duszę w winie, a talent artystki utonął we łzach!

Nie, babko, choćbyś niewiedzieć co na mnie powiedziała, ja powracam do kraju. Jeśli ich świat opuścił, ja ich mimo to nie opuszczę. Idź na spoczynek pendzlu; przybywaj, przybywaj tu pióro, biczu budzący ludy do pracy, wracamy do kraju!

OSIEROCENIE SIĘ POCZYNA.

Kiedy Koloman otrzymał powyższy list babki, kwartał u niego zbliżał się do końca. Ten mianowicie kwartał, w którym otrzymywał pieniądze od babki z własnoręcznym jej listem. Bo pisaniem listów do swego ulubieńca trudniła się ona sama, w tem nie wyręczała się starem dzieckiem Benim.

Koloman śpieszył z wykonaniem postanowienia; i jego pieniądze również były na schyłku; wprawdzie miał sporo różnych przedmiotów, które mógł był spieniężyć, przedmiotów zbytku, którymi młodzi lubią przyozdabiać mieszkania, ale te rzeczy skarbem są gdy się je kupuje a rupieciami kiedy się zbywa; mało to przynosi. Z trudem zebrał za to wszystko tyle, by móżdż z biedą opędzić koszta podróży.

Tymczasem nadspodziewanie nadszedł zwykły list kwartalny. Jak zawsze zawierał dwa

tysiące guldenów. Do pieniędzy dołączone piśmo zalecało Kolomanowi aby po drodze, na którą wstąpił, wytrwale szedł dalej; z Florencyi niechaj stara się podążyć do Rzymu. Staruszka prawdopodobnie o sztuce malarskiej miała takie wyobrażenie, że skoro Włochy są powszechnie uznane za jej ojczyznę, więc im kto więcej zapuszcza się w głąb tego kraju tem się w niej też doskonali więcej. Można przeto rozpocząć w Wenecyi, potem jechać do Florencyi, ale kto raz już dotarł do Rzymu ten tem samem wznosił się do najwyższych wyżyn sztuki... Zatem niechaj Koloman jedzie teraz do Rzymu.

„A kiedy już będziesz w Rzymie, skopiuj mi tam słynny obraz: „Chrystus na górze oliwnej“. Jakkolwiek bowiem jestem kalwinką, nadzwyczaj lubię piękne obrazy religijne. A potem śpiesz tam prędzej, abys mógł jeszcze być obecny na wspaniałej uroczystości, kiedy to kopuła Świętego Piotra błyska tysiącami tysiąców białych ogniów oświetlona, które to płomyki z uderzeniem godziny dwunastej zamieniają się w jeden czerwony płomień greckiego ognia; obejrż to sobie dobrze i potem mi opisz. Jakkolwiek bowiem jestem kalwinką lubię przecież bardzo obrzędy religijne. Wiesz z jakim zajęciem i w domu już przyglądałam się zawsze procesyom w dzień Bożego Ciała, kiedy to cechy wychodziły z chorągwiami a senatorowie

podtrzymywali baldachim nad głową księdza. Jakże to dopiero musi się pięknie odbywać w Rzymie, kiedy niosą Papieża na tronie. Wszystko to musisz mi dokładnie opisać..“

Gdyby Kolomanowi nie były znane zamiary babki, byłby mógł uwierzyć, że jakiś powiew tajonej apostazyi owionął na stare lata jej umysł. Ale teraz wiedział już dobrze co to wszystko znaczy. Staruszka starała się trzymać Kolomana o ile można najdalej od kraju. Nie spoczęła póki pieścizotami nie wymogła na nim, by z Wenecyi udał się do Florencyi; teraz nie wystarczyła jej już i ta odległość. Sądziła, że skoro będzie o tysiąc mil od kraju, zdoła zapomnieć o tem co w nim postanowił.

Ale on tego nie zapomniał!

Dwa świeżuteńkie czerwone tysiãcøreńskie banknoty złożył starannie i schował na dnie podró¿nej torebki. Muszą one niezmiennione odbyć napowrót podró¿ do Węgier.

Pakunek jego podró¿ny składał się z najpotrzebniejszych tylko sukni i zbioru artystycznych kartonów oraz szkiców. Udał się niezwłocznie w podró¿.

Nic go już nie pociãgało do Włoch: zadanie jego teraz było na północy.

Podróżował z najskrupulatniejszã oszczędnosciã, z obawy aby mu nie zabrakło pieniędzy; z Istrii do Oedenburga jechał pró¿no powraca-

jącymi frachtowymi wozami, którymi zabrał się za połowę ceny, jaką byłby musiał zapłacić za pocztę.

Mimo to jednak wyszły mu wszystkie pieniądze i w Oedenburgu już zmuszony był sprzedać zegarek, aby mógł jechać dalej...

W Raabie zapłacił za miejsce do Pesztu na okręcie zbożowym, powracającym bez ładunku pod wodę, a co zapłacił było już niemal ostatkiem całej jego gotówki; oba tysiąccoreńskie nowiuteńkie banknoty jednak strzegł pilnie na dnie woreczka.

Nieladowny dębowy okręt niemało przeszedł przygód i szkód poniósł niemało w ciągu swej podróży; silne południa wiatry niejednokrotnie rzucały nim o brzegi; potrzeba mu było sporo czasu na odbycie tej drogi a kiedy wreszcie dopłynął już niedaleko Pesztu wpadł na pień drzewa, ukryty pod wodą, który mu zrobił u steru dziurę i w mgnieniu oka cały zatonął. Podróżni mogli dziękować Bogu, że zdołali przynajmniej dostać się na ląd cało.

W rozbiciu tem Koloman utracił cały pakunek i tak starannie strzeżone skarby sztuki, rysunki, studia...

W czarnej aksamitnej kurtce, którą miał na sobie i jasnym kalabryjskim kapeluszu uratował się z katastrofy.

Stamtąd puścił się już pieszo do Pesztu.

Z czasów studenckich jeszcze nawykł do takich dalekich pieszych wycieczek.

Przybywszy do Pesztu, skierował się wprost do swego dawnego mieszkania, gdzie teraz mieszkała babka.

Nie potrzebował się pytać czy tu mieszkają jeszcze ci, których szuka zdala bowiem miał już tego pewną wskazówkę.

Gdzie była babka, tam musiał też być i kuzynek Beni.

Kuzynek Beni za żadne skarby świata nie odstąpiłby mamy, bo wtedy nie byłby już żywym człowiekiem. Zamieszkuje on teraz pierwszy pokój, wychodzący wprost na schody. I teraz jeszcze jest toż samo szczęśliwe dziecko, dla którego jedyną przykrością jest to, że mama i teraz nie może znosić jeszcze woni tytoniu w pokoju... A tu w tem głupim mieście niema obok domów tych poczciwych pasiek i szop, gdzie człowiek mógł się ukryć dla wykopcenia lulki. Dałoby się to wprawdzie zrobić w kawiarni, ale tam nie można zabrać z sobą mamy, samemu zaś iść to rzecz trudna, bo kto to wie w jakie się tam wpadnie towarzystwo?

Jednakże i na to znalazł sobie radę. Ażeby jednocześnie być w domu a przecież módz bożkowi Wulkanowi złożyć ofiarę fajeczki tytoniu, aby pośród swego pańskiego komfortu, we własnym pokoju i we własnych pantoflach módz

palić ile dusza zapragnie, wpadł na dowcipny pomysł: otwierał okno, klękał na krześle, wychylał się przez okno, poza obręb pokoju wytykając głowę, kładł w usta bursztyn fajki olbrzymiej długości cybuch zaś spuszczał aż do okien parterowego mieszkania i dym wydumchiwał gdzieś w dal, w świat szeroki. On sam był w domu, ale głowa była na ulicy; palił w swoim pokoju a jednak nie u siebie!

Kiedy przeto Koloman zdala spostrzegł tę wielką jaśniejącą łysinę oraz długi spuszczonego poza okno cybuch, mógł już bezpiecznie bez pytania iść wprost do mieszkania babki.

Uklonił się z ulicy zatopionemu w pykaniu dymku, ale ten głowę miał zajętą zupełnie czem innym i ani myślał o poznawaniu przechodnia. Koloman mógł być rad jeszcze, iż pałacy zamiast odклонienia się nie napluł mu na głowę.

Wszedł po dobrze znanych sobie schodach, ujął za klamkę drzwi... To więc był znów ten sam pokój, jego niegdyś pokój, w którym był tak wielkim panem, tak szczęśliwym czuł się człowiekiem!

I teraz jeszcze kuzynek Beni prezentował się w tej samej pozie odwrócony od drzwi tyłem, lepszą część swego ja wychyliwszy poza okno i wtedy dopiero odwrócił się kiedy mu ktoś położył rękę na ramieniu.

Któż to taki?

Kuzynek Beni ujrzał przed sobą, jakiegoś obcego człowieka, z twarzą brunatną od ogorzenia, z brodą i wąsami cudzoziemskiego jakiegoś kształtu, w sukniach włoskiego kroju, i przez chwilę mniemał, że może to on sam jakimś cudem jest w Rzymie, a przed nim stoi Włoch jakiś, z którym za chwilę zmuszony będzie mówić po włosku. Toż mama mówi mu przez cały dzień tyle o Włoszech, a szczególnie o Rzymie.

Ale jak na złość ani jeden włoski wyraz nie przychodził mu na pamięć.

— Dobry wieczór, kuzynku Beni...

Uczuciem, które ten głos znajomy najpierw zbudził w duszy Beniego, było przerażenie a najbliższą tego manifestacją, zerwanie z błyskawiczną szybkością, z okna poduszki i zrzucenie jej na ziemię. Mama bowiem, która tolerowała milcząco nawyk Beniego palenia na ulicy, protestowała tylko przeciw temu by walał piękną haftowaną poduszkę, którą sobie do tej czynności kładł na okno, ponieważ ta jest własnością Kolomana, niezawodnie wyhaftowała mu ją jaka piękna panna i nie godzi się, aby kuzynek ją brudził. Jak każde dziecko wszakże tak i Beni dlatego właśnie znajdował uciechę w tem rozpieraniu się na tej haftowanej poduszce, że to było mu zakazanem. Zobaczywszy więc Kolomana, wyląkł się tak okropnie, pewien nieprzyjemnych skutków tej uzurpacji, i dla-

tego to tak śpieszył ze zrzuceniem poduszki na ziemię. Tak można będzie przynajmniej w potrzebie ohwycić się kłamstwa, składając rzecz całą na przypadek.

Gdy jednak Koloman nie okazał żadnego niezadowolenia odrazu powróciła mu cała wesołość. Trzymając jedną ręką wciąż jeszcze inkryminowaną fajkę poza oknem, bo tej nie wolno mu było teraz wciągnąć jeszcze, drugą ręką objął za szyję pana synowca, i całując go na oślep, kędy dopadł, zadawał mu pytania:

— A więc tu jesteś?... A jak długo pozostaniesz?

Skoro zaś na te pytania zaspakajającą otrzymał odpowiedź, natychmiast wyraził długo żywione pragnienie:

— Nieprawdaż teraz i mnie wymalujesz także?

Kiedy i na to odpowiedziano mu twierdząco, zaczął zapytywać, czy go też pan synowiec zrobi w węgierskim galowym stroju, czy umie wymalować również i złote sznury? Nie prawdaż, że się to maluje złotą farbą? Ale czy i fajkę można będzie zrobić na portrecie? Ale nie, to nie stosowne do galowego stroju, prędzej już do ceratowej czapki. Koniec końców stanęło na tem, że pan synowiec zrobi mu dwa portrety: jeden w stroju odświętnym narodowym, drugi w cera-

towej ozapeczoe z fajką w ustach. Wtedy narreszcie pozwolił i Kolomanowi postawić pytanie.

— Czy babka w domu?

— O, tak, drogi panie synowcze, jest tam w trzecim pokoju.

Ale poprosił zarazem pana synowca o przebaczenie, że z nim razem do mamy nie pójdzie; boć przecież wie: pierwaj trzeba dokończyć fajki...

I kuzynek Beni wychylił się jeszcze więcej na ulicę, wyznajmy to szoczerze, dlatego głównie, aby nie słyszeć co tam przez ten czas mówić będą w pokoju. Instyunkt jego powiadał mu, że z tego tak niespodziewanego powrotu nic dobrego wyniknąć nie może. Niezawodnie pana synowca wypędzono znów z Akademii malarzkiej!

Matronie wypadły z ręki „Godziny nabożeństwa“ kiedy spostrzegła wchodzącego przeze drzwi.

— Ty w Peszoie! — szepnęła poblądziy.

Twarz Kolomana przecieź stanowczym męskim spokojem powiedziała jej, nim przemówił jeszcze, dlaczego tu przybył.

— Powróciłem, matko, — wymówił i podniósł do ust rękę babki.

— Czy nie otrzymałeś ostatniego mego listu?

— Skutkiem tego listu właśnie powróciłem i już tu pozostanę.

Pani Jenöi spojrzała na niego zdumionym wzrokiem.

— Skutkiem mego listu powróciłeś i pozostajesz tutaj? A ja ci w nim pisałam, abys jechał do Rzymu.

— A ja zamiast tego przyjechałem do kraju.

— Pisałam ci, żebyś został artystą.

— A ja natomiast będę poetą.

— W tym celu posłałam ci pieniądze.

— A ja ci te pieniądze odnoszę, bo dążę do innego celu — tu są, matko. Dziękuję ci za twoją dobroć dla mnie... Postanowiłem o moim losie. Mówmy o tem spokojnie; nie popadaj w rozdrażnienie. Zapatruj się na tę sprawę jak gdyby obcy człowiek stał przed tobą, ustępujący z dotychczasowego stanowiska. Moje postanowienie jest silne i nieodmienne. Ty, babko, sama zwróciłaś mi na to uwagę, że mam inną, większą matkę, ojczyznę, której najwierniejsze dzieci, moje własne rodzeństwo, znoszą nędzę i poniżenie w jej służbie. I dlatego tu powróciłem, ażeby z tem rodzeństwem mojem dzielić los, bez względu na to, co nam przyniesie w przyszłości, chociażby nędzę i hańbę. Nie usiłuj zwrócić mnie z tej drogi, nie próbuj nawet przekładać; bolałoby mnie gdybym słowom twym musiał się oprzeć, ale byłbym do

tego zmuszony... Wiem co czynię, wiem, że przez to zrzekam się w twem sercu wszelkiej miłości. Pojmuję ocalowicie wagę tej mojej straty, alem dość silny na to by ją przenieść. Dzisiaj i w tej godzinie widzisz mnie po raz ostatni przed sobą... W przyszłości tak samo modlić się będę za ciebie w moim pacierzu, ciebie wszakże proszę: zapomnij o mnie; bo pragnę tak żyć i umierać jak ty nie chcesz tego dla mnie...

Z temi słowy złożył przywiezione pieniądze przed babką i nie sięgnął już nawet po jej rękę. Byli sobie już zupełnie obcemi.

Stara matrona chciała okazać, że i w jej żyłach płynie krew wnuka. Równie spokojna stanęła przed nim i równie poważnym odpowiedziała mu głosem:

— Dobrze więc: tyś postanowił — ja również. Wybrałeś sobie drogę życia, idź po niej... Wybrałeś między mną a tamtymi, których ja nienawidzę. Żyjże z nimi. I abys łącniej mógł ich znaleźć powiem ci nawet gdzie masz ich szukać! Idź do najbrudniejszej kawiarni w mieście, siedź pomiędzy najbardziej obdartym motłochem, pośród hulaków w łachmanach, a kto z pośród nich pozostanie najdłużej, grając w karty, kto pić będzie najdłużej, czekaj na tego, a kiedy zataczając się dojdzie do drzwi i padnie twarzą w błoto, podnieś go i tę twarz uca-

łuj, bo to twój brat drogi, którego sobie wybrałeś, i odprowadź go do domu, do żony a potem żyj z nimi szczęśliwie.

— Dziękuję ci, babko. To ostatnie twoje zlecenie wypełnię. Bądź zdrowa.

I ani spojrzawszy na swe dawne piękne mieszkanie, śpiesznie podążył do wyjścia.

Kuzynek Beni pochwycił go w ostatnim pokoju; wypalił był już tymczasem fajkę.

— No, najdroższy panie synowcze, teraz idziesz po swoje pakunki, nieprawdaż?

— Bynajmniej.

— A więc gdzież twoje rzeczy?

— Na dnie Dunaju.

— Ah... I te piękne obrazy również?

— I one.

— Do diabła! A ja myślałem właśnie jak to ślicznie będzie oglądać je wieczorem wszystkie po kolei! Ale zresztą nic się złego nie stało?

— Nie, kuzynku Beni.

— No, to chwała Bogu.

Wtedy z pewną ulgą pozwolił już odejść panu synowcowi, a że nie słyszał też, by mama hałasowała, nałożył sobie ponownie fajkę, zapalił i znowu głowę wytknął przez okno, tym razem pilnie bacząc na to, aby już nie kłaść pod łokcie haftowanej poduszki, skoro prawowity jej właściciel już powrócił.

Przestraszony zerwał się dopiero wtedy, gdy mama weszła do pokoju. Dowiedział się zaś o tem dlatego, ponieważ tak silnie zatrzasnęła drzwi szklane za sobą, iż wszystkie szyby zadrżały.

— Możesz się teraz już kłaść na haftowanej poduszce — przemówiła staruszka z gorzkim szyderstwem. — Należy ona do ciebie... I wszystko należy już do ciebie... Jesteś tu panem w domu!

Słowa te przejęły biednego Beniego takim przestachem, że mu fajka wysunęła się z ręki i padła na ulicę.

— Wszystko, powtarzam, należy do ciebie! Nie potrzebujesz dzielić się już z nikim! Nikt się o nic z tego nie upomni. Masz prawo rządzenia wszystkiem... Jesteś panem całego mojego majątku!

I obu dłońmi zasłoniwszy oczy zapłakała stara kobieta gorzko; przeszła do swej sypialni, tam położyła się całkiem ubrana na łóżko i płakała dalej.

Kuzynek Beni zaś siedział na krześle, na którym dotąd klęczał, dłonie rąk obu oparł na kolanaoch i patrzył osłupiałym wzrokiem przed siebie. Niepochwytną dla niego a zarazem okropną było myślą, że ma być panem całego majątku, że ma obecnie wszystkiem rozporządzać. Gdyby posłyszał był wydany na siebie wyrok śmierci,

nie więcej chyba opadłaby mu głowa na piersi niż w tej chwili.

I fajkę pozostawił na ulicy, nie poszedł po nią...

A dokądże zwrócił się Koloman?

Kiedy wyszedł na ulicę poczuł się tak obcym w tem mieście, jak gdyby nie Dunaj wyrzucił go na brzeg ale morze do jakiegoś portowego miasta Ameryki południowej.

Nie potrzebował sukien cudzoziemskiego kroju ani odmienionego zarostu, aby być niepoznanym. Niechaj ktobądź spróbuje tylko wyjść na ulicę w ubogiej odzieży, z nasuniętym na oczy kapeluszem, niech na twarzy ukaże noszone w sercu troski a może przejść wzdłuż i wszerz całe miasto, a z pewnością nikt go nie zaczepi.

Instynktowo wiodły go kroki przez długą, szeroką ulicę, która prowadzi z miasta. Kawałkami miała ulica ta chodniki, to znowu ich nie miała. W jednym miejscu trotuar był nawet z marmuru i patrząc nań przyszło mu na myśl, że po tym marmurze dawniej chodził często. Stał tam pałac magnacki, nad którego bramą widniał wielki herb wykuty w kamieniu. I ta brama była mu znana. Na piętrze jedno z okien było otwarte; stamtąd dolatywała do niego melodia znanego mu walca, granego na fortepianie. I zdawało mu się, że musi teraz iść tam na

górze, gdzie tak ładnie grają i stanąć na ślizkiej posadzce przed świetnym zebraniem tam towarzysztwem i wyciąć hołubca zbrojną w ostrogi nogą i zatańczyć butny solowy taniec węgierski pośród grzmotu oklasków a potem popatrzyć w oczy pięknej Madonny i spytać ją: „O, hrabianko, piękna hrabianko, czy kwitną jeszcze niezapominajki?”

Przemówienie odźwiernego przywiodło go do przytomności.

— Cóż, mój panie, czyś się już dobrze przypatrzył tym herbom nad bramą?

I ten go już nie poznał. A przecież ileż to razy salutował go srebrną gałką swej lagi.

Na przemówienie to wzrok Kolomana zszedł z obłoków i padł mimowolnie na własne buty. W samej rzeczy były one zabłocone od długiej pieszej wędrówki. A co gorsza nie był posiadaczem drugiej pary w tej chwili. Co miał na sobie i co miał w sercu, to było jego własnością. Ani pieniędzy, ani mieszkania...

Przyszła mu na myśl gorzka wskazówka babki: „Idź do najbrudniejszej kawiarni”.

Tej wskazówki najlepiej użyje jeśli skieruje swe kroki ku kawiarni „pod Zrinyim”. Ta osławiona podówczas leżała na rogu Wiejskiej ulicy w pobliżu Hatwańskiej bramy. Dom niski, jednopiętrowy.

Dla Kolomana było to rzeczywiście kom-

pletnie nieznanie miejsce, gdzie nie był jeszcze nigdy w życiu. Plac zborny wszelkich łotrów, karciarzy, włóczęgów bez dachu, rzezimieszków, osławionych pijaków i zawadyaków.

Skoro wejdzie się tam przez drzwi niskie, od razu przejmuje przybysza gęsta atmosfera złożona z tytoniowego dymu, wyziewów ludzkich i ulotnionej gorzałki, tak iż można się w to powietrze owinać jak Jowisz w chmury jeśli się nie chce być widzianym. Trzy migocące lampy walczyły z półcieniem, wkrótce jednak poddały się i otoczyły czerwonym księżycowym kręgiem dokoła. Wzdłuż sali stały wielkie masywne filary, po za którymi łatwo było uniknąć oczu policyjnych komisarzy poszukujących tu złodziei lub dłużników. W obu oddziałach sali zaginającej się w półkole stały dwa stoły bilardowe; dokoła nich ogromny był nacisk grających, którym ta praca potem oblewała czoło; w rogu stał bufet kawiarniany, gdzie siedziała jakaś młoda panna ze sztucznie potarganym włosom, do której właśnie zalecał się jakiś jurat z junacko na bakier nałożonym kapeluszem. Okna mają obszerne wgłębienia a wszystkie postacie, napełniające te wgłębienia po za filarami, zdradzają tak niedwuznaczne pragnienie pozostania niewidzialnymi, że przechodzącemu obok nich wydaje się, iż gdyby spojrzeć na nich, obraziłby ich śmiertelnie. Tu zaganiacze pałą turecki

tytuń ze zwieszonych pod stół cybuchów; pokątni doradcy w wytartych sukniach szepczą z obdartymi lichwiarzami o jakichś interesach, których nikt słyszeć nie powinien; horda obdartusów rozmarzonych trunkiem kiwa się przed próżnymi stolikami, z kapeluszem na głowie i rękami powkładanemi w kieszenie; opili czeladnicy rzeźniccy fetują ponczem kompanię ze wszech stron świata zbiegłych hulaków; trzech czy czterech gra w karty u jednego stolika a pięciu czy sześciu stoi dokoła nich i daje rady; klakier teatralny gwizdże wytrwale koniec jakiejś operowej arii. Pojedyncze postacie przeslizgują się ukradkiem jak oień Banka wpośród obłoku mgły z tytuniowego dymu a kiedy niekiedy potykając się włazi przezedrzwi jakiś nawpół pijany, który w dalszym ciągu prowadzi tu rozpoczętą na ulicy bójkę, hałasy lub śmiechy.

Koloman obejrzał się dokoła, gdzieby się tu ukryć? Każdy kącik miał już swoich stałych mieszkańców. Koło drzwi był stolik próżny. Ten nie cieszy się zbytymi względami tutaj uczęszczających, stoi bowiem na drodze każdemu. Usiadł przy tym stoliku i kazał sobie podać czarnej kawy. Filiżanka kawy czarnej bardzo dobrze działa, skoro się przez cały dzień nie miało nic w ustach...

Kiedy oczy jego oswoiły się z dymem, po-

czał przyglądać się mieszkańcom nory. Ani jednej znajomej sobie twarzy nie mógł pośród nich spostrzedz. Byli to widocznie mieszkańcy całkiem innego świata, niż ten, w którym odychał do tej chwili.

Czas ubiegał, ludność kawiarni wzrastała. U małego stolika było jeszcze jedno miejsce ale nikt tu nie siadał.

Koloman oparł głowę na ręce i doznawał uczucia jak gdyby pochwyił go wir i kręcił nim teraz dokoła. Przestał myśleć.

Nagle pochwyił ktoś jego rękę i szepnął w ucho:

— Pan Jenöi!

Koloman obejrzał się naokoło, gdzie jest ów pan, którego zawołano teraz? Sam nie chciał temu już wierzyć, że to własne jego imię.

Ten, który go zagadnął, siedział po drugiej stronie stołu.

— Ah! to pan, majstrze Tseresnyes?

Twarz szewca i teraz jest tak poważną jak zawsze; twarz Kolomana zaś wyrażała uśmiechem radość z tego spotkania.

— Pan powróciłeś i pozostajesz już tutaj? — spytał majster Tseresnyes. A potem nie czekał wcale na odpowiedź lecz ciągnął dalej:

— Prawdopodobnie z tej samej przyczyny spotykamy się w tem miejscu, pan oczekujesz na tego samego, co ja: na Banyavary'ego!

— Czy zwykł tu przychodzić?

— Co wieczór. Niezawodnie jest tu już; o tej porze wszakże siedzi w zamkniętym pokoju, gdzie grają w „moje — twoje“ i dopiero po północy stamtąd wychodzi. Mnie tam nie wpuszczają, bo do tego potrzeba szczególniejszej protekcji a o mnie wiedzą, że nie jestem ani graczem ani szulerem. Tam siedzi już z pewnością i gra... Poznamy po nim od razu czy wygrał czy też przegrał? Skoro wygra uracza całe towarzystwo łotrowskie, jeśli stracił, zaczyna swary. Ale czy ich traktuje czy się bije z nimi koniec jest zawsze jednaki, ten, że go wyrzucają za drzwi... Wtedy moją jest rzeczą wziąć go pod rękę i odprowadzić do domu.

— Do żony?

— Nie, do mnie... Żona jego mieszka w Budzie a nie istnieje moc taka, któraby go aż tam zaciągnąć zdołała; ale na sąsiednią ulicę udaje mi się zwabić go jakimbądź sposobem, a potem układam go do snu w małym pokoiku. Bo mnie tak to boli, że taki piękny talent idzie na marne i w ten ohydny sposób gubi się samowolnie.

Koloman uścisnął rękę rzemieślnika.

— Nieprawdaż — mówił szewc — obu łatwiej nam będzie go upilnować?

Szewc nie wypytywał ani dlaczego widzi Kolomana, ani też dlaczego spotyka go w tak

zużytych zabłoconych suknic? wszystko to wiedział on doskonale.

Nie pytał go także o to co przechodził we Włoszech, przeciwnie opowiadał mu sam jeszcze co tu zaszło w kraju przez ten czas kiedy Koloman podróżował — o aktorach, uczonych, publiczności.

W ten sposób schodził im czas zwolna. Garsoni w kawiarni znali już majstra Tseresnyes i nie uprzykrzali mu się swemi pytaniami: co rozkaże? Owszem, znosili mu nawet gazety, które zwykł był czytywać zawsze.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

SPIS RZECZY.

	Str.
Bliżej nieba	1
W dole, na ziemi	12
Na rozstajnych drogach	53
Karząca dłoń babki	82
Wysoko na koniu	90
U palatyna	120
Po jesiennej rosie zima	135
Jakże piękne są niezabudki hrabianki	149
Rotunda	158
Rozmaite serca kobiece	187
Szewc Appellesa i szewc rzeczywisty	210
Gdzie zakwita cytryna	234
Osierocenie się poczyna	257



23/10 47
26

1993-01-08

05.05.1999

2009-09-02

2011-07-14

2013-12-31

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

570 13428